

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Aleksander Krawczuk

**SIEDMIU PRZECIW
TEBOM**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Księga pierwsza

TABLICZKA Z GROBU ALKMENY

Odyseusz opowiada o tym, co widział w krainie zmarłych:

Takie wymienialiśmy słowa, a tu zaczęły się schodzić kobiety na rozkaz wzniosłej Persefony, ile ich było żon i córek bohaterów. Tłumem garnęły się do czarnej krwi, a ja rozważałem jak by tu z każdą pomówić. I taka sercu najlepsza wydała się rada. Dobyłem znów miecza, co go miałem u boku, i nie pozwalałem pić czarnej krwi wszystkim naraz. Szły więc jedna za drugą i każda opowiadała swe dzieje. Tak wszystkie poznałem.

Najpierw zjawiała się Tyro..

Po niej widziałem Antiopę, córkę Asoposa, która się chlubiła, że nawet Zeus miał ją w swoich ramionach, a urodziła dwóch synów, Amfiona i Zetosa, którzy pierwsi założyli stolicę w siedmiobramnych Tebach i uczynili ją warowną, albowiem, mimo że tak dzielni, nie mogliby się bez twierdzy utrzymać na równinie tebańskiej.

Po niej widziałem Alkmenę, małżonkę Amfitriona, która zrodziła chrobrego Heraklesa o lwim sercu, począwszy go w Zeusa ramionach...

(Odyseja, wyjątki z pieśni XI, przeł. J. Parandowski)

Idąc ku domowi Symiasza

W pokoju było kilku mężczyzn, ale wysłaniec od razu zwrócił się do Charona, gospodarza domu, bo tylko jego znał osobiście. Powiedział:

– Z Aten wyszli już wczoraj, niby to na polowanie. Nawet psy zabrali. Jest ich tylko siedmiu, ale to najmłodszy z naszych. Teraz są w lasach Kitajronu, na samej granicy. W górach nie usiedzą, bo zima. Będą tu jeszcze dziś wieczorem. Ale muszą wiedzieć, gdzie zapukać, do którego domu. Trudno, żeby się wałęsali po całym Tebach.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Było oczywiste: nikt nie kwapi się przyjąć u siebie owych siedmiu, ziębnących wśród skał i drzew wysokiej góry. Wszyscy zebrani u Charona przystąpili do spisku z zapalem i dobrowolnie, teraz jednak czynili wrażenie, jakby nagle i dopiero co pojęli, że to nie chłopięca zabawa w wojnę, lecz naprawdę sprawa krwi i życia. Wreszcie Charon przerwał trwożną ciszę, mówiąc po prostu:

– Niech przyjdą do mnie!

Wysłaniec natychmiast wymknął się z domu i pomaszerował z powrotem. Masyw Kitajronu wznosił się na południe od Teb, dobrze widoczny z miasta; sam wierzchołek góry był nagi, ale jej strome, pofałdowane zbocza pokrywał płaszcz gęstych lasów jodłowych. Idąc nawet niezbyt spieszenie można było znaleźć się pod mroczną ich osłoną w ciągu trzech zaledwie godzin.

Również Charon i jego goście wyszli na ulicę. Teokryt ścisnął mocno rękę Kafizjasza i wzrokiem wskazał na Charona, który postępował o kilka kroków przed nimi. Powiedział głosem ściszym:

– Pomyśl, ten Charon nie jest filozofem. I nie otrzymał tak starannego wychowania jak twój brat Epaminondas. A przecież dobrowolnie naraża się na wielkie niebezpieczeństwo, z prostej miłości ojczyzny. Z Epaminondasem to jest tak: wydaje mu się, że posiadał wszystkie cnoty i że góruje nad zwykłymi ludźmi. Ale nasza sprawa jest mu obojętna i całkiem nie ma ochoty nadstawiać głowy. Zapewne czeka na lepszą sposobność okazania swych zalet i olśnienia nas wyuczoną odwagą!

Kafizjasz obruszył się:

– Jesteś nazbyt gorliwy, mój Teokrycie. My postępujemy tak, jak to uznaliśmy za słuszne. Epaminondas od początku nie pochwałał naszego zamiaru, a teraz też powtarza z uporem: poszedłbym z wami tylko wówczas, gdybyście potrafili wyzwolić naszą ojczyznę nie przelewając krwi obywateli. Bo to uważa on za sprawę zasadniczą: nikt nie ma prawa zabijać bez wyroku sądowego, nawet w imię wolności. I jest to niewątpliwie logiczne. Walczymy przecież z tyranami dlatego, że łamią oni prawo, wtrącają samowolnie do więzień, prześladują każdego, kto ośmiela się mieć własne zdanie. Drwią sobie z ustawy i opinii publicznej – lub też, co jest jeszcze ohydniejsze, występują niby to w ich imieniu. Bo tyrani również zasłaniają się wyższą racją, to jest dobrem państwa: rzekomo właśnie oni najlepiej je pojmują i bronią społeczności przed anarchią osobistych swobód. Czyż więc my, bojownicy o wolność, mamy zaczynać nasze dzieło stosując tyrańskie metody – gwałt, zabójstwa, bezprawie? A tymczasem większość z nas jest przekonana, że bez użycia przemocy niczego się nie dokona. I to jest na pewno słuszne. Przecież naiwnością byłoby wyobrażać sobie, że tyrański rząd ustąpi bez walki i po prostu ulegnie filozoficznym perswazjom! Wobec tego Epaminondas cierpliwie czeka, kiedy będzie mógł dopomóc nam w sposób skuteczny, ale zgodny ze swym poglądem na metody walki politycznej. Muszę przyznać, że ja sam żywię obawy co do tego, jak się rzeczy rozwiną. Bo gdy dojdzie już do czegoś, nie utrzymamy naszych ludzi w ryzach. Owszem, niektórzy może istotnie rzucą się tylko na ciemnościeli, ale inni? Toż to zapalczywcy! Pod

osłoną mroków nocy nie odłożą broni, póki całe miasto nie spłynie krwią. A przy okazji rozprawią się też ze swymi osobistymi wrogami.

Tak rozmawiając szli spiesznie krętymi ulicami w stronę domu Symiasza. Powrócił on do Teb, swego ojczystego miasta, stosunkowo niedawno, ale w ogóle nie wychodził na dwór; skaleczył się w udo dość poważnie i wciąż jeszcze polegiwał. Młodzi zbierali się często w jego domu i rozprawiali o filozofii. Był bowiem Symiasz uczniem Sokratesa i Filolaosa, zwiedził dalekie krainy, poznał obyczaje i wierzenia różnych ludów. A o tym wszystkim umiał opowiadać zajmująco. Jednakże prawdziwy cel tak częstych i tłumnych odwiedzin był całkiem inny. Ażeby to ukryć, zapraszano do Symiaszowego domu także i członków rządu, zwłaszcza zaś samego Archiasza. Tak więc ów arcytyran siedział wśród młodzieży i w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że ci wszyscy to żądni jego krwi spiskowcy. Był wielce zadowolony, że młodych bardziej pasjonują subtelne problemy filozofii niż bieżące wydarzenia polityczne.

Kiedy idący przez miasto znaleźli się u stóp zamkowego wzgórza, Kadmei, spostrzegli, że stamtąd schodzi wprost ku nim kilku mężczyzn. Był wśród nich sam Archiasz; był Lizandrydas, dowódca spartańskiej załogi; był też Fillidas, sekretarz rządu. Rozmowy umilkły natychmiast. Archiasz skinął na Teokryta. Podprowadził go do spartańskiego oficera. Ta trójka zeszła nieco z ulicy i zmierzała w stronę świątyni Amifiona, wznoszącej się na małym pagórku; ale po kilku krokach wszyscy trzej przystanęli, rozmawiając z ożywieniem. Tymczasem serca pozostałych zamierały ze strachu: może ktoś doniósł o sprzysiężeniu? A może Teokryt jest zdrajcą i właśnie w tej chwili przekazuje Archiaszowi i spartańskiemu dowódcy wiadomość, że siedmiu jest już na Kitajronie?

Fillidas podszedł w tym momencie do Kafizjasza, wziął go za rękę i zaczął głośno podrywać:

– No i jakże tam z twoją gimnastyką? Nadal uprawiasz ją tak samo gorliwie?

To mówiąc odciągnął go na bok. Wtedy dopiero zapytał szeptem: – Co z naszymi w Atenach? Dotrzymają umowy? Przyjdą?

Fillidas, choć tak blisko stał rządu, należał do wtajemniczonych. Przez pewien czas, kiedy spisek dopiero się organizował, był nawet łącznikiem pomiędzy grupą w Tebach a wygnañcami w Atenach. Z racji bowiem swego stanowiska Fillidas mógł jeździć tam często i spotykał się z różnymi ludźmi, nie budząc podejrzeń. A rząd tebański miał swoich agentów wszędzie, nawet w obcych państwach. Przecież to właśnie w Atenach skrytobójczo zamordowano jednego z najczynniejszych wygnañców! Wszyscy wiedzieli, że stało się to na tajny rozkaz władz tebańskich, które nasłały morderców, aby strachem porazić swych przeciwników.

Kafizjasz powiedział sekretarzowi całą prawdę:

– Tak, nasi stawiają się dzisiaj na pewno.

Fillidas ucieszył się:

– To znaczy, że wieczorne przyjęcie u mnie wypada w samą porę! Ma być na nim także Archiasz. Spoję go winem i wszystko pójdzie gładko.

Kafizjasz aż się rozpromienił:

– Doskonale. Ale musisz to jakoś tak urządzić, żeby byli u ciebie także inni członkowie rządu! Fillidas rozłożył ręce bezradnie:

– Obawiam się, że to będzie trudne, a nawet wręcz niemożliwe. Archiasz ma nadzieję (w której go podtrzymuję), że spotka u mnie pewną panią z bardzo dobrej rodziny. Dlatego nie chce, żeby świadkami było zbyt wielu jego towarzyszy. Tak, wstydzi się nawet swoich. Z tymi, których u mnie nie będzie, załatwimy się osobno, jakiś sposób się znajdzie. Ostatecznie, jest ich tylko kilkunastu; bo reszta, nawet ci bardzo oddani stronnicy i najgorliwsi donosiciele, albo od razu pouciekają, albo też będą siedzieć cicho, zadowoleni, że zostawiamy ich przy życiu.

Kafizjasz westchnął, bo z góry już przewidywał wiele komplikacji. Rzeczywiście, jeśli Archiasz spodziewa się, że spotka na przyjęciu piękną panią, to nie można urządzać u Fillidasa tłumnej, męskiej pijatyki. Powiedział więc:

– Niech i tak będzie, skoro nie da się inaczej. Ale może wiesz, o czym to rozmawiają tamci z Teokrytem?

– Wydaje mi się – choć może się mylę – że o jakichś złych znakach i o wróżbach dotyczących Sparty. Cóż, Teokryt uchodzi za dobrego znawcę przepowiedni wszelkiego rodzaju. To zrozumiałe, że właśnie jego proszą o radę.

Tymczasem tamci już się rozstali. Ale zaledwie Teokryt dołączył do swoich i nim jeszcze zdołał ich uspokoić słowami (uczynił to tylko uśmiechem i skinięciem głowy), nadszedł Fejdolaos. Witając się mówił:

– Symiasz prosi, żebyście przed jego domem chwilę poczekali na ulicy. Rozmawia teraz z Leontiadem. Może zdoła go ubłagać, żeby Amfiteosowi wyrok śmierci zamienił na wygnanie. Ja co prawda nadziei nie mam żadnej, bo Leontiadetes to okrutnik taki sam jak Archiasz; ale próbować trzeba.

Teokryta wyraźnie ucieszył widok Fejdolaosa. I kiedy cała grupa przyjaciół szła krok za krokiem w stronę domu filozofa, zapytał o rzecz, która widać interesowała go bardzo:

– Przychodzisz w samą porę, jakbyśmy się umówili. Bo właśnie chciałbym się dowiedzieć od kogoś, co właściwie znaleziono w grobie Alkmeny, tam u was, w Haliartos? Bo chyba byłeś przy tym, kiedy na rozkaz króla Agezylaosa przenoszono prochy Alkmeny do Sparty?

Ale Fejdolaos zaprzeczył temu bardzo gwałtownie:

– Właśnie, że nie byłem! I w ogóle oburzałem się na moich rodaków, że tak ulegle zgodzili się oddać Spartanom szczątki Alkmeny! Przecież to matka Heraklesa! Oczywiście, mój głos zlekceważono. Wiem jednak, co znaleziono w tym grobie. Otóż prócz głazów był tam nieduży naramiennik miedziany oraz dwie gliniane amfory, wypełnione jakby ziemią, zbitą jednak i stwardniałą przez tyle wieków. Leżała też w grobie tabliczka z brązu, na której było wiele dziwnych znaków. Nie dało się z nich nic wyrozumieć, choć po obmyciu tabliczki wystąpiły bardzo wyraźnie. Ich kształt był jakiś osobliwy i obcy, najbardziej przypominał pismo egipskie. Właśnie dlatego król spartański Agezylaos posłał dokłądy odpis tabliczki aż do Egiptu. Prosił faraona, żeby pokazał go kapłanom; może oni zdołają coś z tego wyczytać? Ale myślę, że o tym wszystkim mógłby wam więcej powiedzieć Symiasz, bo właśnie w tym czasie przebywał w Egipcie i często rozmawiał z kapłanami. A co do samego otwarcia grobu Alkmeny, tylko to jeszcze dodam: miałem rację, sprzeciwiając się bezprawnym żądaniom Spartan. Obecnie sami mieszkańcy Haliartos biadają, że w tym roku spadły na nich aż dwie kłęski: najpierw wielki nieurodzaj, potem zaś groźny wylew jeziora Kopais, nad którym leży nasze miasto. Z całą pewnością nie jest to przypadek, lecz widoma kara boża za to, żebyśmy pozwolili rozkopać grób matki Heraklesa!

Teokryt zamyślił się i rzekł po krótkiej chwili:

– Ale i sami Spartanie nie unikną gniewu niebios. Spotka ich jakieś nieszczęście. To jasno wynika ze znaków wróżebnych, o czym przed chwilą mówił mi dowódca ich załogi, Lizandrydas. Teraz wyjeżdża on prosto do Haliartos. Zamknie, jak się godzi, grób Alkmeny oraz złoży ofiary przebłagalne – jej i Aleosowi. Tak rozkazała posłom spartańskim wyrocznia w Delfach. Zobaczmy, czy to coś pomoże. Właściwie nie jest pewne, kim był ów Aleos, którego grób w Haliartos też rozkopano. Niektórzy twierdzą, że pochodził on z Krety i naprawdę nazywał się inaczej. Po powrocie z Haliartos czeka Lizandrydasa jeszcze jedno trudne zadanie: ma odszukać mogiłę Dirki. Myślę, że to mu się nie uda. Przecież nikt z Tebańczyków nie wie, gdzie się ona znajduje. Miejsce to znają u nas ci tylko, którzy sprawowali urząd naczelnika jazdy. Od wieków bowiem taki jest zwyczaj, że kto odchodzi z tego urzędu, prowadzi w nocy swego następcę na grób Dirki. Składają tam ofiary, potem zaś zasypują ślady i rozcho-

dążą się w różne strony. Otóż wszyscy, którzy kiedykolwiek ten urząd sprawowali, obecnie przebywają za granicą, bo albo wygnała ich tyrańska władza, albo też zaraz na początku sami uciekli, roztropnie przewidując, do czego muszą doprowadzić rządy, których oparciem jest nie zaufanie społeczeństwa, lecz obce załogi w kraju. Dwóch tylko dawnych naczelników jazdy pozostało w Tebach, ale nasi terażniejsi panowie na pewno nawet się nie ośmielią prosić ich o jakieś wskazówki, bo dobrze wiedzą, jaką by otrzymali odpowiedź. Tak, obecny rząd tebański w ogóle nie zna tebańskiej tradycji. Siedzi kilkunastu ludzi na Kadmei pod ochroną spartańskiej załogi, i ci wzajem przekazują sobie pradawne symbole władzy nad tym miastem, pieczęć i włócznię. Ale żaden z nich nie ma pojęcia o istocie i sensie zwyczajowych obrzędów, które łączą się z przejmowaniem rządów. A cóż dopiero mówić o grobie Dirki!

Zstępując w przeszłość

Był pochmurny dzień grudniowy, kiedy toczyły się owe rozmowy, rok zaś – według naszej rachuby lat – 379 p.n.e. Jakimże to więc sposobem i jakimi drogami doszły do nas tak żywe echa wydarzeń sprzed tylu wieków? Za kanwę rozmów przytoczonych w poprzednim rozdziale posłużył początek opowieści *O duchu opiekuńczym Sokratesa*; ułożył ją grecki pisarz Plutarch około roku 100 n.e. Oczywiście od razu nasuwa się pytanie:

Przecież pomiędzy rokiem 379 p.n.e. a rokiem 100 n.e. rozciąga się ogromny szmat czasu, lat prawie pięćset! Skądże więc wiedział Plutarch, i to tak szczegółowo, co działo się owego dnia w Tebach?

Otóż stwierdzić trzeba, że Plutarch mógł wiedzieć o tym sporo. Urodził się bowiem i większą część życia spędził w miasteczku Cheroneja; leży ono zaledwie kilka godzin drogi od Teb i w tej samej co one krainie, w Beocji. Plutarch był gorącym miłośnikiem historii, a dziejom swej najbliższej ojczyzny, więc właśnie Beocji, poświęcał wiele serdecznej uwagi. Zbierał i studiował zabytki przeszłości, miał w rękę zaginione dziś bezpowrotnie dokumenty, pamiętniki, zapiski. Znajdował w nich sporo wzmianek również o grudniowym dniu roku 379; to bowiem, co się wówczas wydarzyło w Tebach, wywarło wielki wpływ na losy całej Hellady. Jednakże, stwierdzić to należy otwarcie, Plutarch we wszystkich swych dziełach postępował z materiałem historycznym nader swobodnie. Pragnął bowiem nie tyle badać, jak to było naprawdę, lecz przede wszystkim przedstawiać własne poglądy filozoficzne, religijne, etyczne. Nie inaczej też było z opowieścią *O duchu opiekuńczym Sokratesa*. Rozwijał w niej Plutarch, ustami działających osób, pewne tajemne, mistyczne nauki; rzeczywiste zaś wypadki służyły tylko jako sceneria dla udramatyzowania rozpraw filozoficznych. Z drugiej jednak strony wszystkie prawie postacie opowieści są historyczne i znane także z innych źródeł. A więc może ich rozmowy są również tylko w części fikcją, w części zaś opierają się na jakichś starych materiałach? Dziś nikt tego nie rozstrzygnie.

Ilekoć w tej książce wracać będziemy do wydarzeń dnia, w którym tebańscy spiskowcy czekali na przybycie siedmiu, naszym przewodnikiem będzie Plutarch. Przewodnikiem, ale nie wyrocznią. Jego opowieść traktować będziemy zupełnie swobodnie, dbając tylko o zachowanie głównego wątku wydarzeń i rozmów – właśnie tak, jak on sam przetwarzał swoje źródła¹. Zresztą, Plutarch nie był nieomylny; niektóre więc jego potwierdzenia wypadają prostować i uzupełniać na podstawie różnych danych postronnych.

¹Filologicznie wierny i pełny przekład polski opowiadania *O duchu opiekuńczym Sokratesa* znajdzie Czytelnik w książce: Plutarch: *Moralia*, przełożyła i opracowała Zofia Abramowicz, Wrocław 1954 (BN, nr 86 S. II). Zaznaczyć jednak trzeba, że jest to tłumaczenie oparte na starszym wydaniu tekstu greckiego, podczas gdy za podstawę parafrazy w tej książce

Już dokonaliśmy pewnej poprawki, mówiąc, że to siedmiu ludzi zaczęło się w kitajrońskich lasach, czekając na powrót wysłańca z Teb; sam bowiem Plutarch podaje, że było ich nie siedmiu, lecz aż dwunastu. A tymczasem historyk Ksenofont, współczesny owym wypadkom, zaznacza wyraźnie i jakby z naciskiem, że owych młodzieńców, którzy wyprawili się z Aten przez Kitajron na Teby było siedmiu, właśnie siedmiu!

Można by się uśmiechnąć: Przecież to rzecz drobna, szczegół zupełnie nieistotny! Sprawa jednak ma się inaczej. Jeśli bowiem było ich siedmiu, to w oczach współczesnych cała rzecz nabierała głębszego znaczenia i blasku niemal symbolicznego: była to nie pierwsza wyprawa siedmiu przeciw Tebom, lecz już trzecia z kolei! Prawda, dwie pierwsze należały do przeszłości bardzo odległej, rozgrywały się przed kilkunastu wiekami; były za to sławne i głośnie w całej Helladzie i przez wszystkie wieki, zwłaszcza pierwsza. Jej losy opiewali poeci. Postaci i czyny siedmiu wodzów odtwarzano na scenach teatru. Rzeźbiarze i malarze przedstawiali epizody wyprawy w znakomitych dziełach sztuki. Więcej, niektórzy bohaterowie z pierwszej siódemki dostąpili czci równej bogom: mieli własne świątynie i kapłanów, odsławiali przyszłość, składano im ofiary. Tylko wojna trojańska górowała sławą nad pierwszą wyprawą siedmiu. Kto wie, Plutarch może właśnie dlatego zmienił liczbę członków wyprawy w roku 379 z siedmiu na dwunastu, by nie przypominać swym czytelnikom owych starych, sławnych podań, o których w tym miejscu rozwodzić się nie chciał, nęciła go bowiem, jak zobaczymy, inna tematyka.

Powie ktoś:

– Wszystko to prawda. Ale tę sławę, trwającą przez starożytność, a nawet i dłużej, pierwsza wyprawa zawdzięczała właśnie temu, że była tylko mitem, tylko legendą! Jej dzieje i bohaterowie to albo poetycka fikcja, albo też poetyckie przetworzenie dawno zamarłych wierzeń, symboli, obrzędów. Jakżeż więc porównywać tamtą wyprawę z ową trzecią z roku 379 – konkretną i historyczną?

W starożytności jednak sądzono inaczej. Obie pierwsze wyprawy przeciw Tebom uznawano powszechnie i niezachwianie za fakt rzeczywisty i wydarzenie dziejowe – tak samo zresztą jak wojnę trojańską, jak żeglugę Argonautów po złote runo, jak ponure dzieje rodu władającego Mykenami, jak wspaniałe czyny Heraklesa, który oczyścił świat z potworów. Owszem, przyznawano chętnie, że tamte czasy nieco ubarwiła legenda; spierano się też z lubością co do wiarygodności wielu szczegółów, opowiadano bowiem owe dzieje nieraz bardzo rozmaicie. Nikt jednak z Hellenów nie wątpił, że niegdyś, w zamierzchłych czasach, naprawdę żyli ludzie, którzy dokonywali rzeczy niezwykłych, bo przewyższali późniejsze pokolenia siłą i dzielnością, a bliscy też byli bogom. Dlatego to nazywano odległe wieki epoką herosów, czyli bohaterów. Pokazywano ruiny zamków, które oni zbudowali, błonia i góry, gdzie walczyli, groby, w których spoczęli. Wyliczano też, pokolenie po pokoleniu, ich dzieci, wnuki, prawnuki, dochodząc aż do czasów stojących w pełnym świetle historii.

Kiedy więc w grudniowy dzień roku 379 grupa spiskowców zdążyła ku domowi Symiasza wiedząc już, że tam, wśród lasów Kitajronu, ukrywa się ich siedmiu towarzyszy, wszyscy pamiętali, że to trzecia wyprawa siedmiu przeciw Tebom, i – choćby podświadomie – cofali się myślą ku czasom dwóch pierwszych, ku epoce herosów. Czym była ta epoka dla nich, jak na nią patrzyli?

Myśleli o niej, jak wszyscy Hellenowie, z czcią i szacunkiem. Mieli do niej taki sam stosunek, jaki cechuje naszą postawę wobec starożytności: była to w ich oczach wielka, odległa epoka, zamknięta już, ale wciąż żywa dzięki literaturze, sztuce, religii. I tak samo jak pomiędzy nami a starożytnością leży okres półmroku zwany średniowieczem, tak też i Hellenów klasycznych dzielił od epoki bohaterów wielowiekowy szmat czasu, o którym niewiele umia-

obrano edycję: Ph. H. de Lacy i B. Einarson, *Plutarch's Moralia*, vol. VII, London – Cambridge 1959, Loeb Classical Library; stąd np. drobne różnice w pisowni pewnych imion.

no powiedzieć, bo ludzie żyli wówczas, po katastrofie świata herosów, w ubóstwie i ciemności.

Tak, ów świat herosów upadł i został zniszczony. Stało się to, jak zgodnie twierdzili Hellenowie, skutkiem wielkiej wędrówki plemion zwanej powrotem Heraklidów. Późniejsi uczeni helleńscy obliczali nawet, kiedy to się działo: według naszej rachuby czasu byłby to wiek XII p.n.e. I znowu nasuwa się tutaj podobieństwo do końca świata starożytnego: wędrówka ludów niszczy w Europie zachodniej ogniska wysokiej cywilizacji, ciemne chmury pokrywają prawie cały kontynent, pozostaje jednak pamięć minionej świetności, iskry w popiołach, które potem posłużą odrodzeniu kultury.

A co my powiemy o epoce herosów? Czy istniała ona rzeczywiście? Czy mity i legendy są jakimś odbłaskiem wielkich wydarzeń, przygód i walk ludzi z krwi i ciała? Czy pierwszą i drugą wyprawę siedmiu wolno uznać za taki sam fakt dziejowy jak i tę, która dokonywała się w grudniu roku 379 p.n.e.? Jakimi posłużyć się wskazówkami, by znaleźć odpowiedź, na jakich oprzeć się danych?

Do tych pytań trzeba będzie wciąż wracać. Na razie jednak przypomnijmy, że zostawiliśmy spiskowców przed domem Symiasza, rozprawiających o Alkmenie, której mogiłę rozkopali Spartanie, oraz o Dirce, której grób również chcieli odszukać. Obie te kobiety żyły według legend w epoce herosów, przed dziesięciu co najmniej wiekami. Kiedy zaś Teokryt wymawiał ich imiona, jego słuchacze nie potrzebowali żadnych dodatkowych wyjaśnień, opowieści bowiem o losach i śmierci tych niewiast należały do najbardziej znanych i w samych Tebach, i w całej Helladzie.

Baśń o Antiopie i Dirce

Gdy Antiopa zrozumiała, że jest w ciąży, uciekła z domu. Choć bowiem uwiódł ją sam bóg Zeus, wiedziała, że ojciec, człowiek bezwzględny, nie wybaczy jej tego nigdy. Rzeczywiście: kiedy sprawa córki stała się głośna, popełnił samobójstwo. Przed śmiercią jednak wymógł na swym bracie – zwał się on Likos, władał wówczas Tebami – uroczystą przysięgę, że odnajdzie i ukarze dziewczynę.

Antiopa schroniła się w Sykionie, mieście u wybrzeży Peloponezu. Tamtejszy król otoczył ją opieką, ale Likos wdarł się do miasta ze swoją drużyną i zabrał dziewczynę przemocą. W drodze powrotnej, gdy z trudem pięli się wśród skał Kitajronu, chwyciły Antiopę bóle. Tam, w górskiej głuszy, ukochana Zeusa wydała na świat bliźnięta, chłopców. Jednakże Likos surowo strzegł czci swego rodu: kazał pozostawić maleństwa na pastwę dzikim zwierzętom. Likos nie znał litości, ale jego żona, Dirke, postępowała z Antiopą wręcz okrutnie. Do wściekłych wybuchów zawiści doprowadzała królową niezwykłą urodą dziewczyny. Dirke podejrzewała o niewierność nawet swego męża; on zaś by jakikolwiek gest wyrozumienia nie był mu poczytany za dowód winy, pozwalał żonie na wszystko. Przez długie lata więziono Antiopę w lochach tebańskiego zamku. Nieszczęsna zdołała wyrwać się stamtąd tylko dzięki cudowi: którejś nocy spadły z niej kajdany, bramy zaś rozwarły się same. Dobiegła do lasów Kitajronu. Zaszła do ubogiej chaty. Zastała w niej starego pasterza i jego dwóch synów. Byli to bliźniacy, to widziało się od razu, usposobieniem jednak różnili się od siebie ogromnie. Amfion wydawał się spokojny i beztroski, natomiast Zetos był ponury i zamknięty w sobie, pracował zaś bez wytchnienia: polował i orał, rąbał drwa i dźwigał kamienie dla podparcia ścian domu. Bracia, choć serdecznie do siebie przywiązani, wadzili się bez przerwy. Trudno im było wzajem się zrozumieć, bo obaj byli szczęśliwi – jeden uganiając ze śpiewem po górskich łąkach, drugi zaś ciesząc się, że robota idzie tak pięknie. Także i w sprawie kobiety, która prosiła o przytułek w ich chacie, nie mogli się pogodzić. Zetos najchętniej przegoniłby ją precz, podejrzewał bowiem, że to po prostu zbiegła niewolnica, a jej ukrywanie ściagnie na nich biedę.

Wkrótce potem wypadły święta Dionizosa. W owym czasie tebańskie kobiety obchodziły je w sposób dziwny. Tłumnie udawały się na Kitajron i tam, na leśnych polanach, śpiewały i tańczyły w takt szaleńczego rytmu tympanonów i muzyki fletów. Noc pełna była wówczas orgiastycznych krzyków i śpiewów, a po górskich ścieżkach snuły się korowody pochodni. Dirke była gorliwą czciicielką Dionizosa. I ona więc tańczyła w mrocznych ostępach Kitajronu, zawodząc pieśni i wymachując płonąca żagwią smolnego drzewa. A kiedy brzask świtu oznajmił, że mija noc świętego szału, królowa zeszła ze stromych stoków i wstąpiła, by odpocząć, do pasterskiej chaty. Tu niespodziewanie ujrzała Antiopę. W porywie triumfującej nienawiści zapragnęła nie cierpień jej, lecz śmierci. Władczo rozkazała obu synom pasterza:

– Ta kobieta jest moją niewolnicą. Dopuściła się wielu występków i dlatego to, z obawy przed sprawiedliwą karą, uciekła z pałacu. Bogowie jednak czuwają! Sam Dionizos wydał ją w moje ręce. I wy nie jesteście bez winy. Jakim prawem ukrywacie u siebie tę zbrodniczkę? Wstawię się za wami do króla, ale sami musicie naprawić swój błąd. Zabijcie ją natychmiast, tu, w mojej obecności!

Przerażeni bracia nie sprzeciwili się ani słowem, gotowi wypełnić rozkaz. Lecz teraz dopiero, w ostatniej chwili, przemówił stary pastuch. Powoli, przez wiele, wiele dni, układał w swym prostym umyśle wszystko, co opowiadała mu Antiopa, i porównywał to z tym, co już wcześniej słyszał od ludzi z miasta. Wściekłość Dirki i przygotowania do zabójstwa bezbronnej kobiety odsłoniły pasterzowi groźbę tego, co tutaj się dzieje. Zrozumiał, czyimi dziećmi były bliźnięta, które przed laty znalazł w lesie.

Prześladownicę swej matki Amfion i Zetos przywiązali za włosy do rogów byka, którego pognali w rumowisko głazów. Tak bowiem chciała ukarać Antiopę sama Dirke! Teraz jej wycia niosły się po wąwozach i piargach, gdzie rozwścieczony zwierz miotał krwawym strzępem ciała.

Likosa, męża Dirki, bracia zwabili podstępem. Zabili go lub zmusili do ucieczki (bo różnie o tym opowiadano) i sami stali się panami Teb. Zetos natychmiast ujrzał tu wspaniałe pole do działania: miasto nie jest jeszcze otoczone murami, umocnienia posiada tylko zamek! Wnet przystąpił do znożnej pracy. Sam dźwigał potężne, ciężkie głazy, mozoląc się, lecz i radując. Bez przerwy też urągał Amfionowi. Bo ten, zamiast rękę przyłożyć do roboty, śpiewał przy wtórze dziwnie pięknej liry, którą po śmierci Dirki otrzymał od pewnego tajemniczego przybysza; ponoć był to dar samego Hermesa, posłańca bogów. Kiedy wreszcie Amfion dość miał urągań brata, wstał i podszedł ku miejscu, gdzie zwał on głazy. Nie schylił się jednak, aby je podnieść. Wyprostowany uderzył w struny owej liry – i oto stał się cud, o którym Tebańczycy z dumą głosili przez wszystkie wieki dziejów miasta. Głazy, niby żywe istoty, posłuszenie ruszyły za srebrnym głosem melodii. Toczyły się długim szeregiem, wolno i ciężko, ale nieustępliwie. Amfion prowadził je właśnie tak jak pasterz wiedzie swoją trzodę. Uległe jego woli ogromne kamienie ułożyły się wokół miasta, w siedmiu tylko miejscach czyniąc przerwę; tam otworzyło się siedem bram. Tak powstały mury wysokie i potężne, których ręka ludzka obalić nie mogła, bo nie ona je spoiła, lecz boska harmonia muzyki.

Taki był najczęściej powtarzany kształt mitu o Antiopie i Dirce. Początkowo wydawać się może, że mit to dziwny i niezwykły. Wystarczy jednak uświadomić sobie, jakie są główne jego motywy, by spojrzeć nań inaczej. Łatwo określić te motywy:

Dziewczyzna rodzi bliźnięta, których ojcem jest bóg. Dzieciom grozi śmierć, lecz trafem ocala je pasterz i potem wychowuje jak swoje. Zawistna, okrutna kobieta, prześladuje piękniejszą od siebie. Matka i synowie przypadkowo spotykają się i rozpoznają dopiero w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

W iluż to opowieściach i u iluż ludów występują te same wątki, choć w różnych wersjach i w coraz to innych sceneriach! Są to przecież ulubione tematy wszelkich baśni; swobodnie i od prawieków krążą po krainach bardzo od siebie odległych, czasem zapożyczane, czasem zaś

powstając samorodnie. Baśnią więc nazwać należy ów tebański mit o matce bliźniąt i o jej prześladowczym. W tej opowieści nikt nie będzie się doszukiwał odbicia i ech rzeczywistych wydarzeń.

Jednakże, sprawa to inna, obok wątków niewątpliwie baśniowych są też w micie o Antio-
pie pewne sceny uderzające, swoiste, jemu tylko właściwe. A więc, i to przede wszystkim, okrutne ukaranie Dirki. Ta postać w ogóle wydaje się związana właśnie z Tebami. Przecież gdzieś w okolicy tego miasta znajdował się jej grób, znany co prawda tylko naczelnikom jazdy; jak wynika z rozmowy spiskowców, w grudniu roku 379 chcieli go odszukać Spartanie.

Ale czy grób Dirki w ogóle istniał? Wielu przeczyło temu. Ci opowiadali tak:

Ponieważ Dirke była gorliwą czcicielką Dionizosa, bogowie po jej straszliwej śmierci wysłali do Teb Hermesa. Ten rozkazał obu braciom odszukać strzępy ciała królowej i spalić je, jak nakazuje święty obyczaj, na stosie pogrzebowym. Wówczas to właśnie otrzymał Amfion od boskiego posłańca czarodziejską lirę. Ale prochów swej ofiary zabójcy nie pochowali w ziemi, lecz wrzucili je do źródła, które tryska u zachodnich stoków zamkowego wzgórza. Woda tego źródła spada kaskadą do potoku płynącego w wąwozie; dlatego to zarówno samo źródło, jak i potok noszą nazwę Dirke.

Potok miał inne jeszcze źródła. Leżały one nieco na południe od Teb, w pięknym, cieni-
stym gaju. Były tam trzy krynice o wodzie krystalicznej i wyjątkowo dobrej w smaku. Może tam, w owym lasku, szukać by należało mogiły królowej? A może Dirke to po prostu imię wodnej nimfy, opiekunki źródła i potoku, której składano ofiary pradawnym i tajemnym oby-
czajem?

Spór Zetosa z Amfionem

Wszyscy Tebańczycy należący do spisku byli ludźmi wykształconymi. Znali oczywiście nie tylko mit o Dirce i Antio-
pie, lecz również sławny dramat Eurypidesa o lorach tych dwóch kobiet. Dramat ów, noszący tytuł *Antiopa*, wystawiono w Atenach przed trzydziestu mniej więcej laty, a więc około roku 410 p.n.e. Od razu zyskał sobie ogromny podziw i odtąd przez wiele wieków należał do najpilniej czytanych. Nie zachował się do naszych czasów w całości, jednakże treść jego znamy dobrze, rozmaici bowiem starożytni autorowie z wielkim upodobaniem czerpali cytaty właśnie z *Antiopy*; prócz tego stosunkowo niedawno pewne fragmenty odkryto na greckich papirusach w Egipcie. Czemuż to zawdzięczał ów dramat tak zdumiewającą popularność? Oczywiście nie samej fabule, bo przecież starożytny czytelnik, doskonale obznajmiony z mitem, wiedział już z góry, jaki będzie bieg wydarzeń. Chwalono raczej sam sposób prowadzenia akcji, nade wszystko zaś główny wątek myślowy, przewijający się poprzez prawie wszystkie sceny. Był nim wielki, zasadniczy spór pomiędzy Amfionem a Zetosem – spór pomiędzy człowiekiem myśli a człowiekiem czynu o to, co w życiu jest najwartościowsze, jaka postawa wobec świata najwłaściwsza, jakie zainteresowania najbardziej przystoją mężczyźnie. Rzecz prosta, wkładając w usta obu młodych ludzi długie przemowy na takie tematy Eurypides poruszał zagadnienia, którymi pasjonowała się nie epoka mityczna, lecz właśnie ta, w której żył on sam. W Atenach toczyły się wówczas częste dysputy pomiędzy zwolennikami życia oddanego tylko urokom myślenia i artystycznej twórczości a tymi, którzy wołali: dla państwa, dla społeczeństwa ważna jest tylko praca rąk, tylko działalność polityka, tylko zbrojny czyn żołnierza!

Oto treść zarzutów, które w dramacie Eurypidesa Zetos czyni swemu bratu:

– Troszczysz się o rzeczy błahe, lekceważysz zaś to, co powinno być głównym celem wy-
siłków. Natura dała ci mięśnie mężczyzny, a ty zaniedbujesz jej dar niegodnie. Postępujesz jak kobieta! Czy potrafiłbyś dźwignąć tarczę lub celnie rzucić włócznią? Jeśli zagrozi niebezpieczeństwo tobie lub twoim bliskim, nie stanie ci męskiej odwagi ani też siły ramienia! Nie wychwalaj mi tych umiejętności, które ostatecznie do tego tylko prowadzą, że ktoś sprawny i

dzielny staje się istotą słabą i marną. Mężczyzna, który zabawia się tylko śpiewem, a przedmiotem wszystkich swych starań czyni układanie zgrabnych wierszy, niczym nie wspomóżę swej rodziny i państwa. Nienawidzę ludzi, którzy w działaniu nie okazują energii, a mądrzy są tylko w słowach. Posłuchaj, bracie, dobrej rady: odrzuć precz lirę, bierz oręż do ręki! Jeśli chcesz, by nazwano cię człowiekiem roztroptym, musisz umieć pług prowadzić, rydwanem powozić, w walce być górą. Innym pozostaw te przemyślnie zabawy, które nigdy nie napełnią ani twego spichlerza, ani też skarbcza naszego państwa!

Amfion odpowiedział:

– Zarzucasz mi, że jestem słaby i wątpy. Mylisz się bardzo. Bo umysł sprawny posiada moc większą od najwspanialej umięśnionego ramienia. Rozum człowieka rządzi miastami i on to sprawia, że bogacą się domy. A kiedy wojna się toczy, właśnie on przynosi zwycięstwa. Tysiące krzepkich rąk nie dokonają tego, co jedna głowa mądra i przewidująca. Największym nieszczęściem pospólstwa jest jego głupota. Spójrz na atletów, którzy troszczą się tylko o swoje ciała: jakżeż są nieodporni na prawdziwe trudy, jak nieprzydatni społeczności! Toż to niewolnicy wyznaczonego sposobu odżywiania się i ciągłych ćwiczeń! Człowiek zaś bogaty, który odrzuca wszystko, co mogłoby uprzyjemnić i upiększyć mu życie, nie zasługuje, moim zdaniem, na miano szczęśliwego: to po prostu dozorca szczęśnych skarbów. Taki to już zresztą los śmiertelnych: ani pomyślność, ani też niepowodzenie nie rządzą nim jednolicie, lecz wzajem i bez przerw miejsc sobie ustępują. A skoro szczęście jest tak nietrwałe, czemuż nie miałbym cieszyć się jego urokami, póki ból mnie oszczędza? Lubię śpiew, lubię też mądrą rozmowę, ale taką, która nie dotyka drażliwych spraw polityki. Cóż to za obłęd – zajmować się bez konieczności owym kłębowiskiem ponurych intryg i brudnych interesów, skoro można żyć spokojnie wśród słodkich przyjemności! Kto ceni spokój, to przyjaciel dobry, to obywatel, na którym zawsze można polegać. Nie zachwalaj mi życia pełnego przygód! Gardzę tak samo lekkomyślnym sternikiem, jak i przywódcą państwa, który nazbyt jest skory kusić los tajemniczy!

Takie to argumenty wytoczyli bracia. Chór zaś, który przysłuchiwał się ich rozmowie, nie śmiał przyznać racji ani Amfionowi, ani też Zetosowi. Zadowolili się nieco cynicznym stwierdzeniem, że każdy temat, jeśli tylko pochwyca go ludzie bystrzy i wymowni, można przedstawić przekonywająco na dwa przeciwstawne sposoby. Sam jednak poeta, idąc za mitem, oddał ostateczne zwycięstwo Amfionowi, bo dźwięk jego liry poruszył nawet kamienie.

Jak się już rzekło, to nie Amfion i Zetos wiedli ów spór, lecz – ich ustami – dwaj młodzi ludzie żyjący w V wieku p.n.e. w którymkolwiek z miast Hellady: w Atenach, w Tebach czy też w Koryncie. Tę dwoistość postaw wobec życia zwalczać by winno właściwie samo ówczesne wychowanie. Miało ono w swym założeniu harmonijnie kształcić zarówno sprawność fizyczną, jak i zdolności duchowe. Palestra i gimnazjon były miejscami ćwiczeń sportowych, nauczyciele zaś muzyki i gramatycy wpajali umiejętność gry na instrumentach i śpiewu, znajomość poezji i retoryki. Jednakże owa równowaga dwóch zasad i celów kształcenia pozostawała tylko ideałem. Większości wystarczało wychowanie fizyczne oraz zwykła umiejętność czytania, pisania, rachowania – i to tylko o tyle, o ile było to konieczne w życiu codziennym. Ci krzepcy i głupawi z pogardą patrzyli na swych raczej cherlawych rówieśników, którzy z zapalem szaleńców poświęcali wszystkim swój czas sprawom absolutnie nieprzydatnym: entuzjastkowali się nowościami poezji, dyskutowali o absurdalnych pomysłach filozofów, poważnie rozprawiali o wpływie muzyki na ludzką umysłowość, a zamiast ćwiczyć na piasku boiska, kreślili na nim dziwaczne figury geometryczne!

Tak więc mit o Antiopie posłużył Eurypidesowi tylko jako tło i pretekst dla pokazania spraw, które w istocie dotyczyły właśnie współczesności. Jako jeden z pierwszych poruszył temat, który w wiekach późniejszych wielokrotnie podejmowali filozofowie, pisarze, poeci: konflikt ideałów życiowych, wielki spór pomiędzy jak to nazywali Hellenowie, *bios theoretikos a bios praktikos*.

Kiedy dziś, po dwudziestu pięciu wiekach, odczytujemy oskarżenie i obronę życia poświęconego teorii, czyli nauce i sztuce, argumenty obu stron wydają się bardzo powierzchowne, a nawet naiwne. Wypada jednak skłonić się z szacunkiem przed tą piękną sceną *Antiopy*. Przecież to pierwsze w dziejach ludzkości tak jasno sformułowane hasła intelektualnego buntu przeciw przyziemności, praktycyzmowi, ciasnocie horyzontów! Odtąd święta cześć teorii, choć czasem tłumiona siłą lub chłostana prostacką drwiną, szerzy się na tym kontynencie coraz promieniściej. Jej to zawdzięczamy chwałę i tragedię nauki naszych czasów. Trzeba co prawda stwierdzić ze wstydem i smutkiem, że Zetos, namiętny wróg *bios theoretikos*, i obecnie znalazłby rzesze popleczników; ale nie do nich należy przyszłość.

Rzeźba i elegia

W roku 1546, kiedy papieżem był Paweł III z rodu Farnese, przypadkowo doszło w Rzymie do niezwykłego odkrycia. Oto w pobliżu ruin kolosalnych term (zbudował je cesarz Karakalla) wydobyto z ziemi ogromną rzeźbę, złożoną z kilku bloków marmuru, porozrzuconych jednak i mocno uszkodzonych. Niegdyś, gdy termy Karakalli stały w blasku swej świetności, ta wielka rzeźba zdobiła którąś z ich sal lub przylegający park. Choć brakowało sporo fragmentów, łatwo było odgadnąć, co przedstawia to imponujące dzieło.

Dwóch młodych ludzi stojąc na skale przytrzymuje za rogi potężnego byka; u ich stóp siedzi przerażona kobieta, wyciągając błagalnie obie ręce, w tyle zaś przygląda się tej dziwnej scenie inna niewiasta; mały pastuszek, który przykucnął na pierwszym planie wśród załomów skały, symbolizuje, że wszystko to dzieje się w górach, a zarazem, właśnie przez swoją małość, jakby zwielokrotnia ogrom głównych postaci.

Znawcy starożytnej mitologii nie mieli żadnych wątpliwości, orzekli od razu:

– To Amfion i Zetos przywiązują do rogów byka prześladowczynię swej matki, Dirkę! Amfiona można wskazać bez trudu, bo u jego nóg znajduje się lira. Bluszcz i kosz koło Dirki oznaczają, że poszła w ostępy Kitajronu, by czcić Dionizosa.

Wkrótce po odnalezieniu rzeźby renesansowi artyści przystąpili do prac restauracyjnych. Wynik ich ogólnie trzeba uznać za udany, choć w pewnych szczegółach, jak się wydaje, starożytny pierwowzór wyglądał nieco inaczej. Tak więc Zetos, który stoi tuż nad Dirką, ciągnie oburącz powróż, uwiązany do rogów byka: starożytna rzeźba była drastyczniejsza, bo młody człowiek lewą ręką trzymał kobietę za włosy. Po uzupełnieniu brakujących fragmentów olbrzymia kompozycja plastyczna przez długie lata zdobiła rzymski pałac Farnese: stąd też poszła jej nazwa – „byk farnezyjski”. Dziś znajduje się w Muzeum Narodowym w Neapolu.

Jeden z antycznych autorów podaje², że właśnie taka sama rzeźba – ale wykuta w jednym tylko bloku marmuru! – była za czasów cesarza Augusta w posiadaniu pewnego zamożnego i sławnego arystokraty; zwał się on Azyniusz Pollion, a znany był też ze swych zainteresowań

historycznych. Tenże sam autor informuje, że twórcami owej rzeźby byli dwaj greccy rzeźbiarze, żyjący na wyspie Rodos i I wieku p.n.e., Apollonios i Tauriskos. Rzeźba, którą odnaleziono koło term Karakalli, z całą pewnością nie jest ich oryginalnym dziełem, bo – jak się już rzekło – składa się z kilku bloków marmuru; jest to więc tylko kopia, wykonana prawdopodobnie w samym Rzymie w ciągu I wieku n.e.

Jednakże rodyjscy rzeźbiarze również nie byli całkowicie samodzielni. Wiadomo bowiem, że scena ukarania Dirki należała już przed nimi do ulubionych tematów kompozycji malarzkich i rzeźbiarskich; sprawiła to popularność *Antiopy* Eurypidesa. Apollonios i Tauriskos stworzyli to piękne dzieło pracując, oczywiście, na zamówienie: ktoś bardzo bogaty pragnął

²Piliusz, *Historia Naturalna*, XXXVI 33 – 34.

uświetnić swoją posiadłość ustawiając wśród drzew i sztucznych skał tę grupę pełną siły, ruchu, pierwotnej dzikości. Jednakże ów milioner niedługo cieszył się mitycznym Kitajronem w ogrodzie swej willi; Rzymianie, którzy z lubością rabowali skarby helleńskiej sztuki, przewieźli rzeźbę do stolicy swego państwa, gdzie dostała się w posiadanie właśnie Azyniusza Polliona.

Z dumą pokazywał on dzieło rodyjskich mistrzów wszystkim, którzy dom jego odwiedzali. Był wśród gości również i znany wówczas poeta, Propercjusz. Właśnie ta rzeźba podsunęła mu temat jednego z poematów miłosnych³. Kochał się Propercjusz w pięknej pani, którą w swych utworach nazywa zmyślonym imieniem Cyntia. Ale – otwarcie wyznaje to poeta na samym początku utworu – kiedy dopiero stawał się młodzieńcem, w tajniki miłości wprowadził go ktoś inny: służąca Cyntii, imieniem Licynna. Uczyniła to z czystej sympatii, nie wzięła nawet podarunku! Zresztą, mówi poeta:

„Upłynęły od tego czasu już prawie trzy lata, a ja nie zamieniłem z nią więcej niż dziesięć słów. Wszystko bowiem, co mnie z Licynną łączyło, pogrzebała na zawsze miłość ku tobie, Cyntio! Odkąd ciebie pokochałem, żadna już kobieta nie objęła mej szyi słodkim uściskiem.”

Znając jednak serca niewieście od razu przechodzi do ostrzeżeń tej treści:

„Pamiętaj, Cyntio, o losie Dirki! Przecież znęcała się ona nad niewinną Antiopą, podejrzewając – równie niesłusznie, jak ty podejrzewasz mnie i Licynnę – że Likos jej sprzyja. Jakiż straszny los spotkał Dirkę z ręki synów Antiopy! Więc i ty nie dręcz Licynny, która doprawdy na to nie zasłużyła.”

W skuteczność tych wywodów sam Propercjusz nie bardzo wierzył, kończy bowiem sentencjonalnie:

„Nie ma jednak sposobu, by ujarzmić gniew kobiecy...”

Grób Alkmeny

Mogiłę Dirki Spartanie chcieli dopiero odszukać. Natomiast grób Alkmeny, jak to Fejdołas opowiadał spiskowcom przed bramą domu Symiasza, Spartanie nie tylko znaleźli, lecz i rozkopali. Jednakże i co do tego grobu nie było zgody, czy jest on prawdziwy, a nawet, czy Alkmena była gdziekolwiek pochowana. Sami Tebańczycy opowiadali tak: Alkmena dwukrotnie przebywała w naszym mieście przez czas dłuższy. Tu mieszkała jako żona Amfitriona, w domu, którego ruiny wciąż sterczą koło jednej z bram. Tutaj uwiódł ją Zeus przybierając postać właśnie Amfitriona, i tutaj też urodziła swego sławnego syna Heraklesa.

Powróciła Alkmena do Teb już po jego męczeńskiej śmierci, kiedy bohater wstąpił na Olimp i zasiadł wśród bogów. Zmarła w bardzo podeszłym wieku. W przeddzień pogrzebu Zeus wysłał Hermesa. Ten potajemnie włożył do trumny wielki głaz, zmarłą zaś wskrzesił i zaprowadził daleko na zachód. Są tam Wyspy Szczęśliwości, gdzie nie ma ani śniegu, ani burz, gdzie nawet deszcz nigdy nie pada, a tylko łagodny powiew od oceanu orzeźwia roślinność i mieszkańców. Tam Alkmena powróciła do krasy swej młodości i poślubiła Radamantysa; niegdyś królował on sprawiedliwie na Krecie, teraz zaś sprawuje rządy w krainie zmarłych. Tak wynagrodził Zeus kobietę, którą podstępem uwiódł przed laty, a której syn zbawił świat od wielkich nieszczęść. Tymczasem wnukowie Alkmeny, Heraklidzi, przybyli na jej pogrzeb z Peloponezu, gdzie wówczas władali. Wzięli trumnę na ramiona, ale wydała się im dziwnie ciężka. Złożyli ją na ziemi i podnieśli wieko: zamiast zwłok znaleźli kamień. Ustawili go w gaju za murami naszego miasta i odtąd przez wszystkie wieki nieprzerwanie oddajemy mu cześć niemal boską.

Wielu jednak Hellenów przeczyło tej legendzie. Ci głosili, że Alkmenę wyniósł Zeus na Olimp. Tam bytuje ona wśród bogów nieśmiertelnych wraz ze swym synem.

³Propercjusz, *Elegie*, III 15.

Jeszcze inaczej przedstawiali sprawę mieszkańcy miasta Haliartos. Leży ono o jakieś trzy godziny drogi na wschód od Teb, nad samym brzegiem jeziora Kopais. Tutaj zapewniano:

Alkmena spędziła schyłek życia w naszych właśnie stronach. U nas też pojął ją za żonę Radamantys; wygnany ze swej rodzinnej wyspy Krety, żył on tu pod imieniem Aleos. Posiadamy zresztą do dziś namacalny dowód owych pradawnych związków naszej ziemi z daleką wyspą! Bo tylko u nas i na Krecie rośnie cenny krzew zwany styraks. Daje on pięknie pachnącą żywicę. Przywiózł go ze sobą właśnie Radamantys. Po długich latach zgodnego pożycia z Alkmena spoczął w jednym z nią grobie, w pobliżu murów naszego miasta.

Nie było sposobu, żeby pogodzić owe opowieści lub wykazać, która z nich jest wiarygodniejsza. Nikogo to zresztą nie dziwiło, tym bardziej, że były inne jeszcze miejscowości, które również szczyły się posiadaniem grobu Alkmeny. A w ogóle któż by poważnie roztrząsał, ile jest prawdy w lokalnych mitach? Sprawa nabrała znaczenia dopiero dzięki pewnym wydarzeniom wojskowym i politycznym.

Rozmowa spiskowców toczyła się, jak pamiętamy, w grudniu roku 379. Otóż szesnaście lat wcześniej, późną jesienią roku 395, Spartanie ponieśli dotkliwą klęskę w bitwie z Tebańczykami właśnie pod Haliartos. Pozostawili pod murami tego miasta i u brzegów jeziora setki zabitych. Natychmiast zaczęto w Sparcie dochodzić, jaka była przyczyna nieszczęścia. Przecież dotychczas właśnie Spartanie byli największą potęgą wojskową w całej Helladzie, Tebańczycy zaś na polach bitwy nigdy się nie wyróżniali! Pycha nie pozwalała pokonanym przyznać, że zgubiło ich niedołęstwo wodzów i zbytne zaufanie we własne siły. Nie, dowodzili Spartanie, powód klęski leży głębiej, okryty jest tajemnicą! Bo nie jest do pomyślenia, by zmożła nas ludzka ręka! Wreszcie, po długich badaniach, znaleźli ten powód:

Bogowie i bohaterowie rozgniewali się na Spartę, albowiem jej królowie, choć wywodzą się od Heraklesa, przez tyle wieków nie zatroszczyli się o to, by sprowadzić do swego państwa prochy matki Heraklesa! Dlatego to klęska spadła na wojska spartańskie właśnie pod Haliartos, w pobliżu grobu Alkmeny!

Spartanie postanowili naprawić to wiekowe zaniedbanie, kiedy tylko znowu zawładną ziemiami Teb i Haliartos.

W roku 382 na czele tebańskiego rządu stało dwóch nienawidzących się ludzi: Izmeniasz, który sprzyjał demokratom i szukał oparcia w Atenach, oraz Leontiades, możnowładca i konserwatysta. Ten ostatni wyraźnie tracił wpływy. By się ratować, Leontiades nawiązał tajne porozumienie z oddziałem wojsk spartańskich, który latem roku 382 przechodził w pobliżu Teb maszerując ku północnym krainom Hellady. Właśnie odbywało się w mieście święto ku czci bogini Demeter zwane Tesmoforia. Zgodnie z pradawnym zwyczajem, w tym dniu kobiety udawały się do przybytku bogini na wzgórzu Kadmeja, mężczyźni natomiast opuszczali zamek, aby swoją obecnością nie przeszkadzać niewiastom w dokonywaniu świętych obrzędów. Zeszli więc z Kadmei wszyscy urzędnicy, zwinięto nawet straże przy bramach i na murach. Spartanie wkroczyli do miasta w samo południe, kiedy kto żyw chronił się przed upałem w domu. Ulice były jak wymarłe. Żołnierze spokojnie przemaszerowali przez środek miasta i bez najmniejszego wysiłku zajęli zamek. Kiedy tylko to się stało, Leontiades natychmiast wszedł do gmachu przy rynku miasta, gdzie już się zaczęła zbierać przerażona rada. Powiedział:

– Zajęcie Kadmei przez Spartan nie powinno budzić w nikim żadnych obaw. Spartanie bowiem przybyli tu jako nasi przyjaciele. Nie żywią żadnych wrogich zamiarów wobec kogokolwiek. Lękać się ich powinni tylko ci nikczemnicy, którzy już od dawna podlegają do wojny. Ja sam działam będąc obecnie na mocy świętego prawa. Pozwala ono polemarchowi więzić bez sądu każdego obywatela, który popełnił zbrodnię obłożoną karą śmierci. Podburzanie ludu i wzywanie do zgubnej wojny na pewno należy do takich zbrodni. Dlatego aresztuję Izmeniasza jako wroga porządku i pokoju!

Znalazło się wśród zebranych wielu, którzy – rzekomo z rozsądku, a naprawdę z tchórzostwa – natychmiast posłuchali Leontiadesa. Później przewieziono Izmeniasza do Sparty i tam skazano go na śmierć. W Tebach rozpoczęły się rządy tyranów i Spartan. Miejsce Izmeniasza zajął jako polemarch Archiasz. Opozycję złamano terrorem: kto nie zdołał uratować się ucieczką, szedł do więzienia lub ginął. Najwięcej wygnańców znalazło się, jak była o tym już mowa, w Atenach.

Kiedy Spartanie umocnili się w Tebach i w Haliartos, rozkopali grób Alkmeny. Jak wynika z tego, co tam znaleziono, pochodził on rzeczywiście z czasów pradawnych. Owe dwie gliniane amfory, w których znajdowała się ziemia stwardniała, na kamień, to najpewniej naczynia z popiołami spalonych ciał lub z resztkami ofiar. Prawdziwa jednak zagadka to brązowa tabliczka pokryta pismem, którego znaki przypominały egipskie. Dlatego to król spartański Agezylaos posłał ją, dla odczytania, aż do Egiptu. Oba bowiem kraje pozostawały wówczas w dobrych stosunkach ze sobą i często wymieniały poselstwa, z lękiem patrząc w stronę największej potęgi ówczesnego świata, jaką była Persja.

Arcykapłan Chonufis odczytuje tabliczkę

Rozmawiając o grobie Alkmeny Teokryt i jego towarzysze czekali na ulicy dość długo, póki domu Symiasza nie opuścił Leontiades – był to ten właśnie człowiek, który przed trzema laty przyzwał do miasta Spartan! – oraz ludzie z jego otoczenia. Wówczas dopiero grupa spiskowców weszła do środka.

Symiasz siedział na łóżku, pogrążony w ponurych myślach. Nie trzeba było pytać, rzecz najważniejszą każdy mógł odczytać z wyrazu twarzy: prośby nie odniosły skutku, wyrok na Amfiteosie będzie wykonany. Po dłuższej chwili ogólnego milczenia Symiasz jakby się ocknął. Spojrzał na swych gości i powiedział ciężko wzdychając:

– Na bogów, cóż to za ludzie byli tu przed wami! Toż to dzikie bestie! Zupełnie słuszne jest to stare powiedzenie: nic osobliwszego i nic wstrętniejszego nad starca u władzy. Choćby nawet bezpośrednio i osobiście nie doznawało się krzywdy, to przecież wystarcza sama ta skostniałość, żeby zniechęcić władzę, która łamie prawo, przed nikim nie czuje się odpowiedzialna, rozsądnych zaś argumentów nawet nie usiłuje zrozumieć. Oczywiście, te cechy mogą występować i u młodego, ale właśnie starość przydaje im ową, jak powiedziałem, skostniałość.

Na obronę Leontiadesa można by rzec to tylko, że Amfiteos był w jego oczach szczególnie winny; uchodził on bowiem za przywódcę spisku, który przygotowywał powstanie przeciw tyranom oraz ich ostoji, spartańskiej załodze na Kadmei. W istocie rzecz wyglądała inaczej: mózgiem i duszą sprzysiężenia był młody Pelopidas, który już od dawna działał jako wygnańiec w Atenach, obecnie zaś przewodził siedmiu zdążającym ku Tebom przez Kitajron. Ale o tym wszystkim Leontiades nic nie wiedział.

Tymczasem Symiasz otrząsnął się już zupełnie i odsunął od siebie złe myśli, jak przystało na filozofa. Powiedział:

– Trudno, tę sprawę musimy polecić opiece bogów. Ale, ale, mój Kafizjaszu, cóż to za cudzoziemiec przyszedł dziś do waszego domu?

Symiasz oczywiście należał do spisku, lecz Kafizjasz wolał przezornie zapytać:

– O kim mówisz?

– Dopiero co powiedział mi o tym sam Leontiades. Doniesiono mu, że koło grobowca Lizjasza widziano jakiegoś obcego człowieka, który nawet nocował tam ze swoją służbą. Ale spał na ziemi, na posłaniu z gałązek tamaryszku i wikliny. Były też ślady jakiejś ofiary z mleka, składanej przy ognisku. O świcie zaś rozpytywał ów człowiek przechodniów, czy zastanie w mieście ciebie, Kafizjaszu, i twego brata Epaminondasa.

Kafizjasz zaniepokoił się, bo rzeczywiście nie wiedział o niczym; z domu wyszedł bardzo wcześnie, by zdążyć do Charona na spotkanie z towarzyszami sprzysiężenia i dowiedzieć się, co z tymi siedmioma, którzy mieli wyruszyć z Aten. Zaczął więc zastanawiać się głośno:

– Kto też mógłby to być, ten obcy? Chyba ktoś znamienity, jeśli miał służbę. Ale że też nikt go nie spytał skąd przyjechał?

Przerwał mu jednak Fejdolaos, i to dość niecierpliwie; bo ogromnie zaciekawiała go opowieść Teokryta o tajemniczej tabliczce grobowej, którą dla odczytania posłano aż do Egiptu, i koniecznie chciał się dowiedzieć czegoś więcej w tej sprawie. Rzekł więc dość bezceremonialnie:

– Tak, tak, to na pewno człowiek znamienity. Przyjmiemy go, jak się należy, kiedy trafi tu do nas. Ale teraz powiedz nam, Symiaszu: jak to właściwie było z tą tabliczką, którą król Agezylaos kazał wyjąć z grobu Alkmeny. Czy kapłani egipscy odczytali wypisane na niej znaki?

Symiasz od razu przypomniał sobie całą sprawę i chętnie podjął ten temat; lubił chwalić się swymi podróżami i z widoczną przyjemnością wspominał o niezwykłych znajomościach, jakie zawarł w dalekich krainach. Powiedział:

– Samej tabliczki prawdę mówiąc nie widziałem. Ale do miasta Memfis w Egipcie rzeczywiście przyjechał poseł Agezylaosa, króla Sparty. To mogę poświadczyć, bo właśnie w tym samym czasie bawiłem tam dla studiów, i to razem z Platonem. Często też spotykaliśmy się z tamtejszym arcykapłanem, który zwał się Chonufis. Otóż do niego to zwrócił się poseł spartański z polecenia samego faraona. Chonufis przez trzy dni zagłębiał się w prastare księgi, w których objaśnione są wszystkie rodzaje pisma. Potem odpisał królowi, wyjaśniając całą rzecz gruntownie. Nas również powiadomił, z jakiego czasu jest tabliczka i jaka treść jej napisu. Otóż zdaniem Chonufisa wygląd znaków wskazuje na czasy króla Proteusa, który panował w Egipcie w okresie wojny trojańskiej lub nieco wcześniej. Pisma tego miał się ponoć nauczyć Herakles syn Alkmeny, kiedy przebywał w Egipcie. On to zaniósł jego znajomość do Hellady. Treścią zaś napisu są przykazania, by Hellenowie odbywali igrzyska ku czci Muz i współżyli w pokoju, rywalizując między sobą tylko w umiłowaniu mądrości, sprawiedliwości zaś dochodząc rozumem, a nie orężem. Tak opowiadał Chonufis o tej tabliczce i nas obu przekonał całkowicie.

Zasady, które Chonufis wyczytał na pradawnej tabliczce grobowej, były wzniosłe, przykładne, budujące. Nic więc dziwnego, że filozofowie, Symiasz i Platon, przyklasnęli im z entuzjazmem i uznali zagadkę tajemniczego pisma za rozwiązaną. Przed mądrością egipskich kapłanów Hellenowie chylili czoła z wielką pokorą, powszechne bowiem było przekonanie, że właśnie z kraju piramid wywodzą się niemal wszystkie umiejętności, a także najstarsze wierzenia religijne. W jaki zresztą sposób można by Chonufisowi udowodnić, że fantazjuje, w istocie zaś nie ma pojęcia, co to za pismo i jak należy je tłumaczyć? Ostatecznie, znaki na pierwszy rzut oka mogły wydawać się podobne do egipskich hieroglifów.

W rzeczywistości wszystko przedstawiało się inaczej, niż to twierdził arcykapłan. Pismo tabliczki nie miało nic wspólnego z Egiptem, nawet w najślabszym stopniu nie było naśladownictwem pięknych znaków używanych nad Nilem od tysiącleci. Miało inny rodowód, wówczas jednak nie znany nikomu, osłonięty mrokiem prawdziwie grobowej tajemnicy. Odkopali bowiem Spartanie mogiłę Alkmeny dopiero po zajęciu Teb i Haliartos, więc najwcześniej w roku 382; a tymczasem pismo, którego znaki widniały na tabliczce, było już całkowicie zapomniane od ośmiu wieków! Zginęło w wieku XII p.n.e., razem z wielką cywilizacją, która je stworzyła.

Atlantyda

Symiasz twierdził, że w Egipcie przebywał razem z nim Platon. Czy prawda to, czy też Symiasz mówił tak dlatego, by dodać swej opowieści powagi przez powołanie się na świadka już wówczas bardzo sławnego? Są dziś tacy uczeni, którzy utrzymują, że Platon w ogóle nie odwiedził Egiptu, choć wielu autorów starożytnych podaje to jako fakt niewątpliwy. Pewne jest natomiast, że Platon, jak wszyscy Hellenowie, był pod wrażeniem wiecznotrwałości egipskiej kultury; temu pokornemu podziwowi dawał wyraz często i otwarcie. Nie sądził jednak, by właśnie i tylko nad Nilem zrodzić się miała najstarsza w ogóle cywilizacja ziemska, z której wywodzą się wszystkie inne. Stanowisko filozofa w tej sprawie jest znacznie ciekawsze. Był on zdania, że również i w innych krajach powstawały w zamierchłej przeszłości bardzo wysokie kultury, te jednak co pewien czas upadały i ginęły bez śladu skutkiem gwałtownych kataklizmów; na ich miejscu kiełkowały później nowe cywilizacje, nie nawiązujące jednak do poprzednich, ba, nawet niepomne tego, że nie są pierwsze! Natomiast, zdaniem Platona, wielkość i znaczenie kultury Egiptu polega przede wszystkim na tym, że przeżyła ona rozkwity i upadki innych cywilizacji, trwając przez tysiąclecia, niezmienna i nienaruszona, jak skała wśród burzliwych fal oceanu.

Swój pogląd wyraził Platon, jak było jego zwyczajem, nie wprost, lecz w postaci rozmowy, którą rzekomo miał toczyć w VI wieku Ateńczyk Solon z pewnym kapłanem egipskim. W czasie swych podróży przybył Solon do miasta w delcie Nilu; zwało się ono Sais, a jako patronkę czczono tam boginię Neit. Miejscowi kapłani utrzymywali, że to samo bóstwo znane jest Hellenom jako Atena, obie bowiem boginie czci się jako dziewice, obie też są wojownicze i przedstawiane zawsze z bronią w ręku: Atena ma hełm, tarczę i włócznię, Neit zaś strzały i włócznię. Nie trzeba dowodzić, że wszystkie te podobieństwa są przypadkowe. Naprawdę ważne było to tylko, że Ateny utrzymywały od dawna stosunki handlowe właśnie z miastem Sais; z tej to właśnie przyczyny tamtejsi Egipcjanie odnosili się do gości z Aten bardzo przyjaźnie i powoływali się na pobratymstwo religijne.

Solona ogromnie interesowała starożytność tego kraju. Prowadził wiele rozmów z kapłanami i chciał się koniecznie dowiedzieć, jak to właściwie przedstawiały się początki ludzkości; sam natomiast zapoznawał Egipcjan z helleńskimi mitami o najdawniejszych czasach. Opowiadając jeden z nich wspominał, że według Hellenów był kiedyś potop, z którego wyratowało się tylko dwoje: Deukalion i Pyrra; od nich to wywodzą się wszyscy ludzie dziś żyjący; licząc pokoleniami wstecz można by dojść, kiedy to spadł na ziemię ów kataklizm. Jednakże te Solonowe opowieści wywołały u kapłanów tylko uśmiechy, a ktoś rzekł pobłażliwie:

– Oj, Solonie, Solonie! Wy, Hellenowie, zawsze jesteście dziećmi. Nie ma Hellena starca. Zdziwiony Ateńczyk zapytał:

– Jak mam rozumieć twoje słowa?

– Wszyscy macie młode dusze, bo nie kryje się w nich żaden dawny pogląd, wyrastający ze starożytnej tradycji, ani też żadna wiedza, wiekiem szanowana. A jaka tego przyczyna? Zguba przychodziła na rodzaj ludzki wiele już razy i różnymi sposobami – i przyjdzie jeszcze nieraz. Największe katastrofy spadały od ognia i wody, a z tysięcy odmiennych przyczyn inne, krócej trwające. Przecież to i wy opowiadacie, jak to Faeton, syn Heliosa – Słońca, zaprzął pewnego razu konie do rydwanu swego ojca; ale nie umiał utrzymać ich na właściwej drodze, wzniecił więc pożar całej ziemi, a sam zginął rażony piorunem Zeusa. Tak się to opowiada pod postacią mitu, ale jest w tym jądro prawdy: wystarczy bowiem nawet drobna zmiana w torze ciał biegnących po niebie, by ogień spalił ziemską powierzchnię; a takie zmiany rzeczywiście się dokonują, choć w wielowiekowych odstępach czasu. Wówczas to mieszkańcy gór, wyżyn i pustyń bardziej narażeni są na zgubę niż ci, co siedzą koło rzek i nad morzem.

Dla nas natomiast Nil jest zbawieniem, jak w wielu innych wypadkach. A kiedy znowu bogowie oczyszczają ziemię zalewając ją wodami, wtedy zachować życie mogą górscy pasterze, ludzie natomiast w waszych miastach wezbrane rzeki porywają do morza. W naszym zaś kraju ani wówczas, ani też w żadnym innym czasie woda nie spływa na pola z niebios, lecz wprost przeciwnie, stopniowo i spokojnie podchodzi od dołu; a przed tym można się uchronić. Z tych to właśnie przyczyn zachowują się u nas i trwają rzeczy z najodleglejszej starożytności.

Cokolwiek się zdarzy – u was, u nas czy też w innej, znanej nam ze słyszenia krainie – cokolwiek się zdarzy pięknego i ważnego albo w ogóle doniosłego z jakiegoś tam względu, to wszystko od starożytności zapisywane jest tu w świątyniach i przechowywane. Natomiast historia wasza, czy też innych ludów, zaledwie się utrwali w piśmie, a oto już przychodzi potop z nieba, czy jakiś tam kataklizm, niby wciąż powracająca choroba – i cóż zostawia po sobie? Owszem, wszędzie ocaleje garstka ludzi, ale są to zawsze ci najmniej wykształceni, pisma nie znający. Tak więc rodzicie się wciąż na nowo, jesteście niby młodzieńcy, którzy prawie nic nie wiedzą ani o cudzej przeszłości, ani nawet o własnej – bo jej nie mają. Wszystkie te twoje genealogie, Solonie, i owe mity, po prawdzie niewiele się różnią od bajek dla dzieci.

Potem kapłan zaczął Solonowi wyklądać, że ów potop, z którego wyratowali się tylko Deukalion i Pyrra, był potopem ostatnim, bo przed nim nieraz już wody zalewały ziemię. Twierdził także, że przed jakimiś dziesięciu tysiącami lat bogini Atena-Neit utworzyła państwo o wręcz idealnym ustroju, i to właśnie w tym kraju, z którego obecnie Solon pochodzi; dopiero potem, po tysiącu lat, zrodziło się z woli tejże bogini państwo egipskie, oparte na tych samych zasadach. Otóż dawne państwo ateńskie dzielnie przeciwstawiło się potędze, która wówczas, przed tysiącami lat, szła na Europę i Azję od zachodu, od Atlantyku. Istniała wtedy na tym oceanie ogromna wyspa, zamieszkała przez lud możny i bogaty. Ateńczycy odparli najazd Atlantydów i w ten sposób ocalili wolność ludów nad Morzem Śródziemnym. Ale później przyszedł straszliwy kataklizm, trzęsienie ziemi i potop. W ciągu jednego dnia i jednej nocy Atlantydę zalało morze, a wspaniałe wojska dawnych Ateńczyków pochłonęła ziemia. Zaczęła się nowa epoka, pamięć zaś o tamtych czasach przetrwała tylko w Egipcie.

Ta opowieść, którą Solon miał usłyszeć od egipskiego kapłana, posłużyła Platonowi za wstęp do traktatu o stworzeniu świata; dał mu tytuł *Timajos*. I potem raz jeszcze, w traktacie *Kritias*, powrócił filozof do tych samych spraw, aby przedstawić ustrój państwa doskonałego właśnie na przykładzie Atlantyd i Aten sprzed kataklizmu.

Wszystko to było tylko poetycką oprawą uczonej rozprawy. Oczywiście, mit o Atlantydzie nie był zupełnie swobodnym wymysłem Platona, lecz wyrósł na pożywcze pewnych faktów. Żeglarze helleńscy powracający z dalekich wypraw na Zachód opowiadali z zachwytem o bogactwie krain nad Atlantykem. Niektóre szczegóły w obrazie Atlantyd u Platona zdają się wskazywać, że docierały do Hellady wieści o możnym mieście Tartessos w południowej Hiszpanii; kwitnęło ono gdzieś od roku 1100 do 500 p.n.e., potem zaś zamarło – czy to skutkiem przyczyn naturalnych, czy też jakiejś katastrofy politycznej. Już poprzednicy Platona wyolbrzymili i ubarwili opowiadania o Tartessos-Atlantydzie oraz cofnęli je mocno w przeszłość.

O całej tej sprawie napisano już bardzo wiele, może nawet więcej, niż rzecz sama w sobie zasługuje. Jest natomiast w micie o Atlantydzie, jak go czytamy u Platona, coś innego, ze wszech miar godnego uwagi: oto przejawia się tam swoiste rozumienie dziejów ludzkości, zgodne zresztą ze sposobem myślenia chyba wszystkich Hellenów. My widzimy historię cywilizacji jako linię prostą, która wciąż, mimo pewnych załamań, pnie się ku górze, coraz wyżej i coraz stromiej – od stanu niemal zwierzęcej dzikości ku pełnemu władztwu nad materią martwą i ożywioną. Według Platona jednak proces dziejowy to linia falista, która wznosi się i opada posłuszna rytmowi wielkich przemian we wszechświecie: były już okresy większej

świątyni, ludzkość stała na wyższym poziomie niż obecny, przyjdą jeszcze wieki upadku, a potem znowu odrodzenia.

Z jakichże to doświadczeń, na jakim gruncie mógł zrodzić się taki pogląd na dzieje cywilizacji świata? By to zrozumieć, trzeba stale pamiętać, że jedną z podstawowych treści helleńskiego wykształcenia były mity, głoszące chwałę wielkiej epoki bohaterów. O tym już mówiliśmy. Tamtej epoce teraźniejszość nie dorównywała: ludzie byli wówczas dzielniejsi, budowlę, sądząc po ruinach, wspanialsze, bogowie zaś obcowali ze śmiertelnymi prawie jak równi z równymi. Ale ów świat runął i minął bezpowrotnie, nie pozostawiając swej historii spisanej, lecz tylko legendy przekazywane drogą ustną. Pokolenia żyły po owej katastrofie jak barbarzyńcy. Samorzutnie nasuwało się pytanie: może przed epoką bohaterów były też czasy wspaniałe, których kresem stały się kataklizmy, jedynym zaś echem mity o potopach i pożarach świata?

Mykeny i Kadmeja

Epoka bohaterów, jak się już rzekło, skończyła się, i to gwałtownie, w XII wieku p.n.e. Tak obliczali uczeni starożytni na podstawie genealogii dawnych rodów, i do takiegoż wniosku dochodzą badacze nowożytni, choć stosują inne metody i uwzględniają dane różnorodne. Zgadza się też starożytni i nowsi historycy, że powodem upadku owego świata nie był jakiś kataklizm naturalny, lecz najazd plemion, które właśnie w XII wieku przesunęły się z północy Hellady na samo południe Peloponezu; stamtąd dotarły nawet na wyspę Krete, po drodze zaś burzyły i niszczyły wszystkie ośrodki wyższej kultury. Były to plemiona Dorów. W helleńskiej mitologii, o czym mówiliśmy już, najazd nosi nazwę „powrotu Heraklidów”, bo doryccy władcy wywodzili się od Heraklesa. Dlatego to właśnie król doryckich Spartan przeniósł do swego kraju prochy Alkmeny, matki Heraklesa.

Powraca tu jednak pytanie, które zostało postawione już uprzednio. Hellenowie wierzyli niezachwianie, że istniał niegdyś wspaniały świat bohaterów; na jakiejże to jednak podstawie można dziś utrzymywać, że wiek XII widział ruinę wielkiej cywilizacji?

W gruncie rzeczy odpowiedź na to pytanie zawdzięczamy jednemu tylko człowiekowi. Był nim Henryk Schliemann. Pełen uwielbienia dla helleńskich mitów, a zwłaszcza dla tych, które uwiecznił Homer, poświęcił swe życie udowodnieniu, że są one wprawdzie poetyckim, ale jednak wiernym odbiciem realnych faktów i rzeczywistego świata. Od roku 1870 przez lat prawie 30 prowadził Schliemann wykopaliska właśnie w tych miejscowościach, które swoją sławę zawdzięczają mitom. Pokazał naocznie, że wszędzie tam istotnie wznosiły się niegdyś wspaniałe zamki i budowle, pełne olśniewających bogactw i dzieł sztuki, zamieszkałe przez ludzi możnych i wojowniczych; sposób życia był wówczas całkiem odmienny niż w czasach Hellady klasycznej, a świątyni prawie wszystkich tych miejscowości kończy się w wieku XII.

Najpotężniejszy i najbogatszy zamek owego okresu to Mykeny. Leży on na Peloponezie, w krainie zwanej Argolida. Władcy Myken, jak zgodnie utrzymują podania, panowali nad wielu krainami Hellady. Dlatego to określa się obecnie jako mykeńską całą tę epokę, którą Hellenowie nazywali bohaterską. Prócz samych Myken kwitło wówczas wiele innych miejscowości. Niektóre z nich wystąpią w tej opowieści później, tutaj zaś, dla pełności obrazu, należy wymienić trzy nazwy. Przede wszystkim zamek Tiryns w Argolidzie, dobrze widoczny z Myken. Dalej gród Pylos u zachodnich wybrzeży Peloponezu. Wreszcie pałac Knossos na wyspie Krecie; wspaniałe budowle wznoszono w Knossos co prawda już wcześniej, ale również w epoce mykeńskiej był to ważny ośrodek. Wykopaliska Schliemanna i jego następców – a prace nie ustają do dnia dzisiejszego – pozwalają stwierdzić taką prawidłowość: każda miejsco-

wość Hellady, która odgrywa jakąś rolę w mitach, nosi w sobie ślady rozkwitu w czasach mykeńskich, w epoce bohaterów.

Wtargnięcie Dorów w wieku XII zdruzgotało Mykeńczyków. Runęły wówczas wszystkie zamki. A przecież mury niektórych spiętrzone były z głazów tak potężnych, że późniejsze pokolenia wierzyć nie chciały, by to było dzieło rąk ludzkich; opowiadano więc, że wznosili te mury olbrzymi cyklopowie. Załamała się mykeńską państwowość. Co okazalsze grobowce stały się ofiarą najeźdźców. Życie społeczne na ziemiach Hellady powróciło we wszystkich swych przejawach do form prymitywnych, niemal barbarzyńskich. Już nigdzie nie budowano wielkich zamków i pałaców. Przerwała się tradycja świętego malarstwa. Nikt nie potrafił cyzelować wykwintnych ozdób ze złota, srebra i brązu. Trwał ów półmrok kilka wieków, póki nie wyłoniły się kształty nowej, wysokiej kultury, którą przywykło się określać jako klasyczną.

Dorowie jednak nie zniszczyli wszystkiego. Zachowały się, na ziemi i pod ziemią, resztki dawnej chwały Mykeńczyków. Przetrwał też wszelkie katastrofy prosty lud w ubogich chatkach u stóp wzgórz zamkowych. To on właśnie przekazywał sobie z pokolenia w pokolenie pamięć wielkich wojen i ponurych wydarzeń w książęcych rodach mykeńskich, które walczyły pomiędzy sobą o ziemię, władzę, kobiety. Pieśni, które niegdyś śpiewali poeci we wspaniałych komnatach okazały się trwalsze nad kamień i spiz; drogą tradycji ustnej szły przez wieki. Bohaterowie legend urastali do wielkości półbogów, a okruchy mykeńskich dziejów stały się w otocze mitów i poezji nieśmiertelne, jak skamieliny pradawnych roślin.

Także w Tebach pamięć epoki bohaterskiej była żywa – zarówno dzięki podaniom, jak i ruinom zamku. Idąc ku domowi Symiasza spiskowcy przechodzili koło wzgórza Kadmeja. W owych czasach wznosiło się na Kadmei wiele okazałych, nowszych budowli, ale wciąż pokazywano jakieś resztki prastarych murów, wiążąc z nimi opowiadania o wielkich wydarzeniach z epoki bohaterów. Obecnie jest inaczej: Teby są małym miasteczkiem, którego domy zajmują właśnie dawne wzgórze zamkowe. W tych warunkach trudno prowadzić planowe wykopaliska, trzeba by bowiem zburzyć pół miasta. Tylko przypadkowo, przy doraźnych robotach ziemnych, można odsłaniać ruiny leżące głęboko pod powierzchnią dzisiejszych ulic.

Mimo to grecki archeolog Antonios Keramopulos wyzyskując różne sposobności odsłonił cenne zabytki architektury sprzed tysiącleci prawie w centrum obecnego miasta. Stopniowo, od roku 1906 do 1921, zbadał on zespół pokoi, korytarzów i dziedzińców, stanowiących niegdyś część dużego pałacu. Największy z owych pokoi był, jak się zdaje, salą tronową, inne zaś, mniejsze, stanowiły zapewne mieszkania pań dworu; świadczą o tym drobne ozdoby niewieście znajdowane w gruzach posadzki. Zachowały się nawet ślady malowidła ściennego; przedstawiało ono kobiety w długich sukniach, procesjonalnie kroczące jedna za drugą, może dla złożenia ofiary bóstwu. Identyczne pod względem stylu i techniki malowidła odkryto poprzednio w ruinach Myken i Tirynsu. Już to samo – pomijając inne, równie wymowne i bezsporne dowody – świadczy ponad wszelką wątpliwość, że pałac na Kadmei pochodzi z tejże epoki co i tamte budowle, wielkie i sławne, a więc z czasów rozkwitu mykeńskiej kultury. Jest też oczywiste, że pałac uległ zniszczeniu skutkiem pożaru niezwyklej gwałtowności, popiół bowiem pokrywa posadzki grubą warstwą. Początkowo natomiast trudno było ustalić, jak wielki był obszar zajmowany przez kompleks zabudowań. Sam Keramopulos sądził, że na pozostałych częściach wzgórza fundamenty nowych domów całkowicie zniszczyły wszystko, co przetrwało ze starożytności. Dopiero w roku 1937 inny archeolog grecki, Spiridon Marinatos, stwierdził na podstawie drobnych znalezisk w różnych miejscach, że pałac z epoki mykeńskiej obejmował prawie całą Kadmeję, a nawet terasami schodził na jej zbocza. Był to więc w czasach swojej świetności prawdziwie imponujący zespół budowli, jeden z największych w całej Helladzie epoki bohaterskiej. Jaki lud go zbudował, jaka dynastia tu władała? Jakie były dzieje Kadmei? Czy ów straszliwy pożar był dziełem tych samych najeźdźców – Dorów, którzy zniszczyli inne zamki i pałace Mykeńczyków, powodując kres ich wielkiej

cywilizacji? W związku z tym ostatnim pytaniem od razu rodziły się wątpliwości: pewne bowiem dane zdawały się wskazywać, że pożar Kadmei był znacznie wcześniejszy, nawet o jakieś dwieście lat, niż upadek mykeńskiego świata. A więc – jeśli założymy, że nie chodzi o pożar wzniecony przypadkowo – zniszczenie Kadmei mogłoby świadczyć o jakichś wojnach pomiędzy różnymi księstwami Mykeńczyków. Czy w mitach zachowały się echa wyprawy przeciw Tebom w epoce bohaterskiej? Tak. Legendy mówią przecież o sławnych dwóch wyprawach siedmiu książąt przeciw temu miastu; druga z nich zakończyła się zdobyciem Kadmei. Ale znajdziemy też w mitach opowieść, że pałac spłonął rażony piorunem Zeusa. W każdym razie i dane archeologiczne, i stare legendy zgodnie stwierdzają, że Teby dotknęła jakaś katastrofa jeszcze w czasach świetności mykeńskiej kultury.

W roku 1921, ostatnim roku swych wykopalisk, Keramopulos odnalazł w jednym z korytarzy wielkie amfory, w których niegdyś przechowywano wino i oliwę. Wyroby ceramiczne należą do najpospolitszych przedmiotów dobowanych przy prawie wszystkich odkryciach archeologicznych, owe jednak amfory stały się niemal sensacją naukową. Oto na przeszło dwudziestu spośród nich widniały znaki jakiegoś pisma! Było to pismo dziwne, zupełnie niepodobne do późniejszego alfabetu greckiego, nikt więc nie potrafił go odczytać. Przypomniano jednak od razu: przecież już od roku 1900 angielski archeolog Evans odnajduje w ruinach pałacu Knossos na Krecie setki glinianych tabliczek z krótkimi napisami; ich znaki nie różnią się niczym od tych, które obecnie można oglądać na tebańskich amforach!

Skoro zabytki identycznego pisma z tej samej epoki napotymano w dwóch tak odległych od siebie miejscowościach, mogło nasunąć się przypuszczenie, że chodzi tu o pismo wspólne wszystkim Mykeńczykom; a ponieważ wtedy to żyć mieli bohaterowie mitów, usłyszeć byśmy mogli po odczytaniu tajemniczych znaków, prawdę o świecie, w którym rodziły się żywe do dziś legendy! Nie wszyscy jednak zgadzali się z tym poglądem. Wielu twierdziło: pismo znano w istocie tylko na Krecie, Mykeńczycy na lądzie stałym w ogóle się nim nie posługiwali; amfory nie są żadnym dowodem, bo po prostu zostały do Teb przywiezione – właśnie z Krety.

Czy można było ten zarzut odeprzeć? Tak – choćby przypominając opowieść o tabliczce z grobu Alkmeny. Sam grób, odkopany przez Spartan pochodził na pewno z czasów mykeńskich. Brązowa tabliczka w nim znaleziona pokryta była pismem, którego nikt w Helladzie nie potrafił odcyfrować. Znaki wydawały się podobne do egipskich hieroglifów i dlatego to, jak pamiętamy, wysłano tabliczkę aż do Memfis, do faraona i jego kapłanów. Otóż patrząc na gliniane tabliczki z Knossos i na tebańskie amfory łatwo stwierdzić, że niektóre ich znaki niewprawne oko może istotnie uznać za podobne do pisma Egipcjan. Część bowiem znaków to po prostu schematyczne wyobrażenia pewnych przedmiotów; łatwo rozpoznać głowę Konia, różnokształtne dzbany, kłos zboża, postać mężczyzny i kobiety, rogi kozła, strzałę, miecz, włócznię, trójnóg, rydwan, koło – i wiele innych. Oczywiście, podobieństwo nawet tych znaków do egipskich hieroglifów jest najzupełniej powierzchowne i pozorne. Większość zaś znaków z Knossos i Teb to Unijne kreski i układy kresek; takich jest około osiemdziesięciu, one powtarzają się najczęściej, i właśnie im zawdzięcza pismo swoją naukową, nieco jednak prozaiczną nazwę: „linearne B”. Określenie „B” tłumaczy się tym, że na Krecie istniało również pismo nieco podobne, ale niewątpliwie starsze i pierwotniejsze; nosi ono nazwę „linearne A”.

W każdym razie możemy rozumieć i usprawiedliwić Spartan, którzy, nie mogąc sami sobie poradzić, szukali pomocy aż w Egipcie. Dla nas zaś tabliczka z grobu Alkmeny jest dowodem – pośrednim co prawda – że pismem linearnym B posługiwano się w epoce mykeńskiej nie tylko na Krecie, ale również i na lądzie stałym. Haliartos, gdzie znajdował się rzekomy grób Alkmeny, było już w mykeńskiej epoce bogatym osiedlem, podobnie zresztą jak inne miejscowości na żyznej równinie wokół jeziora Kopais. Nie należy się dziwić, że pamięć o grobie przetrwała tam przez tyle wieków, od czasów mykeńskich. W całej Helladzie utrzymywały

się mykeńskie kulty religijne, mogły zaś wielu książąt z owych pradawnych czasów uchodziły za miejsca spoczynku herosów.

Minęło już kilkadziesiąt lat od owego roku 1921, w którym Keramopulos odkrył na tebańskiej Kadmei amfory ze znakami tajemniczego pisma. Dziś nikt nie podaje w wątpliwość, że Mykeńczycy mieli swoje pismo, ilość bowiem jego zabytków, i to właśnie na lądzie stałym, wzrosła ogromnie. Co więcej, już od lat kilkunastu umiemy czytać pismo linearne B. Bohaterowie przemówili. Czy treść owych prastarych napisów przypomina w jakimś stopniu to, co rzekomo wyczytał arcykapłan Chonufis na tabliczce z grobu Alkmeny?

Księga druga

WRÓŻBY I PRZEZNACZENIE

Tebański poeta Pindar, wzniosły i enigmatyczny, rozpoczyna swoją VI odę nemejską od słów:

Jeden jest, jeden ród bogów i ludzi! Jedni i drudzy z tej samej matki oddech czerpiemy. Moc jednak obu rodów bardzo jest różna, i ona je dzieli. Ten bowiem jest niczym, tamten zaś posiada spizowy dom niebios, co niewzruszony trwa wiecznie. Lecz niekiedy zbliża nas do nieśmiertelnych wielkość myśli lub siła ciała; nigdy jednak nie wiemy, ku jakiemu celowi każe nam biec przeznaczenie — zarówno dniem, jak i nocą.

Wróżby ze snów i kichnięcia

Rozmowę w domu Symiasza o tabliczce z grobu Alkmeny przerwało wejście nowego gościa. Był nim starszy już człowiek, ojciec Kafizjasza i Epaminondasa; zwał się Polimnis. Pozdrowił gospodarza i usiadł na łóżku tuż obok niego, bo w pokoju było ciasno. Potem od razu zwrócił się do swego syna i jego młodych towarzyszy:

– Przychodzę z prośbą od Epaminondasa – do ciebie, Kafizjaszu, i do wszystkich tu obecnych. Chodzi o to, żebyście tu na niego poczekali, chyba że macie coś pilniejszego do załatwienia. Chce wam Epaminondas przedstawić pewnego cudzoziemca. Jest to człowiek znamienity, a przybył tutaj w celu bardzo szlachetnym. Wysłali go pitagorejczycy z Italii, aby złożył ofiary na grobie starego Lizysa; mówi, że powodem tej decyzji były sny i zjawy, które ukazywały się wielu członkom bractwa. Ma ów cudzoziemiec dużo złota przy sobie, bo koniecznie chce zwrócić Epaminondasowi wszystko, co ten wyłożył na utrzymanie Lizysa w starości. A przecież my ani pragniemy, ani go o to prosimy, by nam pomagał w naszym ubóstwie.

Symiasz rozpromienił się i wykrzyknął:

– Mówisz o człowieku godnym podziwu i słusznie noszącym miano filozofa. Ale dlaczego to nie przyszedł wprost do nas?

Polimnis zaraz wyjaśnił:

– Zdaje się, że nocował przy mogile Lizysa. Potem Epaminondas zaprowadził go nad potok Ismenos, żeby się wykapał. Dopiero teraz zajądą do twojego domu. A spał w nocy przy mogile dlatego, że zamierza zabrać szczątki zmarłego do Italii. Chciał się więc przekonać, czy nie zjawi się jakieś bóstwo i nie zabroni mu tego czynić.

Zaledwie Polimnis skończył, kiedy ozwał się Galaksydor, siedzący w głębi pokoju. Mówił z nie ukrywaną pasją:

– Na Heraklesa, jak to trudno znaleźć człowieka, który by wolny był od ślepoty i przesądów! Jedni, wbrew woli nawet, ulegają tym chorobom skutkiem niedoświadczenia i słabości. Inni znowu pragną się wydać ulubieńcami niebian i ludźmi niezwykłymi. Dlatego to przydają swym czynom otoczkę boskości i mgiełkę tajemniczości. Sny, widziadła i inne tego rodzaju bzdury przedkładają nad rozum. Można by jeszcze wybaczyć politykom, jeśli czasem tak postępują i powołują się czy to na wyrocznie, czy też na jakieś znaki wieszczce, bo mają oni do czynienia z pospółstwem głupim i zuchwałym; używają więc zabobonu jako wędzidła, żeby skierować masy ku dobremu. Filozofom jednak nie przystoi taka postawa, a nawet wręcz sprzeciwia się ich posłannictwu. Bo i cóż obiecuje filozofia? Że nauczy tego, co dobre i pożyteczne, drogą rozumową. A oto, traktując poważnie sny i wróżby, wraca filozofia do bogów jako do początku wszelkiego działania, rozumowi zaś okazuje pogardę. Nie ceni logicznego dowodu, który przeciw stanowi jej cechę wyróżniającą, bada przepowiednie i nocne mary. No, a na takich bzdurach najmarniejszy człeczyzna znać się może rzekomo lepiej od kogoś prawdziwie mądrego. Toteż jeśli wasz Sokrates cenił filozoficzny sposób wychowywania i nauczania, to dlatego, że prostotę i roztropność uważał za coś najszlachetniejszego i najbliższego prawdzie.

Teokryt – który przecież zajmował się wieszczbiarstwem – przerwał mu z oburzeniem:

– Jak to, Galaksydorze? A więc i ciebie przekonał Meletos, że Sokrates gardził wiarą w bogów? Wiesz zapewne, że właśnie tak brzmiało oskarżenie! Wprawdzie to 20 lat minęło od procesu i skazania Sokratesa, ale rzecz chyba jeszcze nie poszła w niepamięć!

Galaksydor zaperzył się:

– Oczywiście, Sokrates całkiem nie gardził sprawami bogów. Rzecz polega na czymś innym. Pitagoras i jego uczniowie napelnili filozofię widziadłami, mitami, zabobonami, Empekokles zaś jakimś szaleńcem bachicznym. Dopiero Sokrates nauczył ją rozsądnie patrzeć na rzeczywistość, prawdy zaś dochodzić trzeźwym rozumowaniem.

– Niech i tak będzie – zgodził się Teokryt – ale w takim razie, mój drogi, jak nazwać to dajmonion, które Sokrates uważał za swego ducha opiekuńczego? Łgarstwo to czy co właściwie? Mówi się wiele o Pitagorasa umiejętnościach wieszczania; co do mnie jednak, nic nie wydaje mi się tak niezwykle jak Sokratesowe dajmonion. Homer przydaje Odyseuszowi boginię Atenę jako towarzyszkę we wszystkich podróżach i przygodach; i właśnie tak samo bóstwo obdarzyło Sokratesa od najmłodszych lat zdolnością przewidywania. Była mu ona nieocenionym przewodnikiem w życiu, bo jakby szła przodem i oświetlała drogę w trudnych sprawach, których ludzkim rozumem rozwiązać nie sposób. Pytajcie zresztą Symiasza i innych Sokratesa towarzyszy, oni powiedzą wam o tym i więcej, i ciekawiej. Ja mogę poświadczyc tylko to, co zdarzyło się w mojej obecności. Było to w Atenach, kiedy przebywałem tam u wieszczka Eutyfrona. Razu pewnego Sokrates – ty, Symiaszu, pamiętasz to zdarzenie – szedł pod górę, ku domowi Andocyda. Idąc pytał o coś Eutyfrona i wesoło sobie żartował. Nagle stanął w miejscu i zupełnie zatonął w jakichś myślach. Potem zawrócił i poszedł ulicą Skrzyńkarzy. A do tych, co go wyprzedzili, krzyknął: Chodźcie za mną, miałem znak boży! Większość rzeczywiście posłuchała; wśród tych byłem i ja, bo zawsze trzymałem się blisko Eutyfrona. Ale kilku młodych poszło sobie dalej naprzód, nie zważając na Sokratesowe ostrzeżenie. Chcieli sprawdzić, ile warte to jego sławne dajmonion. Z tymi był też fletnista Charyllos. Gdy już się znaleźli na ulicy Rzeźbiarzy, w pobliżu budynku sądu, zaszła im drogę wielka trzoda zabłoconych świń. Nie było gdzie ustąpić, a stłoczone świny pchały się naprzód jedna przez drugą. Skończyło się na tym, że poniekąd z naszych przyjaciół świny wywróciły, innych zaś błotem zabrały. Charyllos przyszedł do domu – mieszkaliśmy razem – cały zgnojony. I odtąd zawsze śmialiśmy się wspominając dajmonion Sokratesa. Pełni też byliśmy podziwu, że bóstwo nigdy go nie opuszcza i daje mu ostrzeżenia nawet w tak prozaicznych sprawach.

Do rozmowy wtrącił się ojciec Kafizjasza Polimnis:

– A ja, Galaksydorze, sam słyszałem od kogoś, że dajmonion Sokratesa to było po prostu kichnięcie – zarówno jego własne, jak i cudze. Bo jeśli ktoś kichnął z prawej strony – wszystko jedno czy to z przodu, czy też z tyłu – uważał to za znak pomyślny i wykonywał, co zamierzał. Natomiast kichnięcie ze strony lewej odwodziło go od działania. Własne kichnięcie, kiedy przystępował do czegoś, dodawało mu otuchy, ale kiedy był już w trakcie czynności, to wstrzymywało go, uważał je za ostrzeżenie. Mnie jednak wydaje się to dziwne: bo jeśli Sokrates powodował się kichaniem, to czemuż mówił przyjaciołom, że to nie ono, ale jakiś duch opiekuńczy rozkazuje mu lub zakazuje coś zrobić? Takie postępowanie przystałoby jakiemuś chełpliwcowi, a nie człowiekowi, który wzniósł się ponad ogół właśnie dzięki swej prostocie i prawdomówności. To śmieszne, żeby właśnie on miał postępować za głosem przypadkowo zasłyszany lub jakimś kichnięciem! Przecież Sokrates w każdym swym uczynku wykazywał zdecydowanie i energię, bo opierał się na niewzruszonych zasadach. Całe życie trwał w ubóstwie, i to zupełnie dobrowolnie, bo wielu pomogłoby mu z całą gotowością. Nie wyparł się umiłowania mądrości, choć tyle kłód rzucano mu pod nogi! Nie ustąpił przed błaganiami przyjaciół, którzy tak gorliwie i zrećnie przygotowali jego ucieczkę z więzienia. Naprawdę, człowiek, którym powodują tylko tajemnicze głosy i znaki wieszce, nie byłby zdolny do takiego postępowania!

Mit o śmierci Sokratesa

Ostatnie słowa Polimnisa sprawiły, że Symiasz, który wciąż siedział na łóżku i niby to bacznie śledził tok rozmowy, w istocie niemal stracił świadomość miejsca i czasu. Twarze ludzi, na których patrzył, stały się twarzami innych, a głosy, których słuchał, brzmiały jakby z daleka i niosły słowa sprzed lat dwudziestu.

Tak, działo się to dokładnie przed dwudziestu laty. Niewielka, ponura izba była tak samo pełna młodych ludzi jak ta tutaj. Na łóżku tak samo siedział starzec. Rozcierał nogi, bo dopiero przed chwilą zdjęła mu kajdany rządowa komisja, zawiadamiając jednocześnie: Sokratesie, wyrok zostanie wykonany dzisiaj! Ksantypa jeszcze była przy mężu, płacząc i biadając. Sokrates, nie przestając masować nóg, zwrócił się do obecnych nieco opryskliwie: Odprowadźcie ją do domu! Zaraz ktoś się podniósł i zabrał kobietę wraz z dziećmi. Dopiero wówczas, kiedy w celi ateńskiego więzienia mężczyźni zostali sami, mogli przystąpić do poważnych rozmów.

Symiasz myślał z uznaniem, jak wiernym przyjacielem jest Platon. Już w jednym ze swych wcześniejszych dialogów napisał wyraźnie, że to właśnie Symiasz i jego druh Kebes, również Tebańczyk, gotowi byli wyłożyć wielkie pieniądze, by ocalić Sokratesa przed wykonaniem wyroku. Przed kilku zaś miesiącami Platon przysłał swój nowy dialog, zatytułowany *Fedon*, przedstawiając ostatnie chwile życia ateńskiego mędrca. Symiasz stwierdzał z przyjemnością, że właśnie w tym dialogu przyjaciel wyznaczył mu rolę bardzo zaszczytną: każe mu, wnet po wyjściu Ksantypy, dotknąć sprawy zasadniczej i wyrazić zdziwienie, dlaczego to Sokrates tak łatwo i chętnie odchodzi z tego świata. To pytanie staje się początkiem wielkiej dyskusji nad sprawami najważniejszymi: czym właściwie jest śmierć; czy istnieje dusza; co czeka nas po rozstaniu się z ciałem? Tylko od czasu do czasu przerywają rozmowę nieśmiało prośby dozorczy: niechże Sokrates nie rozprawia tak dużo przed wypiciem trucizny, bo zbyt się rozgrzeje i będzie musiał pić gorzki napój dwa lub trzy razy! Ale starzec ma jedną tylko odpowiedź na te życzliwe rady: pogardliwe machnięcie ręką i polecenie, żeby napoju nagotować od razu sporo. I z całym spokojem znowu zagłębia się w wielką dysputę filozoficzną, ostatnią w swoim życiu. Broni poglądu, że śmierć jest wyzwoleniem i przejściem do wspanialszego świata. Kto zaś jest w tej dyspucie głównym przeciwnikiem Sokratesa, kto stara się pozbawić umierającego nadziei i ufne go oczekiwania? Symiasz i jego towarzysze Kebes!

Subtelność tego pomysłu Symiasz podziwiał, bo doskonale rozumiał intencje Platona. Przecież – mowa o tym zaraz na początku dialogu – Symiasz i Kebes byli niegdyś uczniami Filolaosa, a ten odgrywał wielką rolę w bractwie pitagorejczyków. Istnienie duszy i jej odradzanie się po śmierci jednego ciała w ciele innym należało do podstawowych dogmatów tej sekty, bardzo umiejętnie łączącej mistyczne praktyki z zainteresowaniami matematyką. Filolaos jednak nie był całkowicie prawowiernym pitagorejczykiem; utrzymywał, że dusza jest po prostu harmonią. Czegóż jednak harmonią? Elementów ciała? Jeśli tak, to dusza przestwałaby istnieć natychmiast w momencie zniszczenia materialnych jego składników. Dobrze nastrojona lira stanowi podstawowy i nieodzowny warunek, by brzmieć mogła niewidzialna, bezcielesna, piękna i boska harmonia muzyki. Jeśli jednak połamać lirę, pozrywać i poprzecinać jej struny, to jednocześnie zamrze owa harmonia, choć nie jest materią. Nonsensem byłoby dowodzić, że harmonia istnieje nadal i wiecznie, sama przez się i sama w sobie, tylko dlatego, że jest tak zachwycająca! Otóż i nasze ciało jest mieszaniną wielu czynników i pozostaje w stanie pewnego napięcia, jak struny liry; gdy to napięcie zwiększy się nad miarę lub osłabnie, na przykład pod wpływem choroby, natychmiast odbija się to na istocie duszy – harmonii;

ginie zaś ona bezpowrotnie, kiedy nastąpi rozkład podstawowych czynników, choć wydaje się tak wspaniała i różna od dotykanej materii.

Tego rodzaju wywód czytał Symiasz w *Fedonie* – i to rzekomo jako własne swoje słowa! Uśmiechał się przy pierwszej lekturze tego miejsca, uśmiechał się i teraz, na samo jego wspomnienie. Platon bowiem postąpił bardzo dowcipnie i przekornie; wszystko, co napisał, było poniekąd prawdą, prócz jednego, dość istotnego szczegółu. Oto Filolaos nigdy nie twierdził, że dusza jest harmonią właśnie elementów ciała. Czegóż więc harmonią? To wyjawiał Filolaos tylko wybranym – Platon wiedział o tym doskonale. Każąc zaś Symiaszowi reprezentować w rozmowie z Sokratesem pogląd niby to Filolaosa, ale właściwie inny, składał hołd wspólnej ich tajemnicy. Zresztą znakomita była myśl, aby w dyskusji przeciwnikami Sokratesa uczynić akurat tych dwóch młodzieńców, którzy znani byli, wówczas i potem, ze swych skłonności do mistyki.

Sokrates zmarł w maju roku 399; wówczas to, w ostatnim dniu jego życia, toczyła się owa wielka dysputa o istocie i nieśmiertelności duszy. Zgon mistrza rozproszył uczniów i przyjaciół. Różnie potoczyły się ich losy, rozmaite też rozwijali później poglądy. Ich bowiem nauczyciel nie podawał im żadnych gotowych odpowiedzi, lecz wpajał to, co w życiu myślowym najważniejsze: jak szukać, jak pytać, jak badać.

W ciągu owych dwudziestu lat, które upłynęły od śmierci Sokratesa, Symiasz, jak się już rzekło, wiele podróżował i wiele poznał spraw, ludzi, krain. Sam też pisał sporo. Jakby rywalizując z Platonem układał dialogi filozoficzne; łącznie wydał ich 23, ale wszystkie były krótkie, mieściły się w jednym tomie. Pamiętamy, że Symiasz powrócił do swej ojczyzny, do Teb, właśnie w chwili, gdy dojrzewał spisek przeciw tyranom i obcej załodze. Starzec udzielał w swym domu gościny uczestnikom sprzysiężenia; oni czekali na powrót towarzyszy z Aten, on zaś na przybycie człowieka ze stron dalekich; może będzie nim ów pitagorejczyk, który złożył nocną ofiarę na grobie Lizysa?

Na razie jednak Symiasz nie myślał o tym tajemniczym cudzoziemcu. Dialog Platona, przywiedziony na pamięć już nie dawał mu spokoju. Mędrzec dumał:

Tamto spotkanie w celi Sokratesa jest już mitem. Nieważne, jak to było naprawdę. Nie ma żadnego znaczenia, o czym mówiliśmy w rzeczywistości. Wszystkie przyszłe pokolenia będą widziały ostatni dzień życia Sokratesa oczyma Platona. Nawet ja sam zaczynam już wierzyć, że wtedy mówiłem wszystko właśnie tak, jak każe mi mówić w *Fedonie* mój przyjaciel. A przecież to ja byłem naocznym świadkiem i rzeczywistym uczestnikiem rozmowy, a właśnie Platona tam nie było, bo chorował! To ja płakałem, razem ze wszystkimi, kiedy Sokrates podniósł do ust i wypił do dna ów dzban trucizny! Apollodor łkał wówczas i głośno zawodził. A Sokrates – chodził tam i z powrotem po celi, żeby trucizna lepiej się rozeszła po całym ciełe – powiedział nam z tajoną naganą:

– Cóż z was za ludzie! Przecież ja właśnie po to kazałem odesłać kobiety do domu, żeby nie działy się tutaj takie rzeczy. Zresztą, jak mówią, w chwili śmierci przystoi nabożna cisza. Zachowujcie się więc spokojnie, panujcie trochę nad sobą!

Tak pisze Platon, który wie o tym wszystkim tylko ze słyszenia. I gotów jestem teraz przyjąć, że to tak się odbyło i dokładnie takie były słowa umierającego. Ale co wobec tego jest prawdą, a co mitem i poezją? Gdzież tu przeprowadzić granicę, skoro ja, jeden ze świadków wydarzeń w celi Sokratesa, bardziej wierzę poecie – Platonowi, niż własnej pamięci? I w ogóle co jest potrzebniejsze: wierne odtwarzanie faktów, czy też takie ich pokazanie, by działały na wyobraźnię i żyły wiecznie własnym życiem? Chciałbym, żeby taki los stał się udziałem i tych spotkań przy moim łożu. Zapewne, nie mogę się równać z Sokratesem i śmierci jeszcze nie oczekuję. Chwila jednak jest wielka. Wszyscy tutaj obecni ryzykują swoim życiem. Ważą się losy znacznego miasta i tysięcy ludzkich istnień. Może więc i nasze rozmowy urosną kiedyś do wymiarów legendy? Chyba są jakieś stopnie wznoszenia się rzeczywistości ku poezji, a więc i ku nieśmiertelności. Oto Platon przedstawił ostatnie chwile

Sokratesa niby to wiernie, ale przecież już jakoś piękniej. Ktoś w następnym pokoleniu, gdy wymrą już ostatni uczniowie Sokratesa, podejmie ten sam temat i jeszcze przyda mu barw i dramatyczności. A potem opiewać będą zgon mędrca poeci i dramaturgowie; ileż wówczas ostanie się prawdy? Może tylko nasze imiona? Może po tysiącu lat Sokrates będzie odbierał cześć jako heros i półbóg? A w każdym razie jedno jest pewne: uczeni będą się spierać, jaki to był naprawdę ów Sokrates, czego właściwie nauczał, jaka była treść naszych ostatnich rozmów! I nikt już nie dojdzie, jak to było rzeczywiście.

Tak samo my czcimy mężów z epoki herosów, a przecież – gotów jestem przysiąc – byli to zwyczajni ludzie, których jedyną cnotą była zręczność i siła ramienia; stali się bohaterami mitów dzięki samemu biegowi czasu i wyobraźni poetów. Odwróćmy bowiem całą sprawę: jak postać i śmierć Sokratesa już na moich oczach zaczynają nabierać dziwnego blasku, tak samo niegdyś, przed wielu wiekami, wokół czyichś czynów stopniowo oplatały się legendy, aż tamci ludzie i tamte czasy stały się tym, czym są dla większości nas dzisiaj: wspaniałą epoką istot nadludzkich.

Szepnięto mi przed chwilą, że siedmiu naszych towarzyszy już się przyczaiło w lasach Kitajronu. Wiemy, że są to ludzie tacy sami jak my: dzielni, ale podlegający wszystkim prawom natury, a powodzenie ich wyprawy zależy od losu i przypadku. A tymczasem uczestnicy pierwszej wyprawy siedmiu przeciw Tebom bytują w naszej wyobraźni prawie jak bogowie. Wszystko to dlatego, że dzieli nas od nich przepaść czasu, dziesiątki pokoleń. Każde zaś pokolenie z czcią przejmowało podania o pierwszej wyprawie, przydawało mu nieco barw od siebie i podawało pokoleniu następnemu. Przecież ta pierwsza wyprawa na Teby wyprzedziła nawet wojnę trojańską! Iluż to bohaterów *Iliady* chwali się, że są synami tamtych siedmiu!

Symiasz miał rację. W pieśniach Homera kilkakrotnie wspomina się o wyprawie siedmiu przeciw Tebom jako o wojnie wielkiej, w której brali udział najdzielniejsi książęta poprzedniego pokolenia. Jeśli przyjąć, jak to czyni się dziś najpowszechniej, że zburzono Troję nieco przed rokiem 1200, to pierwsza wyprawa na Teby musiałaby się toczyć gdzieś koło roku 1300 p.n.e., a może i wcześniej; często bowiem zdarza się w legendarnych genealogiach, że różne wypadki, odległe od siebie w czasie, ulegają pewnemu zbliżeniu. To zrozumiałe: te lata i te pokolenia, w których nie działo się nic wielkiego i godnego uwagi, uchodzą z pamięci i rozta-
piają się w nicości.

Miał również Symiasz rację podejrzewając, że tamte, mityczne czasy odbiegały w swej istocie od jemu współczesnych: zwykli ludzie, zwykłe troski i prace. Odczytanie pisma z epoki herosów, pisma linearnego B, ukazało to bardzo dowodnie.

Tabliczki z biur pałacowych

Przypomnijmy: w ruinach pałacu Knossos na wyspie Krecie już w roku 1900 znaleziono gliniane tabliczki, pokryte znakami wyrytymi rylcem. Identyczne znaki, wyraźnie malowane, zdobiły amfory, które w roku 1921 odkryto w ruinach tebańskiej Kadmei. Ilość tabliczek do-
bywanych w Knossos rosła z każdym rokiem; obecnie posiadamy ich łącznie prawie 4000. Było to więc prawdziwe archiwum pałacowe. Ale Kreta była tylko jedną z krain, w których rozwijała się mykeńska kultura; wyspę tę zdobyli Mykeńczycy z lądu stałego dopiero około roku 1450 p.n.e. Tymczasem właśnie na lądzie stałym przez długi czas nie znajdowano żadnych tabliczek; jedynym dowodem, że i tutaj posługiwano się takim samym pismem, były napisy na amforach w Tebach, a także w Tirynsie i w Mykenach; można by również powoły-
wać się na brązową tabliczkę z grobu Alkmeny.

Ten stan rzeczy zmienił się dopiero w roku 1939. Przystąpiono wówczas do wielkich prac wykopaliskowych w miejscowości Pylos na zachodnich wybrzeżach Peloponezu. W okresie mykeńskim był to jeden ze znaczniejszych grodów; stąd właśnie, z Pylos, pochodził starzec Nestor, przed którego mądrością i powagą chylił czoło sam król Agamemnon, dowodzący

wszystkimi Hellenami pod Troją. W Pylos, podobnie jak w Knossos, natrafiono na archiwum pałacowe. Już w pierwszym roku znaleziono w nim około sześciuset tabliczek. Po przerwie wojennej wznowiono prace w Pylos dopiero w roku 1952; i znowu rokrocznie odkrywa się wśród gruzów i ziemi dziesiątki i setki tabliczek. W Mykenach natomiast, które przecież dały nazwę całej epoce i były zamkiem chyba najpotężniejszym, znaleziono, jak dotąd, zaledwie kilkadziesiąt owych dokumentów na glinie. Także i w Tirynsie nie natrafiono na żadne archiwum. Nie jest to chyba przypadek, lecz wynika z prostego faktu, że właśnie bogatsze grody najeźdźcy łupili znacznie gruntowniej.

Jak wyglądają tabliczki? Ich materiałem jest zwykła glina, kształt zaś rozmaity; niektóre są prostokątne, jak kartki zeszytu, zapisane liniami horyzontalnie (znaki idą od strony lewej ku prawej, jak w naszym piśmie), inne natomiast, długie i wąskie, wydają się podobne do liści palmowych. Często, choć nie zawsze, po zapisaniu suszono tabliczki na słońcu, nigdy jednak nie wypalano ich w piecu. Nie było to zresztą potrzebne. Bo nawet nie umiając odczytać pisma widzi się na pierwszy rzut oka, że wiele powtarzających się jego znaków to po prostu określenia liczb, miar i wag. A więc tabliczki służyły tylko dla doraźnych celów, dla prowadzenia bieżących rachunków, spisów i notatek. Kiedy spełniły swoje zadanie, rozrabiano je wodą i formowano na nowo. Był to najtańszy i najłatwiej dostępny materiał pisarski. Tabliczki, które przetrwały do naszych czasów, zawdzięczają to właśnie temu, że wypalił je – i w ten sposób uodpornił na wieki – ogień owych potężnych pożarów szalejących w zamkach i pałacach, kiedy upadały mykeńskie księstwa i w gruzy szła władza, której archiwa służyły.

Wolno przypuszczać, że te utwory, które uważano za ważne i wartościowe, spisywano na materiale droższym, ale jakże kruchym – na sprowadzanym z Egiptu papirusie (z tym krajem, jak i z wielu innymi na Bliskim Wschodzie, kontakty Mykeńczyków były bardzo żywe). W wilgotnym klimacie Hellady papirus butwiał i rozkładał się szybko, podczas gdy w rodzinnym jego kraju suche powietrze i piasek pustyni konserwowały każdy strzęp na tysiąclecia. Pewne teksty, do których Mykeńczycy przywiązywali szczególne znaczenie, wypisywali niewątpliwie i na tabliczkach z brązu; podobnie czynili później Hellenowie i Rzymianie. Jednakże brąz był zawsze materiałem bardzo poszukiwanym; toteż po upadku mykeńskiego świata zdobywcy przetapiali bez żadnych skrupułów właśnie wszystkie przedmioty z brązu, jakie tylko zdołali odnaleźć, ocalały te jedynie, które skryła ziemia i mrok grobów – tak było z tabliczką w grobie Alkmeny. Historia zresztą powtórzyła się raz jeszcze. Kiedy bowiem załamał się porządek świata Hellenów i Rzymian, niszczone z początkiem średniowiecza wszystkie starożytne brązy (w czym pomagał też fanatyzm religijny); tablice i rzeźby szły do pieców, aby przeobrazić się w nowe kształty. Nawet marmur nie był bezpieczny; arcydzieła sztuki użytkowano po prostu jako budulec.

Powróćmy jednak do owych skromnych tabliczek glinianych, których posiadamy dziś już tysiące. W miarę jak rosła ich ilość, coraz uporeczywsze stawały się próby ich odczytania. Wy-suwano najrozmaitsze hipotezy, by wydrzeć pismu jego tajemnicę. Nie brakło nawet takich badaczy, którzy szli śladami Spartan i zwracali się o pomoc do egipskich hieroglifów, a także do klinowego pisma Babilonii. Były to jednak pomysły dziwaczne, prowadzące tylko w ślepe zaułki. Większość uczonych szukała innych dróg. Owszem, hieroglify egipskie odegrały w tych poszukiwaniach pewną rolę, ale tylko pośrednią; oto dodawał nadziei sam fakt, że udało się, i to już przed stu przeszło laty, odcyfrować pismo tak trudne i skomplikowane jak to, którym posługiwano się w kraju piramid; czemuż by więc znaki mykeńskie, znacznie prostsze, miały się oprzeć przenikliwości ludzkiego umysłu?

Najpierw zdołano nakreślić ogólny obraz dziejów starych pism na Krecie i na lądzie stałym Hellady. Już gdzieś około roku 2000 p.n.e. istniało na Krecie pismo obrazkowe; jego znaki wyrażały rozmaite przedmioty i pojęcia. Jest ono znane tylko z krótkich napisów na pieczęciach. Potem pojawiło się na wyspie pismo linearne A, prostsze i łatwiejsze w użyciu. W wieku XV p.n.e. Mykeńczycy z łądu stałego zdobyli Kretę i przejęli jej pismo, ale zmienili

je w sposób dość istotny. Tak właśnie powstało pismo linearne B, które rozprzestrzeniło się szybko po wszystkich ośrodkach mykeńskiej kultury i żyło do końca ich istnienia, do wieku XII p.n.e.; natomiast poprzednie pisma, obrazkowe i linearne A, były zawsze ograniczone tylko do samej wyspy Krety. Po upadku mykeńskiego świata zatraciła się także znajomość pisma linearnego B na zawsze; przez kilka wieków Hellenowie obywali się w ogóle bez pisma, dopiero w IX wieku p.n.e. przejęli od Fenicjan ich alfabet, który stał się podstawą greckiego – ten zaś z kolei dał początek łacińskiemu, a więc, pośrednio, także naszemu.

Nie umiając jeszcze odczytywać pisma linearnego B, można już było sporo powiedzieć o jego istocie. Przede wszystkim łatwo było wyodrębnić dość dużą grupę znaków, które wyobrażały osoby, zwierzęta, rośliny, broń i naczynia; jest takich znaków kilkadziesiąt i o nich już mówiliśmy poprzednio. Co prawda, właściwe znaczenie niektórych z nich nie zawsze jest jasne i bezsporne, bo są to przecież rysunki bardzo schematyczne i umowne. Sam fakt jednak, że chodzi tu o tak zwane ideogramy, czyli znaki wyrażające pewne pojęcia i przedmioty, nie ulega żadnej wątpliwości. Tak samo jest oczywiste, że pewne znaki służyły do zapisywania liczb. Już w roku 1935 Artur Evans, odkrywca archiwum w Knossos, ustalił ich wartości: kreska pionowa oznaczała jednostki, pozioma dziesiątki, kółko setki, kółko z czterema wystającymi kreskami tysiąc. Były też sposoby oznaczania ułamków, a także miar i wag. Najważniejszy jednak jest zespół ponad osiemdziesięciu znaków, które powtarzają się w coraz to innych układach, podobnie jak litery naszego alfabetu. Ale, rzecz prosta, nie mogą to być oznaczenia spółgłosek i samogłosek, w takim bowiem razie wystarczyłaby znacznie mniejsza ich liczba. Nasuwało się więc przypuszczenie, że chodzi tu głównie o znaki zgłoskowe (syلابiczne). Przypomniano, że jeszcze w czasach historycznych Hellenowie zamieszkali na Cyprze posługiwali się dziwnym pismem, którego znaki mogłyby uchodzić za daleką pochodną mykeńskich, a które właśnie oznaczały tylko samogłoski i zgłoski, a więc np.: *a, i, to, ro, ka*.

Wszystko to jednak nie dotyczyło sedna sprawy, były to tylko ogólne, powierzchowne obserwacje. Aby naprawdę odczytać pismo linearne B (jak zresztą każde inne), należało przede wszystkim wiedzieć, jakiemu językowi ono służyło; dopiero wówczas, podstawiając rozmaite wartości dźwiękowe pod różne znaki, można by po długich próbach dojść do jakichś rezultatów. Powstawało więc pytanie zasadnicze: kim byli Mykeńczycy? W jakiej mowie zapisane są tysiące glinianych tabliczek z Knossos i Pylos oraz napisy na amforach w Tebach, Mykenach, Tirynsie?

Sami Hellenowie, jak to już widzieliśmy, uważali ludzi epoki bohaterów po prostu za swoich dalekich przodków – tyle że dzielniejszych i wspanialszych. W nowszych jednak czasach pojawiły się całkiem inne poglądy na zagadnienie, jaki to lud był właściwym twórcą mykeńskiej kultury. Znaleźli się i tacy badacze, którzy zasługę tę przypisywali Ilirom; był to wymarły już dzisiaj lud, który w starożytności istotnie zamieszkiwał wiele krain na Półwyspie Bałkańskim. Mimo to większość uczonych niezłomnie obstawała przy dawnym twierdzeniu, że Mykeńczycy byli Hellenami. Dopóki jednak tabliczki milczały, nie było żadnego sposobu, by spór ten rozstrzygnąć.

Nie jest celem tej książki szczegółowe przedstawianie, jak rozwijały się w ciągu długich lat żmudne, cierpliwe poszukiwania klucza do pisma linearnego B. W każdym razie wypada tu wspomnieć nazwisko zmarłej – przedwcześnie – w roku 1950 Amerykanki Alicji Kober; ona to pierwsza zwróciła uwagę, że pewne regularnie powtarzające się znaki wskazują na istnienie w języku mykeńskim systemu odmiany rzeczowników. Nie ma jednak potrzeby powtórnego omawiania zagadnień, które już opracował w formie przystępnej ktoś bardzo kompetentny, bo bliski współpracownik odkrywcy zagadki – John Chadwick⁴. Tym, który ostatecznie odsłonił tajemnicę języka i pisma Mykeńczyków, był młody architekt, Michael Ven-

⁴Tłumaczenie polskie: J. Chadwick, *Odczytanie pisma linearnego B*, Warszawa 1964.

tris. Obaj, i Chadwick, i Yentris, są Anglikami; godzi się jednak przypomnieć, że matka Ventrisa była Polką.

W roku 1953 ukazał się artykuł wspólnie podpisany przez tych dwóch badaczy; podawał on zasadnicze wyniki długoletnich wysiłków: stwierdzenie, że językiem Mykeńczyków była greka, oraz wykaz, jakie to zgłoski i samogłoski są oddawane przez poszczególne znaki pisma linearnego B. Nie doczekał natomiast Ventris opublikowania wielkiego dzieła, które szczegółowo omawia i stosuje wyniki odkrycia. Ukazało się ono – *Dokuments in Mycenaean Greek* – w roku 1956; i w tymże roku Ventris zginął w katastrofie samochodowej, licząc lat zaledwie 34. Posługując się podanym przez Ventrisa kluczem można odczytywać tabliczki – z pewnymi jednak zastrzeżeniami. Przede wszystkim: system tego zgłoskowego pisma nie był przystosowany do budowy języka greckiego, a nawet – ponieważ jest to pismo zapożyczone – brak w nim znaków na oddanie pewnych ważnych w grece dźwięków, np. spółgłoski *l*. Wynika stąd, że prawie wszystkie wyrazy ulegały przy zapisywaniu pewnemu zniekształceniu. Tak więc imię Kastor odnajdujemy na tabliczkach w formie: *Ka-to-ro*, wyraz zaś: leukos jako *re-u-ko*, pater jako *pa-te*, Pylos – *py-ro*, sperma – *pe-ma*, krater – *ka-ra-te-ra*. Te przeinaczenia są jeszcze łatwe do sprostowania, w wielu jednak wypadkach trudno się domyślić, o jakie to słowa chodzi. Druga przeszkoda przy odczytywaniu tabliczek jest równie poważna. W języku mykeńskim było wiele określeń, rodzimych lub zapożyczonych, które potem wyszły z użycia i w czasach Hellady klasycznej nie były już w ogóle znane; istniały też pewne wyrazy, które w ciągu wieków zmieniły znaczenie zupełnie. Trudno się temu dziwić, to normalny objaw życia języka; przecież i my nie potrafimy zrozumieć bez słownika i dodatkowych objaśnień tekstów polskich z wieku XV czy też XVI. Jednakże Mykeńczycy nie zostawili nam żadnych słowników i żadnych pomocy. Wyraz, który nie tłumaczy się przez swój kontekst lub przez związek znaczeniowy z językiem greki klasycznej, jest dla nas po prostu martwy, jest tylko pustym dźwiękiem. Dlatego też sens wielu zdań i całych tabliczek jest wciąż zagadkowy lub sporny. Biorąc jednak ogólnie, mykeńskie archiwa pałacowe przemówiły i stanęły przed nami otworem.

Prawo Parkinsona

Epoka mykeńska, mityczna epoka bohaterów, żyje dziś dzięki poezji i dziełom sztuki jako wiosna i pierwsza młodość naszej kultury. Przygody śmiałych herosów; miłości, które wiążą niebian i śmiertelnych; tajemnicze przepowiednie; wielkie czyny wojenne; pełne niebezpieczeństw żegluga ku nieznanym krainom, gdzie czekają skarby strzeżone przez potwory – oto treść baśniowych dziejów tamtych kilku wieków.

Odczytanie tabliczek z mykeńskich archiwów odłoniło nowe oblicze owej epoki. Oczywiście i przedtem zakładano jako rzecz samą przez się zrozumiałą, że wyobrażenia poetycka przydała wiele blasku jej prozie i codzienności. Kiedy jednak przemówiło pismo, okazało się natychmiast, że właśnie ta epoka, która jest tłem i kolebką niemal wszystkich helleńskich mitów, była w pierwszym rzędzie epoką niezmordowanej i pedantycznej działalności biurowej; ówczesną wielce scentralizowaną gospodarkę ściśle kontrolowały zastępy urzędników, płódząc całe tony rachunkowej dokumentacji. Nie jest to przecież tak istotne, czy pisze się na papierze, czy też na glinie; również sam sposób księgowania nie odgrywa roli zasadniczej. Przeciwnie, właśnie uwzględniając prymitywizm materiałowy trzeba stwierdzić, że co do troski o ujęcie całego życia gospodarczego w ramy ewidencji, Mykeńczycy mogliby zwycięsko konkurować z każdym systemem ekonomiki kierowanej.

A przecież archiwa, które dotrwały do naszych czasów, to tylko drobna, znikoma, zupełnie przypadkowo ocalała część mykeńskiej biurowości, owej ogromnej maszyny państwowego aparatu dla kontrolowania i zarządzania. Jednakże i to wystarcza, by wytworzyć sobie obraz

raczej przygnębiający. Zrozumiałe, że pałac musiał prowadzić dokładne wykazy różnych kategorii ziemi oraz spisy podległej ludności. W pełni usprawiedliwione są też stale powtarzane przeglądy cennych przedmiotów w skarbcu, wyrobów ze złota, srebra, brązu, kości słoniowej, a także broni i rydwanów. Co uderza, to ewidencjonowanie każdego dzbanuszka oliwy lub wina, każdej miary ziarna: od kogo otrzymano, komu wydano, na co zużyto – dla króla, dla służby, dla bogów na ofiary. Biuro musiało też wiedzieć, co czyni w danej chwili każdy z ludzi podległych: gdzie przebywa, nad czym pracuje, ile – danin lub świadczeń – winien jest skarbowi.

Mamy więc przed sobą kilka tysięcy krótkich not magazynowych, spisów, pokwitowań i poleceń typu: wydać; posłać; przyjąć; należy się; jest. Owe krótkie, lakoniczne zapiski pozwalają jednak wytworzyć sobie pewien obraz państwowości i społeczeństwa. Obraz to oczywiście niepełny i nieco mglisty, ale jedno nie ulega najmniejszej wątpliwości: zarówno ustrój, jak też układ warstw i stosunki własnościowe były skomplikowane i sztywne; w nich nie przypominały owych sielankowych swobód, które, jak wciąż wielu sobie wyobraża, panować miały w wiekach brzasku cywilizacji.

Na ziemiach Hellady było w tych czasach kilka ośrodków władzy; wszystkie one zapewne uznawały zwierzchność Myken, przynajmniej formalnie. Na czele państw stali władcy noszący tytuł „wanaks”. W późniejszym języku greckim pierwotne znaczenie tego wyrazu uległo pewnemu starciu: „wanaks” (a raczej, jak wówczas mówiono „anaks”) to po prostu możny pan, arystokrata. Jednakże w czasach mykeńskich „wanaks” oznaczał pierwszą w państwie osobę, króla; pełnił on zarazem najwyższe funkcje kapłańskie i otoczony był nimbem niemal boskości.

Tym właśnie się tłumaczy, że w późniejszych mitach wielu bohaterów uchodzi za potomków różnych bogów, w poematach zaś Homera przydomek „syn Zeusa” przysługuje każdemu księciu. Obok króla stał najwyższy urzędnik zwany „lawagetas”, co można by przetłumaczyć: „wiodący lud”, a więc wojewoda. Jak się wydaje, pod względem znaczenia „lawagetas” nie ustępował „wanaksowi”, a nawet mógł faktycznie skupiać w swym ręku większą władzę. Natomiast książęta, którym podlegały mniejsze obszary, mają tytuł „basileus”; jak wiadomo, w późniejszych wiekach, już po upadku mykeńskiego świata, właśnie ten tytuł nabrał dostojęstwa i używany był w znaczeniu „król”.

Panowie mieli przy swym boku zastęp zbrojnych; zowią się oni „epeta”, co miałyby swój odpowiednik w naszym „drużynnik”. Prócz owych zbrojnych, prócz dworzan i pań, wreszcie prócz niższej służby (tę stanowili zapewne niewolnicy) było w każdym pałacu wielu rzemieślników: kowale, złotnicy, garncarze, kołodzieje, nawet ludzie wyrabiający pachnidła. Obok zaś tych różnych kategorii pracowników (a raczej — ponad nimi) stał liczny i uważny zespół skrybów, skrzętnie notujących na swych glinianych tabliczkach, ile pozostało płaszczy w komorze, ilu wioślarzy posłać do Pleuron, kto i w jakiej ilości przekazał przyprawy do potraw, któremu rydwanowi brak koła. Trzeba jedno powiedzieć na usprawiedliwienie i gorliwości skrybów, i całego systemu: Mykeńczycy nie znali monety, wynagrodzenia wypłacano głównie w naturze, konieczna więc była ścisła ewidencja zarówno posiadanego majątku, jak i należności.

Będzie jeszcze mowa o wielkich bogactwach mykeńskich pałaców i o tym, skąd one pochodziły. Podstawowym jednak źródłem dochodów była uprawa zbóż, winorośli, oliwki, a także pasterstwo. Jakżeż więc przedstawiały się stosunki własnościowe? W tej sprawie dane źródłowe są niejasne, a różnice zdań pomiędzy uczonymi bardzo poważne. Wiadomo na pewno, że ziemie wydzielone dla króla, a chyba i dla książąt, zwały się „temenos”; tak samo określano też posiadłości bogów. Niektóre grunty stanowiły wspólną własność gmin wiejskich, inne były prywatne; jedne i drugie mogły być wdzierżawiane przez różne osoby. Każdy skrawek uprawnej ziemi był oczywiście zapisany w archiwum pałacowym i obłożony

znacznymi świadczeniami; nawet wypuszczenie w dzierżawę nie mogło się dokonać bez wiedzy urzędników.

Mykeńska biurokracja nie była w ówczesnym świecie zjawiskiem wyjątkowym. Podobne systemy zarządzania państwem i jego gospodarką spotykamy – i to nawet wcześniej – w Egipcie, a także w niektórych miastach Syrii oraz w Mezopotamii. Bardzo pouczające, bo dające możliwość rozmaitych porównań, są np. archiwa glinianych tabliczek, odnalezione w nadmorskim mieście Syrii, Ugarit; pochodzą one dokładnie z tychże czasów co i archiwa mykeńskie, a więc XIV–XIII w.p.n.e. Jednakże w Ugarit zachowały się również teksty religijne i fragmenty poematów, stanowiąc pokaźną i cenną przeciwwagę dokumentów kupieckich i biurowych. Tymczasem świat mykeński ukazuje nam w zabytkach pisanych jedno tylko oblicze: pedantycznej, wszechogarniającej rachunkowości.

Mówi się często i przyjmuje za pewnik, że świat mykeński runął w wieku XII p.n.e. skutkiem najazdu półdzikich najeźdźców z północy; były to plemiona doryckie. Warto się jednak zastanowić, czemu to owi przybysze tak łatwo się uporali z potężnymi zamkami Mykeńczyków i całą ich strukturą państwową. Główną przyczynę zwycięstwa Dorów upatruje się często w wyższości ich uzbrojenia: miało ono być wyrabiane z żelaza, podczas gdy Mykeńczycy znali tylko brąz. Jest w tym sporo przesady. Nie wiadomo przede wszystkim, czy Dorowie naprawdę posługiwali się bronią żelazną na wielką skalę. Gdyby nawet tak było, to przecież trzeba sobie zdać sprawę, że żelazo nie dawało takiej przewagi nad orężem z brązu, jaką np. broń palna miała nad tukiem i kuszą. Co najistotniejsze: ani miecze z żelaza, ani też liczebna przewaga najeźdźców niczego by nie zdziałały przeciw cyklopim murom mykeńskich zamków – gdyby obsadzili je ludzie zdecydowani bronić swego kraju i państwa do ostatniej kropli krwi. Jeszcze w czasach Hellady klasycznej ogromne i dobrze uzbrojone armie stały zupełnie bezradnie przed byle marnym murkiem, przed byle wałem ziemnym; tak prymitywne były środki oblężnicze.

W tym stanie rzeczy wysoce prawdopodobna wydać się musi teza: Mykeńczycy ulegli Dorom również i dlatego, że masy ludności nie były zainteresowane w obronie państwa, którego głównym celem było: spisywać – kontrolować – zabierać. Najgroźniejszym wrogiem zamków byli nie Dorowie uzbrojeni w żelazo przed murami, lecz właśnie urzędnicy skrobiący znaczki na glinianych tabliczkach wewnątrz murów.

Różne aspekty biurokratycznej działalności są, jak wiadomo, przedmiotem sławnych praw Parkinsona. Pierwsze z nich (szeroko znane i w Polsce dzięki przetłumaczeniu omawiającej je książki) zajmuje się głównie „samowystarczalnością” i wyobcowaniem ze społeczeństwa instytucji biurokratycznych⁵. Drugie natomiast, sformułowane w innej, później opublikowanej pracy, przedstawia szczegółowo mechanizm i skutki narastania obciążeń podatkowych⁶. W zasadzie, jak wynika z rozważań Parkinsona, biurokracja nie jest w stanie pojąć, że istnieje górna granica owych obciążeń. Ekonomicznie zresztą wykryć tej bariery nie sposób, bo wynika ona nie ze stopnia zamożności i wskaźników produkcyjnych, lecz z pewnych cech ludzkiej psychiki. Po prostu, w pewnych sytuacjach i przy kwantum obciążeń mieszkańcom danego kraju przestaje się opłacać praca efektywna, głównym zaś przedmiotem zabiegów jest: jak uchylić się od świadczeń? Biurokracja staje się rakowatą naroślą, która sama w sobie prosperuje znakomicie, kwitnie i pęcznieje – na własną zgubę.

Historia starożytna zna przykłady ruin wielkich państw i całych cywilizacji skutkiem owej choroby. Najsławniejszy z nich to upadek cesarstwa rzymskiego, które było zbiurokratyzowane do cna; jego mieszkańcy witali barbarzyńskich najeźdźców z ulgą. Mykeńskie archiwa pozwalają się domyślać, że zagłada świata, któremu one służyły, rozegrała się w podobny sposób.

Byłby to więc pierwszy w historii naszego kontynentu przejaw działania praw Parkinsona.

⁵C. N. Parkinson, *The Law and the Profits*, London 1960.

⁶C. N. Parkinson, *op. cit.*

Wróżby i goście w domu Adrastosa

Pora już jednak wrócić do rozmów spiskowców przy łożu Symiasza.

Teokryt bronił sprawy Sokratesowego ducha opiekuńczego z wielką gorliwością. Było to całkiem zrozumiałe, bo przecież sam Teokryt uchodził za dobrego znawcę wróżb i przepowiedni. Ale i jego przeciwnik, Galaksydor, nie przeczył temu, że przyszłość można odgadnąć; wyśmiewał się tylko ze zbyt naiwnego pojmowania sposobu, w jaki objawia się ona poprzez znaki.

Same przez się – wywodził Galaksydor w dalszym toku rozmowy – są to wskazówki zupełnie nieważne; stanowią one tylko narzędzia, za których pomocą ukryte siły oznajmiają nam, śmiertelnym, wydarzenia dopiero się kształtujące, dopiero u drzwi stojące. Ale nie ma w tym wszystkim nic szczególnie dziwnego, sztuka wróżbity nie jest czymś nadzwyczajnym. Tak samo przecież pisk morskiego ptaka lub mała chmurka na niebie zapowiada żeglarsowi wicherę lub też groźną burzę.

Od samego świtu dziejów ludzkości i we wszystkich stronach świata działo się tak samo: był lęk przed przyszłością, ale była też ciekawość i głębokie przeświadczenie, że dobre i złe siły wokół wciąż dają znać o sobie i o tym, co nadchodzi: byle tylko umieć właściwie pojąć tajemny język tych znaków! Stąd wiara we wszelkie przepowiednie i stąd cześć dla tych, którzy potrafią odczytywać niepozorne wskazówki: z lotu ptaka, z wnętrzości zwierząt ofiarnych, z sennych widziadeł, a nawet z kichnięcia. Tak było u wszystkich ludów. Co jednak zdumiewało właśnie u Hellenów, to zgodne współistnienie krytycznej, a nawet przekornej dociekliwości z ową pierwotną wiarą w tajemnicze moce, uchylające rąbka przyszłości. Zdarzało się często, że w jednym i tym samym człowieku wielkie talenty intelektualne żyły pospołu z zabobonną niemal wiarą, że bóstwo objawia swoją wolę, ostrzega i radzi przez znaki, wyrocznie, głosy wewnętrzne. Przecież to właśnie Platon powiedział: wróżbiarstwo jest więzią przyjaźni pomiędzy bogami a ludźmi! Możliwe państwa wysyłały oficjalne delegacje, aby w najważniejszych sprawach polityki zasięgnąć rady boga Apollona w Delfach. W każdym mieście byli urzędowi wieszczbiarze, z których głosem wielce się liczone podejmując jakiegokolwiek decyzje. I w każdej też krainie Hellady znajdowały się przybytki bóstw i herosów, ściągające pielgrzymów ze stron odległych, bo ukazywano w nich, choć różnymi sposobami, tajemnice przyszłości. Szczególnie wiele wyroczni sławnych i pradawnych spotykało się w Beocji, a więc w tej krainie, której stolicą były Teby; wróżowie, jak Teokryt, mieli tu zawsze rzesze zwolenników.

Jeśli jednak spiskowcy poważnie traktowali wróżbiarskie umiejętności Teokryta, to czemuż żaden z nich nie zwrócił się doń z zapytaniem:

– Jak powiedzie się wyprawa? Czy nasi towarzysze, którzy siedzą teraz na Kitajronie, dotrą do miasta szczęśliwie? Czy wspólnie z nimi zdołamy wyzwolić ojczyznę?

Ludzi zebranych w domu Symiasza owe pytania musiały nurtować głęboko, bo przecież od rozwoju wydarzeń w tym dniu zależały nie tylko losy miasta, ale też życie ich samych. O tym, i tylko o tym myśleli, usiłując pokryć nerwowe napięcie rozważaniem problemu, czy kichnięcie można by uznać za bóstwo opiekuńcze Sokratesa. A może wszyscy byli zbyt podnieceni, by pamiętać, że znajduje się wśród nich wróż znakomity? Wolno jednak podejrzewać, że po prostu bali się przyszłości i podświadomie rozumowali: cokolwiek się zdarzy, lepiej nie wiedzieć o tym z góry – bo i tak już za późno, nie już nie powstrzyma rozwoju wypadków!

Jeszcze jedna okoliczność musiała niepokoić spiskowców, choć – przezornie! – nikt nie wspominał o tym ni słowem. Oto pierwsza wyprawa siedmiu przeciw Tebom, ta z epoki herosów, zakończyła się nieszczęśliwie, a poprzedziły ją znaki bardzo źle wróżące, na które wódz wyprawy zważać nie chciał. Co prawda, mógł on powoływać się znowu na inne znaki, które

wprost nakazywały mu wstąpić na drogę wiodącą ku wyprawie. O wszystkim tym mity różnie mówiły, w dramatach zaś i poematach przedstawiano rzecz coraz barwniej. Gdyby jednak przyjąć, że u podstaw wszystkich legendarnych opowieści leżały rzeczywiste wydarzenia z czasów mykeńskich, to można by sobie wyobrazić, że pierwsza scena dramatu, którym stać się miała wyprawa siedmiu, rozegrała się tak:

Tej nocy, która stała się początkiem wszystkiego, Adrastos spał źle; było parno, gdzieś z daleka dochodziły groźne pomruki burzy. Księżę budził się często; wówczas od razu wypełzało z mroków dawne strapienie – owe przedziwne słowa, których znaczenia nie potrafił dojść dotychczas w żaden sposób. Brzmiały one: jedną córkę wydasz za lwa, drugą za dzika!

Wyrocznia zawsze przemawiała językiem przenośni i obrazów: sztuka rozumienia polegała właśnie na tym, by nie brać wypowiedzi dosłownie, lecz uchwycić klucz wieloznaczności. Czy więc w tym wypadku chodzi o ludzi, których imiona urobione są od lwa i dzika? Ale takich nazwań jest przecież bardzo wiele; wyjaśnienie wydawało się w ogóle zbyt proste. A może rzecz w tym, że przyszli zięciowie mają się wykazać odwagą i dzikością właściwą tym zwierzętom?

Larisa, miasto Adrastosa, leżała na wzgórzu na skraju żyznej równiny Argos; w czasach późniejszych również i samo miasto przyjęło nazwę od równiny, Larisą zaś nazywano tylko jego zamek. Piękna, żyzna równina Argos stanowiła jedną z krain północno-wschodniego Peloponezu. I na samej równinie, i na Peloponezie, było wiele księstw, zamków i miast, których panowie chętnie by się skojarzyli z możliwym domem Adrastosa. Ale właśnie to nie byłoby po myśli władcy Larisy. Wszyscy sąsiedzi, bliżsi i dalsi, byli ze sobą wiecznie skłóceni – o ziemię, o bydło, o kobiety. Wciąż zmieniały się przymierza i układy sił, często dochodziło nawet do krwawych walk i zbójceckich napaści. Wczorajsi wrogowie stawali się dzisiejszymi przyjaciółmi, aby może już jutro wbić sojusznikowi miecz w plecy. Adrastos dotychczas dobrze sobie radził w tym światku, zaliczano go do księząt najzręczniejszych. Kiedy jednak dojrzał czas, by wydać córkę za męża – na razie dwie tylko, trzecia była zbyt młoda – natychmiast stanęły przed nim kłopoty, z którymi nie umiał sobie poradzić. Kogo wybrać? Chętnych byłoby wielu, i w tym właśnie kryło się niebezpieczeństwo. Odrzuceni gotowi się sprzymierzyć i z zemsty zniszczyć, spustoszyć ziemię Larisy! A tym dwu wybranym trzeba będzie jeszcze posag dołożyć!

Z tych to właśnie powodów Adrastos przezornie zwrócił się do wyroczni delfickiej z prośbą o radę. Nie zdało się to na nic. Gdzież bowiem szukać lwa i dzika, silnych królów puszczy, którzy by obronili państwo teścia? Księżę trapił się bardzo; zawodziła ludzka chytryść, nie dało też pomocy boże słowo.

Adrastos spał sam, w izbie na piętrze. Dom „basileusa” Larisy nie był szczególnie okazały i niewiele się różnił od domostw jego co zamożniejszych poddanych. Na dole była wielka izba; zwała się megaron. Stale płonęło tam ognisko, przy którym gromadzili się na posiłki domownicy; tam też składano ofiary bogom i przyjmowano znamienitych gości. Za sypialnie służyły małe komory przy megaronie i na pięterku. Urządzone były zupełnie prosto i skromnie: trochę skór, zydle i skrzynie. Bo też nikt zdrowy nie przesiadywał tutaj długo. Wstawało się o świcie i każdy dzień pogodny spędzało się do zmierzchu w polu i na podwórzu, pracując na roli, pasąc bydło, polując i wojując. A kiedy ciemna noc okrywała ziemię, jeszcze długo gawędzono i śpiewano przy ognisku megaronu, które było też sercem domu w czas słoty i chłodu.

Z męczącego półsnu wyrwały Adrastosa jakieś krzyki i hałasy. Księżę usiadł na łożu przerażony. Zdawało się, że to zbrojni dobijają się do bramy, a nawet że już się toczy walka. Słychać było wyraźnie szczęk mieczy o tarcze, wołania i wyzwiska. Była to zwyczajna rzecz w owych czasach – niespodziewana napaść sąsiadów lub piratów, którzy cicho przybijają o zmroku do wybrzeży; właśnie dlatego nigdy nie budowano osiedli nad samym morzem.

Adrastos niejedną już odparł taką napaść zbójceją i w niejednej sam brał udział. Był w każdej chwili przygotowany na wszystko. Co natomiast prawdziwie go przeraziło tej nocy, to dziwna cisza w samym domu. Czemuż nikt go nie budzi? Co robi służba? Gdzie są kobiety? Czyżby tej nocy bogowie uśpili cały dom snem kamiennym? A może to zdrada?

Adrastos zerwał się z łoża, chwycił miecz i tarczę – broń trzeba było zawsze mieć przy sobie – i jednym niemal susem znalazł się na dole, w megaronie. Wielka, mroczna izba była zupełnie pusta. Nawet ognisko na podmurówce w środku ledwie się żarzyło; nikt go nie podsycał. Książę wypadł na podwórze. Tu wreszcie dojrzał swoich. Służba cisnęła się przy bramie. Niektórzy stali na murze okalającym obejście i wymachiwali żagwiami. Ale nikt nie wydawał się strwożony, przeciwnie, zewsząd rozlegały się śmiechy i wesołe pokrzykiwania.

Kiedy książę wskoczył na mur przy bramie, w czerwonej poświacie pochodni dojrzał w dole dwóch uzbrojonych ludzi. W hełmach i napierśnikach stali naprzeciw, siebie trzymając miecze i zasłaniając się wielkimi tarczami; byli jak dwoje drapieżnych zwierząt gotujących się do skoku. Nieco dalej stały konie i rydwany, przy nich woźnice. Wszystko to objął Adrastos jednym spojrzeniem i od razu zrozumiał: ci dwaj obcy książęta jednocześnie podjechali pod bramę jego domu, aby schronić się przed burzą; sprzeczka wybuchła chyba o to, który z nich ma pierwszy zastukać.

Ale równocześnie, nim jeszcze Adrastos zdołał cokolwiek krzyknąć ku tamtym, ujrzał coś, co ścisnęło mu serce zbożną trwogą i nadzieją: oto hełm jednego z rycerzy, tego niższego, zdobiły rzędy kłów dzika; a na tarczy drugiego wymalowany był lew leżący!

Tydeus był niskiego wzrostu, krępy, ponury. Rzeczywiście przypominał dzika. Odzywał się rzadko i zawsze jakby opryskliwie. W ogóle czynił wrażenie niemal barbarzyńcy; jego mowa miała obce, chrapliwe zabarwienie, a broń również nieco się różniła od tej, którą nosili rycerze Myken i Tirynsu, Teb i Aten. Istotnie, Tydeus pochodził z bardzo daleka. Jego ojczyzną były wysokie i dzikie góry, które ciągnęły się na zachód od żyznej Beocji aż po morze; krainę tę zwano Etolią.

Ale ród Tydeusa był znamienity, królewski. Głośny też był powód, dla którego młody książę musiał opuścić swoje rodzinne strony i od dawna już błąkać się po obczyźnie. Nim jeszcze Tydeus stanął u bramy Adrastowego domu, zebracy i wędrowni pieśniarze opowiedzieli tu, dokładnie i barwnie, o nieszczęsnej przygodzie, która go spotkała z wyroku bogów i przeznaczenia. Owi ubodzy wędrowcy tym właśnie płacili za miejsce przy ognisku megaronu, za dzban wina, placek jęczmienny, ciepły kąt w stajni na noc: znosili wszystkie nowiny i plotki, często przydając coś od siebie, aby rzecz wypadła ciekawiej i zapłata była godniejsza. A jeśli przypadkiem nie zdarzyło się ostatnio nic niezwykłego w stronach dalszych i bliższych, wracali do starych dziejów, śpiewając o bogach i bohaterach.

Toteż kiedy Tydeus przedstawił Adrastosowi przy ognisku domowym swoją sprawę, oczywiście mrukiwie, zwięźle i niechętnie:

– Zabiłem krewnego. Nie z własnej woli, nie rozmyślnie. To było na polowaniu – książę nie dowiedział się niczego ponad to, co było mu już znane poprzednio. Zrozumiał też dobrze, bez żadnych próśb i wyjaśnień, o co przybyszowi chodzi: ścigany przez własny ród Tydeus pragnie tutaj wreszcie, w tej krainie za morzem, znaleźć spokój i bezpieczeństwo, a także życzliwego i możnego gospodarza, który zgodzi się dopełnić świętego obrządku i oczyści mordercę ze zmały krwi niewinnie przelanej. I Adrastos gotów był to uczynić z radością. Oto trafia się książę z dalekiej krainy, mąż dzielny i silny, zięć wskazany przez samego boga!

Toteż człowiekiem, który zdziwił się naprawdę w czasie tej nocnej rozmowy w megaronie, był nie Adrastos, lecz właśnie Tydeus. Mimo swej skrytości nie mógł ukryć zdumienia, kiedy usłyszał słowa:

– Dobrze. Przyjmuję cię do mojego domu. Oczyszczę cię z krwi i wprowadzę potem na ojcowiznę, choćby siłą. A ty pojdziesz moją córkę za żonę!

I od razu zwrócił się Adrastos do młodego mężczyzny, który siedział po drugiej stronie ogniska; wysoki i postawny, o regularnych rysach twarzy i żywych oczach, stanowił on niemal przeciwieństwo Tydeusa. Pan Larisy powiedział:

– A tobie, Polinejku, daję drugą córkę. I tak samo przywrócę ci władztwo. Przecież tobie należy się ono po sprawiedliwości, wiem o tym dobrze, nie twojemu bratu. Właśnie ciebie najpierw usadowię na ojcowiznie, bo to bliżej i po drodze. Tak, przez twoje Teby ruszymy ku Etolii Tydeusa!

Duma brzmiała w słowach argińskiego księcia. A jednocześnie odczuwał Adrastos głęboką wdzięczność dla przepowiedni, którą jeszcze przed chwilą tak się zamartwiał. Jakżeż mądry, wszechwiedzący i życzliwy jego domowi jest bóg delficki! Bo właśnie to, że obaj księżta są z daleka i bez ziemi, jest najpiękniejszym podarunkiem i zyskiem najczystszy. Nie trzeba będzie dawać córkom zbyt wielkiego posagu. Pozostanie w stajniach sporo tłustego bydła i ogniste rumaki bojowe. Owszem, póki zięciowie będą przy nim, dostaną spore działki dobrej ziemi. Nie poskąpi im niczego. Ale to tylko do czasu wspólnej wyprawy. Wojny zaś Adrastos nie tylko się nie lękał, lecz przeciwnie, pragnął jej i wyczekiwał radośnie. Miłował bowiem przygodę i walkę, nade wszystko zaś zdobycz wojenną. A kiedy Polinejkes i Tydeus zasiądą już w swych zamkach, on, Adrastos, będzie zaliczany do najmożniejszych książąt. Trzy bowiem krainy staną się własnością jego rodu: Larisa, Etolia, Teby – tak, przede wszystkim owe sławne, bogate Teby!

To wszystko, co się działo owej nocy w megaronie Adrastowego domu, nie było czymś zupełnie niezwykłym. Przybysze i wygnańcy z dalekich stron nieraz pukali do bram co okazalszych domów. Zwykle przyjmowano ich bardzo gościnnie, tak bowiem nakazywały najświętsze prawa bogów i ludzi. Oczywiście, nie każdy wygnaniec otrzymywał od razu za żonę córkę gospodarza; ale i to zdarzało się nie tak rzadko, jeśli wierzyć mitom i poematom. Małżeństwa zawierano mając na uwadze tylko interesy rodowe i sprawy majątku. Dziewcząt o zgodę nikt nie pytał, wybrańcy zaś nie musieli zajmować się ich urodą, byle tylko były to kobiety zdrowe, a posag odpowiedni. Miłość bowiem i pożądlivość można było zaspokoić bez trudu inaczej, choćby z branką.

Tarcza Polinejka stała oparta o słup drewniany. Była duża, prawie prostokątna. Za każdym razem, kiedy dorzucano do ognia większe szczapy drzewa i płomienie były wyżej, wygięta powierzchnia pokryta spizową blachą błyszczała przez chwilę czerwona światłą. Wówczas widać było dobrze: wyobrazona na tarczy postać miała tylko lwi tułów i łapy, głowę jednak młodej kobiety; z tułowia zaś wyrastały potężne skrzydła ptasie. Tak więc w blasku ogniska, kiedy rodziły się wielkie plany małżeńskie i wojenne, w półmroku megaronu gaśł i rozbłyskał stwór tajemniczy – tebański sfinks.

Podwójne oblicze sfinksa

Jest wiele zagadek wokół tego dziwnego stworu. Przede wszystkim: jaki jego rodowód? Czy pochodzi on z odległych krain, od obcych ludów, czy też jest po prostu wykwittem wyobraźni mieszkańców Krety i Hellady? Jakże wiązane z nim wierzenia? I co oznaczała sama nazwa „sfinks”? Na niektóre z tych pytań można już próbować odpowiedzieć.

W czasach mykeńskich wielu żeglarzy bywało w Egipcie. Po powrocie ze swych wypraw opowiadali szeroko o cudach tamtego kraju, zwłaszcza o jego wspaniałych budowlach i rzeźbach. Nic podobnego nie istniało wówczas na całym świecie. Wspominali również i o tym:

– Koło piramid wznosi się skała. Jest wysoka, długa, czerwona. Egipcjanie niezmiernym wysiłkiem wykuli ją na kształt leżącego lwa o twarzy mężczyzny. Jego oblicze ma w sobie coś niezwykłego: jakiś boski spokój, ale i ludzki uśmiech, trochę smutny a trochę jakby drwiący. Kapłani powiadają, że jest to jedna z postaci boga słońca Ra; strzeże ona wielkiej drogi na zachód, którą zdążają do świata mgieł i mroku zarówno zmarli, jak i samo promieni-

ste oko dnia. Egipcjanie w ogóle lubują się w owej postaci leżącego lwa z głową mężczyzny i ustawiają jej rzeźby, długimi nieraz szeregami, po obu stronach alei wiodących do świątyń. Powiadają zaś, że wyobraża ona faraona, który łączy w sobie siłę i odwagę lwa, króla zwierząt, z ludzką mądrością. Przy świątyniach stoją te rzeźby dlatego, aby nie dopuszczać złych duchów do wnętrza bożych przybytków.

A dzisiejszy uczyony mógłby dodać do tych słów jeszcze i to:

Wielkiego sfinksa koło piramidy w miejscowości Gizeh kazał wykuć faraon Chefren panujący około 2600 p.n.e., rzeźba ma rozmiary doprawdy imponujące, bo 57 metrów długości, 20 zaś wysokości. Był ów sfinks początkowo podobizną samego władcy, potem utożsamiono go z jedną z postaci słońca. Wielokrotnie, już w czasach faraonów, zasypywały go piaski pustyni. Zachowały się hieroglificzne napisy dwóch egipskich królów, którzy panowali około 1400 p.n.e.; mówią one bardzo poetycznie o tym, że zjawił się im ów sfinks we snach i prosił, aby oczyścili go z mas piasku; przyrzekał im, że jeśli to uczynią, wstąpią na tron faraonów – byli bowiem wówczas tylko książętami.

Sfinks egipski ma niemal zawsze głowę mężczyzny, kobiety zaś tylko wówczas, jeśli wyobraża małżonkę władcy. Owszem, rzeźbiono też lwy z głową orła lub barana; te przedstawiały niektóre bóstwa. Wszystkie owe sfinksy niezależnie od stylizacji, zawsze uchodziły za istoty dobre i opiekuńcze. Nazywano je po egipsku „szespankh”, co można tłumaczyć „żyjący posąg”; wydaje się pewne, że grecki wyraz „sfinks” jest tylko zniekształceniem tamtej nazwy.

Jednakże sfinks w języku greckim jest rodzaju żeńskiego. Mówi się „ta sfinks”. I rzeczywiście: już na zabytkach sztuki mykeńskiej oglądamy obraz tego stworu, który bardzo istotnie różni się od starych wyobrażeń egipskich. Jest to wprawdzie lew, ale zawsze o głowie dziewczyny, i to uskrzydłony! Sfinks – lub nawet pary sfinksów – to częsty motyw ornamentacyjny na mykeńskich gemmach i pieczęciach, na wazach i na tabliczkach ze złota i z kości słoniowej. W ruinach Myken znaleziono nawet gipsową rzeźbę głowy kobiecej, malowaną, naturalnej wielkości; pewne szczegóły wskazują, że stanowiła ona część dużego posągu – właśnie sfinksa. Rzecz to tym godniejsza uwagi, że poza tym nie zachowały się z czasów mykeńskich żadne większe rzeźby.

Skoro postać sfinksa służyła za ornament na przedmiotach użytkowych, to widocznie na Krecie i w świecie mykeńskim nie wiązano z nią wówczas żadnych szczególnych wyobrażeń religijnych albo też uważano ten stwór za istotę dobrą i zsyłającą pomyślność – tak właśnie jak

wierzono w Egipcie!

Dlaczego jednak mykeński sfinks przedstawiany jest zawsze z głową kobiety i parą skrzydeł? Dalej: na mykeńskich ornamentach sfinks ma szczególny strój głowy, diadem albo też jakby płaską czapkę, czego nie spotkamy na żadnym prawie zabytku egipskim. Tak więc mykeńska postać sfinksa czyni wrażenie zapożyczonyj nie wprost z kraju piramid, ale z innych ziem, z którymi Mykeńczycy również mieli kontakty. Myśli się przede wszystkim o Syrii. Tam to już, być może, pierwotny sfinks egipski uległ przekształceniu i przybrał tę postać, która odtąd królowała niepodzielnie w sztuce i wyobrażeniach Hellenów, od czasów mykeńskich aż po koniec starożytności.

Jednakże to wszystko jeszcze nie wyczerpuje zagadek związanych ze sfinksem. Widzieliśmy jak dotąd, że istota owa symbolizowała dobro. A przecież wszyscy znamy ponury mit, który przedstawia sfinksa jako krwiożerczego demona, jako wrogię ludziom potwora! Mit jest prastary, mykeński lub jeszcze dawniejszy.

Ale ów sfinks-ludobójca nie grasował po całej Helladzie. Był związany tylko z jedną krainą, tylko z jednym miastem. Rzecz uderzająca, nie jest to jakaś odległa, góraska i dzika kraina, lecz właśnie ta, która już w mykeńskich, a może i wcześniejszych czasach należała do najgęściej zaludnionych i najbogatszych. Oto mit umiejscawia sfinksa-potwora w najbliższej okolicy Teb! Opowiada, że upodobał on sobie stromą skałę przy drodze wiodącej z Teb do

Haliartos, brzegiem jeziora Kopais. Zwała się owa skała Fikion. Więc może – przypuszczają niektórzy uczeni – od niej to poszła w ogóle nazwa tego stworu? Może zniekształcono ją później, upodabniając do wyrazu „sfingo”, który znaczy: duszę, zabijam? Ale dlaczego to mit przypisuje tej złej, koszarnej istocie kształt właśnie taki, który gdzie indziej nie wiązał się z żadnymi ponurymi wyobrażeniami? Może ów potwór tebański pierwotnie oznaczał po prostu śmierć, która w wierzeniach wielu ludzi występuje jako skrzydlaty demon, porywający duszę zmarłego?

Tak więc, za którymkolwiek opowiedzieć się poglądem, powstają nowe pytania i trzeba szukać nowych wyjaśnień. Sfinks jest prawdziwie tajemniczym sfinksem, nie tylko w legendzie.

Tebański sfinks napadał i porywał młodych ludzi (mężczyzn jedynie, bo był przecież, nie zapominajmy o tym, kobietą!) nie tylko koło samej skały Fikion. Niespodziewanie zjawiał się również i w samym mieście, w biały dzień, kiedy rynek był najrojnniejszy. I tu, i tam igrał ze swymi ofiarami, zadając im najpierw łatwe zagadki i zapewniając:

– Jeśli nie zgadniesz, zginiesz! A jeśli zgadniesz, ja od razu zadam sobie śmierć!

Ale nawet na pytania najprostsze nikt nie potrafił odpowiedzieć. Strach obezwładniał i odbierał rozum. W ciągu kilku lat, opowiadali Tebańczycy, zginęły dziesiątki i setki młodych mężczyzn.

Patrząc na tarczę Polinejka Adrastos dobrze wiedział, czemu właśnie sfinks jest jej znakiem. Opowieść bowiem o wielkim czynie Edypa, ojca Polinejka, głośna była po wszystkich mykeńskich krainach. Wędrowni pieśniarze powtarzali ją nieraz przy ognisku megaronu w czasie słotnych wieczorów jesiennych i zimowych:

Edyp był młodym człowiekiem, nikomu nie znanym w Beocji. Szedł drogą w stronę Teb siedmiobramnych. Wiedział, że czyha tutaj złowieszczy sfinks – i pragnął go spotkać! Tebańczycy bowiem rozgłosili po całej Helladzie, że ten, kto zabije potwora, dostąpi wielkiej nagrody: otrzyma tron kraju, osierocony po tragicznej śmierci Lajosa, oraz rękę wdowy po królu.

Lew o twarzy pięknej dziewczyny zastąpił Edypowi drogę w wąskim przejściu koło skały. Powiedział:

– Zgadnij, co to takiego: jest stworzenie na ziemi, które ma cztery, dwie i trzy nogi; najslabsze jest wtedy, kiedy używa nóg czterech, najsilniejsze zaś, kiedy dwóch tylko.

Strach nie przyćmił Edypowi rozumu. Odpowiedział bez namysłu:

– To całkiem proste: przecież to człowiek!

I jednocześnie rzucił się z włócznią na potwora. Inni jednak głosili później, że to sam sfinks skoczył ze skały w głębiny jeziora.

Edyp otrzymał nagrodę wyznaczoną przez Tebańczyków. Stał się panem zamku na Kadmei i mężem pięknej królowej, Jokasty. Miało się jednak okazać, że młody człowiek zwyciężył sfinksa na nieszczęście swoje i całego kraju. I to więc można by uważać, w świetle wydarzeń późniejszych, za tajemnicę i zagadkę: czy Edyp naprawdę pokonał sfinksa, czy też potwór został pokonany – bo chciał być pokonany, i to właśnie przez Edypa?

Król Edyp

W czasach Hellady klasycznej niektórzy twierdzili, że autorem *Pieśni o Edypie* był sam Homer; inni natomiast podawali jako twórcę poetę Kinajtona, który żył w Lacedemonie w wieku VIII p.n.e. Jednakże te spory nie mają dla nas większego znaczenia, bo ów poemat, choć długo podziwiany i czytany zaginął u schyłku starożytności. Wiemy o nim właściwie tyle tylko, że liczył wierszy 6600, czyli objętością dorównywał połowie *Iliady*; przedstawiał

czyny Edypa od zwyciężenia sfinksa aż po zgon, językiem zaś i stylem przypominał wielkie epeje Homera.

Nie było to jedyne arcydzieło literatury helleńskiej poświęcone nieszczęsnym losom Edypa. W roku 467 p.n.e. ateński poeta Ajschylos przedstawił trylogię dramatyczną, której części składowe nosiły tytuły: *Lajos – Edyp – Siedmiu przeciw Tebom*; z tej jednak trylogii dochował się do naszych czasów tylko człon ostatni. Zachowała się natomiast tragedia Sofoklesa *Król Edyp*, wystawiona w Atenach gdzieś koło roku 430, a więc prawie dokładnie pół wieku przed trzecią wyprawą siedmiu przeciw Tebom. Sposób prowadzenia akcji w tej tragedii jest w zasadzie dziełem samego mistrza, jednakże istota wydarzeń nie odbiega od tego, co opowiadano w Helladzie od czasów najdawniejszych, jeszcze mykeńskich.

Edyp rządził Tebami świetnie, cieszył się miłością wszystkich poddanych. Z jego małżeństwa z Jokastą przyszło na świat czworo dzieci: dwóch synów, Eteokles i Polinejk, oraz dwie córki, Ismena i Antygona. Po kilkunastu jednak latach pomyślności niespodziewanie spadło na kraj tebański straszliwe nieszczęście: zaraza. Pochłaniała ona co dzień dziesiątki i setki ofiar, ziemia zaś przestała wydawać plony! Tym więc nawet, którzy by przeżyli chorobę, groziła śmierć z głodu. Ulice pustoszały, nad miastem unosił się cuchnący dym ze stosów, na których płonęły ciała zmarłych. Bogowie milczeli, choć u ich ołtarzy dzień i noc zanoszono modły oraz składano ofiary. Król, zawsze tak dzielny i zaradny, był zupełnie bezsilny. Jedyne, co mógł uczynić, to wysłać poselstwo do Delf, do wyroczni Apollona; niech sam bóg wskaże drogi i sposoby ratunku!

Posłem był Kreon, brat Jokasty, żony Edypa. Powrócił on z dziwną odpowiedzią: bóg przypomina, że w mieście wciąż się ukrywa zabójca poprzedniego króla, Lajos; trzeba wyszukać tego człowieka i wygnać lub śmiercią ukarać; wówczas dopiero ustanie zaraza!

Istotnie, okoliczności śmierci Lajosa okrywała dziwna tajemnica. Wiedzano tyle tylko, że zginął on w czasie podróży, którą odbywał właśnie do Delf, do wyroczni Apollona. Z orszaku króla Lajosa uratował się tylko jeden człowiek; po powrocie do miasta opowiadał on, że na górskiej drodze napadli na nich groźni rozbójnicy. Wkrótce po tym tragicznym wypadku dotknęła Teby zmora krwiożerczego sfinksa. Któż by myślał o ściganiu zabójców i sprawdzaniu słów sługi Lajosa, kiedy każdemu w tym mieście groziła śmierć każdego dnia?

Wszystko to zaczęło nasuwać Edypowi pewne podejrzenia. Ale nie zdradzał się z nimi, chciał bowiem mieć w ręku więcej dowodów. Działać zaś musiał szybko i bezwzględnie, i to nie tylko z powodu zarazy; przecież – król wcale się nie krył z tą myślą – zabójca Lajosa może przygotować teraz zamach na jego, Edypa, życie i panowanie!

Tak więc król zwołał zgromadzenie ludu całego miasta: niech każdy, dla wspólnego dobra, powie otwarcie, co jest mu wiadome o śmierci Lajosa. Przyprawiono też przed pałac Tejrezjasza. Był to starzec, który przed laty stracił wzrok, zdobył zaś za to dar jasnego widzenia przyszłości i wszystkiego, co mrokiem spowite. Lecz właśnie on, choć król pytał coraz natarczywiej, nie chciał w tej sprawie rzec ni słowa. Nie pomagały żadne prośby i coraz to ostrzejsze pogrożki. Rozgniewany tym starczym uporem Edyp powiedział wreszcie wprost:

– Milczysz, bo sam brałeś udział w zbrodni!

Oskarzenie dotknęło starca tak boleśnie, że nie panując już nad sobą krzyknął:

– Mylisz się, królu, to właśnie ty jesteś zabójcą Lajosa!

Wówczas dopiero Edyp, rozwścieczony obelgą, którą słyszał cały lud, wyjawiał, co nurtowało go już od dawna:

– Działasz w zмовie z Kreonem, który chce mnie usunąć, żeby samemu zasiąść na tronie!

A pod tymi słowami władcy kryło się dalsze oskarżenie: to Kreon, przy twojej także pomocy, nasłał zabójców na Lajosa!

Ale Tejrezjasz nie ustępował. Więcej: groził królowi. Nie czuł się jego poddanym, był bowiem sługą Apollona. Mówił więc z całą otwartością:

– Drwisz z mojej ślepoty, ale to ty sam jesteś ślepy! Nie znasz ogromu swych nieszczęść, nie wiesz, co cię czeka. Nie ma na tej ziemi człowieka, którego dola straszniejsza by była od twojej.

Tejrezjasz odszedł prowadzony przez chłopca, król zaś całą swoją wściekłość zwrócił przeciw Kreonowi. Lecz brat Jokasty był spokojny i opanowany jak zawsze, pewien swej niewinności, choć Edyp wprost groził mu śmiercią lub wygnaniem. Jokasta nadeszła w porę, by przerwać zwadę i rozdzielić obu mężczyzn. Edyp nie taił przed nią swych podejrzeń. Powiedział żonie:

– Ten człowiek, twój brat, nasłał wróżbitę, który opowiada, że Lajos zginął z mojej ręki.

Wówczas roztropna Jokasta zaczęła pocieszać męża:

– I któż by przejmował się wróżbitami? Mówiąc prawdę, nikt ze śmiertelnych nie zna przyszłości, wszyscy zaś wieszczbiarze zwodzą tylko i udają. Mogę to stwierdzić z całą pewnością. Bo Apollon przepowiedział memu pierwszemu mężowi, Lajosowi, że zginie z ręki syna. Czy to się sprawdziło? Nie, oczywiście! Przecież Lajosa zabili zbójcy na rozwidleniu trzech dróg górskich, a jego – i mój – syn zginął mając zaledwie trzy dni życia. Bo Lajos kazał związać niemowlęciu nóżki i wynieść dziecko w lasy Kitajronu, by pożarły je dzikie zwierzęta. Tak bardzo się obawiał, żeby się nie sprawdziła tamta przepowiednia.

Edypa coś zastanowiło w słowach żony:

– Mówisz, że zabito Lajosa w miejscu, gdzie krzyżują się trzy drogi górskie?

– Tak, to było w Focydzie. Spotykają się tam trzy drogi: z Teb, z Daulis i ta z Delf wiodąca.

– I stało się to na pewien czas przed pojawieniem się sfinksa i przed moim przybyciem tutaj?

– Tak, oczywiście!

– A jak wyglądał Lajos?

– Był wysoki, siwawy – i w ogóle z postawy nieco podobny do ciebie.

– Ile było z nimi ludzi? Chyba sporo, jak przystało na króla?

– Wszystkich razem było pięciu, w tym jeden herold. Lajos jechał na wozie czterokołowym.

– Można by tu ściągnąć tego człowieka, który się uratował?

– Zaraz gdy objąłeś rządy, zaczął mnie błagać, żebym go wysłała gdzieś z miasta, za nic nie chciał tutaj pozostać. Teraz jest pastuchem na wsi.

– Każ go natychmiast przywołać!

– Oczywiście. Ale o co właściwie ci chodzi?

– Dobrze, powiem ci wszystko. Komuż zresztą mam wyjawić, co mnie w tym niepokoi, jeśli nie żonie? Pochodzę z Koryntu, wiesz dobrze. Moi rodzice panowali nad tym miastem. Raz jednak któryś z pijanych gości rzucił mi w twarz, że jestem podrzutkiem. Zapytałem rodziców – oni zaprzeczyli, i to z gniewem. Ale ta sprawa nie dawała mi spokoju. Wybrałem się więc sam do Delf, aby boga zapytać. Wyrocznia jednak w ogóle nie odpowiedziała na moje pytania, lecz zaczęła mi grozić: że zabiję własnego ojca, że ożenię się z własną matką, że spłodzę z nią dzieci. To mnie przeraziło. Chciałem uciec jak najdalej od Koryntu. I teraz muszę ci powiedzieć, moja żono, prawdę, całą prawdę. Los zdarzył, że w czasie mej wędrówki znalazłem się właśnie w tym miejscu, gdzie spotykają się trzy górskie drogi. Właśnie nadjechał wóz, na którym stał woźnica i wysoki, dostoyny mężczyzna o siwiejących już włosach. Chcieli mnie zepchnąć z ciasnej drogi. Zaczęła się kłótnia, przyszło do bijatyki. Woźnicę powaliłem na ziemię. Starzec dwa razy ciął mnie w głowę ościeniem, którym się konie popędza. Uderzyłem go kijem tak mocno, że zaraz runął z wozu. A potem przepędziłem resztę służby; było ich jeszcze dwóch lub trzech. Teraz dręczy mnie jednak myśl: czy ten zabity przeze mnie starzec nie był przypadkiem królem Lajosem? Jeśli tak było, musiałbym na-

tychmiast opuścić to miasto. Przecież to ja sam przekląłem mordercę Lajosa, to ja rozkazałem zamknąć przed nim wszystkie domy! Znowu więc stanę się wygnańcem. Bo do Koryntu wrócić nie mogę, nie chcę. Wciąż brzmią mi w uszach słowa wyroczni Apollona: staniesz się mordercą własnego ojca, mężem własnej matki! Wszystko więc zależy teraz od tego, co powie ów sługa.

Jokasta jednak wciąż nie rozumiała. Zapytała:

– Czemuż ci tak zależy na jego świadectwie?

– To proste. Sługa mówił, że Lajosa napadła cała gromada rozbójników. Jeśli potwierdzi te słowa, jestem uratowany.

– Możesz być tego zupełnie pewien, mówił to przed całym miastem. Ale gdyby nawet z jakichkolwiek powodów odwołał to, cośmy wówczas słyszeli wszyscy, to i tak jeszcze bym nie dawała wiary ponurym przepowiedniom Tejrezjasza. Nie wierzę bowiem, powtarzam, żadnym wróżbom, od kiedy nie sprawdziły się słowa samego Apollona, że zamorduje Lajosa jego syn własny. Ale nasz synek zginął wśród skał Kitajronu!

Nim jednak przywołano owego starego sługę Lajosa, przybył do królewskiego pałacu, do Kadmei, goniec z Koryntu. Jokasta spotkała się z nim wychodząc do świątyni; chciała złożyć w niej ofiary za pomyślność męża. Goniec przybywa z wiadomością i smutną, i dobrą zarazem: zmarł w Koryncie ojciec Edypa, Polibos, a lud tego miasta rad by powołać właśnie Edypa jako króla. Jokasta uradowała się ogromnie: oto znowu okazała się nicość wszelkich wróżb i przepowiedni! Edyp porzucił przed laty soje rodzinne miasto, aby nie stać się ojcobójcą, a ojciec jego zmarł śmiercią naturalną!

Mimo to Edyp miał nadal pewne wątpliwości:

– Pozostała jeszcze druga część wyroczni – że poślubię własną matkę!

Koryncki wysłaniec, który przysłuchiwał się rozmowie Edypa i Jokasty, pospieszył rozproszyć te obawy:

– Lękasz się bez potrzeby. Możesz spokojnie wracać do Koryntu. Polibos nie był twoim ojcem, Meropa zaś, jego żona, nie była twoją matką!

A kiedy oszołomiony tą nowiną król zaczął go zasypywać pytaniami, wysłaniec, starszy już człowiek, opowiedział wszystko, co się zdarzyło przed wielu laty:

– To ja zaniósłem cię do domu Polibosa. Pasałem wówczas owce na Kitajronie. Otóż inny pastuch dał mi niemowlę, które miało nóżki tak mocno związane, że aż stopy mu opuchły; zresztą do dziś masz tego ślady, i stąd też twoje imię – Ojdipus, Opuchłonogi. Ten owczarz był sługą Lajosa.

Edyp zaczął rozpytywać swoich, co to za owczarz, czy jeszcze żyje, gdzie mieszka. Starcy byli zdania, że to na pewno ten sam, który później był świadkiem śmierci Lajosa. Jokastę zaczęły niepokoić te ciągle dochodzenia. Powiedziała wprost:

– Zaprześć tych badań, radzę ci dobrze!

Edyp jednak był zdecydowany doprowadzić wszystko do końca. Musi dowiedzieć się wreszcie, czym jest synem? Królowa odeszła milcząc, Edyp zaś myślał:

– To jasne, czemu niepokoi się Jokasta. Może wyjdzie na jaw, że niskiego rodu? Ona jest pyszna, pochodzi z domu królewskiego. Kobiety bywają dumne z takich rzeczy. Mnie jest wszystko jedno. Jestem dzieckiem losu, to on wyniósł mnie tak wysoko!

I patrzył król ku wielkiej górze, ku Kitajronowi. Jutro będzie pełnia. Trzeba będzie wyprawić tam nocne tańce, bo ona to, góra wysoka i skalista, jest prawdziwym jego rodzicem. A kim była matka? Może któraś z nimf leśnych? Albo Muza, urocza córka Apollona?

Wreszcie przyprowadzono starego owczarza. Edyp natychmiast zaczął go wypytywać. Starzec początkowo odpowiadał chętnie i jasno:

– Tak, byłem sługą Lajosa. I to nie kupionym, lecz urodzonym w jego domu. Zazwyczaj pasłem trzody na halach Kitajronu.

Natomiast nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek znał owego człowieka, który przybył obecnie z Koryntu jako wysłaniec. Ten jednak jął przywozić mu na pamięć:

– Ty pasales wtedy na Kitajronie dwie trzody, ja tylko jedną. Rokrocznie byliśmy w górach po trzy miesiące: od wiosny po wczesną jesień. Potem każdy z nas chodził w inną stronę: ty gnales swoje owce do stajni Lajosa, ja zaś aż do Koryntu. Pamiętasz przecież, że raz dales mi niemowlę, chłopca, i przykazales, zebym go wychowal jak własne dziecko. Patrz – król Edyp, który stoi przed nami, jest właśnie tym nieszczęsnym niegdyś dziećciem!

Jednakże dawny sługa Lajosa zaczął się płatać w swych odpowiedziach i jakby wypierać wszystkiego, Edyp kazał związać mu ręce – znak, że żartował w tej sprawie nie będzie. Pytał:

– Dales dziecko?

– Dałem. Że też nie zginałem wtedy!

– Czyje było to dziecko?

– Nie moje.

– Więc czyje?

– Lepiej nie pytaj!

– Każę cię zabić!

– Ono było stąd, z domu Lajosa!

– Kto ci je dał do ręki?

– Podobno to było dziecko samego Lajosa. Ale więcej powie ci Jokasta.

– Więc to ona dała ci dziecko?

– Tak, ona.

– Ale po co?

– Chciała, zebym je zabił!

– Co mówisz? Matka kazała ci zabić swoje dziecko?

– Tak, bo jakieś wróżby złowieszcze trwożyły ją samą i męża.

– Jakie wróżby?

– Była przepowiednia, że dziecko, gdy dorośnie, zabije swego ojca i poślubi własną matkę.

– Więc czemu dales dziecko temu człowiekowi?

– Po prostu z litości. Myślałem sobie: to przybysz z obcej ziemi, weźmie niemowlę i wychowa daleko stąd, tak zdoła się uniknąć nieszczęścia. Ale jeśli jest prawdą, co teraz on mówi, to nie ma, królu, na całej ziemi człowieka, który by bardziej od ciebie godzien był litości!

Kiedy Edyp wbiegł do pałacu, Jokasta już nie żyła, Własnymi rękami odczepił od sznura, na którym się powiesiła, swoją żonę i matkę. Potem odpiął złote sprzączki jej sukni i wbił sobie w oczy.

A przecież Edyp był całkowicie niewinny! Nikogo świadomie nie skrzywdził, był dzielny i sprawiedliwy, chciał dobra dla swego kraju; właśnie dlatego tak gorliwie prowadził dochodzenia – przeciw sobie samemu, jak miało się okazać. Gdy był dzieckiem małym, uratowała go litość obcych po to tylko, aby los zgotował mu później zgubę tym straszniejszą. Przeznaczenie igrało z Edypem okrutnie.

Gdzież było źródło, gdzie prapoczątek zła? Dlaczego właśnie Edypa dotknęła tak bezlitosna klątwa bogów? Powstała opowieść, że Edyp płacił za winy swego ojca, Lajosa. Ten urodził się w królewskiej rodzinie tebańskiej. Gdy był małym chłopcem, rządy sprawował jego wuj Likos,

mąż Dirki. Później Amfion i Zetos ukarali straszną śmiercią Dirkę, prześladowczynię swej matki, i wygnali Likosa. Oni panowali teraz na Kadmei, otaczając miasto potężnymi murami. Lajos uciekł daleko na południe, aż na Peloponez. Tam znalazł gościnę w książęcym domu Pelopsa. Odpłacił swemu gospodarzowi tym, że uwiódł i porwał jego pięknego syna, Chryzypa. Wówczas to właśnie Pelops wyrzekł przekleństwo, które później potwierdziła wyrocznia

Apollona: syn Lajosa zabije swego ojca! Po śmierci Amfiona i Zetosa Lajos wrócił do Teb i zasiadł na królewskim tronie, należnym mu prawem dziedziczenia. Dzieci jednak Lajos mieć nie chciał, pomny swego występku i przekleństwa Pelopsa. Kiedy raz, rozgrzany winem, uległ żądzy i zbliżył się do swej żony Jokasty, spełniło się przeznaczenie: został ojcem. I stał się też ofiarą swego syna, choć kazał go zaraz po urodzeniu wynieść na Kitajron.

Tak usiłowali niektórzy wytłumaczyć ogrom nieszczęść, jakie spadły na Edypa. Ale jakżeż niewspółmierną byłaby wina i kara! O ileż słuszniej i głębiej postępuje Sofokles nie dając żadnych wyjaśnień przyczynowych! Przeznaczenie starło Edypa na proch, bo taka była wola bogów i losu; a wobec tych sił wszystko, co czyni człowiek, jest tak bez znaczenia jak piski ślepego szczenięcia, które porwała wielka fala powodzi.

Edyp pragnął jeszcze tylko jednego: odejść precz z miasta, uciec z tebańskiej ziemi, która widziała największy triumf jego życia, ale też i nieszczęście przekraczające ludzkie rozumienie. Chciał, by go zaprowadzono w lasy Kitajronu. Tam miał zginąć jako dziecko, niechże więc teraz przeklęte ciało legnie wśród górskich głazów – żer ptactwa i dzikich zwierząt! Niech odbierze swój dług pan skalnych pustkowi!

Jednakże Kreon, który objął teraz opiekę nad domem i rządy nad całym miastem, sprzeciwił się tym żądaniom oślepego króla. Raz dlatego, że hańba rodziny powinna pozostać ukryta. Po drugie z obawy, że wypuszczenie Edypa za mury miasta niechętni uznają za dowód jego, Kreona, wrogości wobec człowieka, który niedawno podejrzewał go o zdradę. Po trzecie wreszcie, przezorny Kreon wołał zwrócić się o radę do delfickiej wyroczni: niechże ona powie, co począć z ojcobójcą i mężem własnej matki! Tak więc Edyp pozostał w zamknięciu tebańskiego zamku.

Ponurym akcentem kończy się dramat Sofoklesa: człowiekowi, który przed chwilą władał bogatym i potężnym grodem Teb, obecnie nie wolno nawet umrzeć; nie pozwala na to racja stanu. W dawnych jednak wiekach, jeszcze przed Sofoklesem, znana też była inna wersja losów Edypa: pozostał on przy władzy i zginął dopiero w zwycięskiej wojnie z możnym ludem Miniów, który sąsiedował z Tebańczykami. Wydaje się, że prastara *Pieśń o Edypie* tak właśnie się kończyła. Krótka wzmianka o Edypie w *Odysei* również zakłada, być może, nieco odmienną wersję mitu. Oto Odyseusz, gdy zstąpił do krainy zmarłych, ujrzał tam, wśród wielu innych mar bohaterów i sławnych niewiast, także Jokastę (zwie ją Epikastą):

„I matkę Edypa widziałem, piękną Epikastę, która w nieświadomości popełniła czyn straszny, poślubiając własnego syna, a on, zanim ją poślubił, zabił swego ojca i wnet bogowie odkryli to ludziom. Lecz on w ukochanych Tebach panował nad ludem kadmejskim, ból cierpiąc z okrutnej woli bogów. Ona poszła do Hadesa, potężnego wrót strażnika, gdy, bólem dręczona, chwyciła się pętli zabójczej u wysokiego pułapu, na syna zaś spadły niezliczone niedole, ile ich tylko przynoszą matczyne erynie⁷.

Jednakże, jak się rzekło, w czasach Hellady klasycznej panująca była inna wersja mitu: oślepy Edyp wiedzie w pałacu nędzny żywot, prawie jak więzień, któremu nawet umrzeć nie wolno; opiekują się nim tylko córki; rządzi Kreon.

Po kilkunastu latach synowie Edypa, Polinejkes i Eteokles, doszli do wieku, w którym mogli upomnieć się o spadek po ojcu, o władzę i majątek. Kreon znowu musiał odejść w cień. Bracia jednak nie mogli się pogodzić. Raz chcieli dzielić się władzą w ten sposób, żeby zmieniać się na tronie co roku. Potem znowu powstawał zamiar taki: jeden weźmie ziemię i panowanie, drugi zaś wszystkie kosztowności i w ogóle cały majątek ruchomy. Nie było w tym nic szczególnie dziwnego, że wciąż zrywali porozumienia i spierali się coraz ostrzej. Ludzie jednakże uważali, że owa niezgoda, przeradzająca się już w nienawiść, jest skutkiem ojcowego przekleństwa. Powiadano:

⁷Homer, *Odyseja*, XI 571–580, przekład J. Parandowskiego.

– Obaj młodzi są twardzi, bezlitośni, wciąż urągają swemu ojcu, a on rzuca na nich klątwy. Jedyną pociechą ociemniałego króla są córki, Ismena i Antygona. O nich tylko myśli, o nie tylko się troszczy. Ale jakąż przed nimi przyszłość? Któż zechce pojąć za żonę dziewczynę, która urodziła się z tak potwornego związku?

Spór między braćmi – jakikolwiek był jego powód i przebieg – zakończył się wreszcie tym, że Polinejkes siedział w megaronie Adrastososa jako wygnaniec. Król Argos nie miał żadnych skrupułów wydając zań swoją córkę. Bo najważniejsza była dla Adrastososa nadzieja, że jego potomstwo zasiądzie kiedyś na tebańskim tronie, usprawiedliwienie zaś stanowiła wyrocznia Apollona: ma dać swoje córki lwu i dzikowi. Skoro bóg okazał się tak jasnowidzący i prawdomówny w wypadku Edypa, ufać mu trzeba w każdej sprawie!

Księga trzecia

POSŁOWANIE DO MYKEN

Na polu bitwy pod Troją Agamemnon, król Myken, mówi do Diomedesa:

– Biada, synu dzielnego Tydeusa, co konie poskramia! Czemuż tak drżysz ze strachu? Czemuż to wypatrujesz, gdzie pole jest wolne? Nie zwykł był Tydeus cofać się lękliwie. Występował do przodu daleko przed swych miłych druhów i tak walczył z wrogiem! Powiadali to ci, co go widzieli w bitwie. Ja sam bowiem nigdy go nie spotkał i nigdy nie oglądał. Owszem, raz przyjechał do Myken, nie jako wróg, lecz w gościnę; był razem z boskim Polinejkiem. Zbierali wtedy ludzi, bo sposobili się do wyprawy przeciw świętym murom tebańskim. Bardzo więc prosili, żeby ich wspomóc sławnymi wojami. Przystali na to Mykeńczycy, lecz odwiódł ich Zeus, bo złe znaki zesłał.

(Iliada, IV, 370 – 381)

Jadąc ku zamkom w górach

Równina była szeroka, ale z trzech stron zamknięta półkolem wysokich gór. Tylko na południu otwierała się ku morzu; tam właśnie, niezbyt daleko od wybrzeża, leżała na wyniosłym pagórku, głęboko wdzierającym się w równinę, siedziba Adrastosa.

Pewnego ranka Tydeus i Polinejk wyjechali na swych rydwanach z tego gościnnego i już rodzinnego domu; było to bowiem w dłuższy już czas po przyjęciu przez Adrastosa obu książąt i po zawarciu małżeństw. Woźnice pognali konie wprost ku północy, ku przejściu, które daleko na horyzoncie otwierało się pomiędzy dwiema górami w kształcie ogromnych piramid; musieli więc przeciąć całą równinę wzdłuż. Kiedy wypoczęte rumaki równym cwałem pędziły dobrze utrzymaną drogą, książęta – jak czynili już od dawna i wciąż na nowo – podziwiali bogactwo tej krainy. Zachwycony był zwłaszcza Tydeus, którego ojczyzną były góry dzikie i skaliste. Tu cieszyły oko rozległe łąny pszeniczne, gaje oliwne, piękne winnice, bujne łąki. Z gór porośniętych cyprysami spływały potoki; prawda, latem wysychały one prawie do dna i więcej w nich było kamieni niż wody, ale od niepamiętnych czasów pracownicy mieszkańcy równiny radzili sobie kopiąc głębokie studnie i wyłapując deszczowe opady w kamiennych cysternach; tak nawadniali swe pola w dniach obojętnego skwaru. Doprawdy – myślał Tydeus – słusznie uważa się Argos za najbogatszą część Peloponezu, i słusznie panowie tej równiny są nad wszystkich książąt całego półwyspu.

Droga nie była zbyt długa. Wciąż jeszcze trwał ranek i powietrze wciąż jeszcze było rześkie, choć słońce pięło się po niebie coraz wyżej, a książęta już podjeżdżali do dwóch wielkich gór, strzegących równiny od północy. Tydeus i Polinejk, im bliżsi byli celu swej podróży, tym stawali się milkliwsi, choć – mimo tamtej kłótni u Adrastowej bramy – wspólność losów złączyła ich tak ściśle, że uczyniła przyjaciółmi. Woleli jednak nie rozwodzić się teraz nad tym, co i tak okryte było tajemnicą. Jeszcze wieczorem tego dnia, wracając z powrotem do Larisy, będą wiedzieć, jak stoją sprawy!

Zamek był tak położony, że z dołu właściwie nie można go było dojrzeć. Dopiero kiedy rydwany wjechały na pierwszy pagórek, nagle, po prawej ręce, wyrosły mury potężne i groźne; za nimi wznosił się masyw skalistej góry. Wszystko było tu ponure i ostre. W dole pozostała roześmiana ziemia uprawna, łąny i winnice, tu był tylko przestwór prażącego słońcem nieba i szare kamienie. Panowie zamku mieli u swych stóp i całą równinę Argos, i przejście, które wiodło z niej w głąb łądu. Zasłonięci przed oczyma ludzi idących dołem, sami swobodnie obejmowali wzrokiem krainę od Tirynsu nad morzem po sfalowane pasma gór na wschodzie i północy.

Długi garb, na którym wznosił się zamek, opadał od południa stromo i przepaściście ku głębokiemu wąwozowi; z innych jednak stron stoki były nieco łagodniejsze. Mury biegły wzdłuż załamań wzgórza, kształtem przypominając wydłużony trójkąt, bardzo jednak nieregularny. Jego wierzchołek zwrócony był ku wschodowi, podstawa zaś ku zachodowi, i właśnie od tej strony zbliżali się ku zamkowi książęta; tędy bowiem, gdzie wzgórze tarasowato schodziło ku małej przełęczy, wiodła główna droga. Jadący pod górę mieli przed sobą szare półkole murów, za którymi widać było wysokie i ścieśnione zabudowania, stojące jakby jedne nad drugimi; mury bowiem opasywały mały pagórek.

Przy drodze ku zamkowi stało wiele domów; wszystkie były z kamienia, niektóre zaś prezentowały się całkiem okazale. Przed jednym z nich suszyło się setki dzbanów i glinianych naczyń różnego kształtu, z innego dolatywał delikatny zapach wonnego olejku, a jeszcze skądinąd dochodził stukot młotów kowalskich. Wszędzie pracowano dla władcy zamku. Ludzie słysząc tętent końskich kopyt i zgrzyt rydwanowych osi odrywali się na chwilę od zajęć. Jedni patrzyli na przejeżdżających z płaskich dachów swych domów, inni zza kamiennych murków;

mężczyźni byli albo całkiem nadzy, albo też w krótkich tylko przepaskach. Tak bowiem pracowano w Helladzie – i wówczas, i nawet jeszcze w czasach klasycznych. Kobiety natomiast były odziane w długie suknie.

Nikt nie zatrzymywał Tydeusa i Polinejka, nikt nie zagadnął ich o nic i nie pozdrowił przyjaźnie. Wiedzieli bowiem wszyscy, że czujne oczy z zamkowej strażnicy już od dawna śledzą każdy ruch obcych – od pierwszej chwili, kiedy gdzieś daleko na równinie podniosły się tumany kurzu za rydwanami.

Konie z trudem pięły się do góry, droga wiała się wśród bezładnej zabudowy i pustych przestrzeni, gdzie między rumowiskiem głazów z rzadka porastały kępy szarej, wyschłej trawy. Polinejk ruchem ręki wskazał Tydeusowi wielkie kopce ziemne, które tu i ówdzie wyrastały ze stoków; do każdego z nich wiodła osobna dróżka, wycięta w pagórku i starannie utrzymana. Powiedział:

– Teraz takie budują groby panom zamku. Wykopują wewnątrz pagórka okrągłe, duże pomieszczenie, a nad nim dają sklepienie z głazów niby hełm ostro zakończony. Wszystko to przysypują od góry ziemią, i stąd te kopczyki. Wchodzi się do wnętrza przez pięknie zdobioną bramę. Ale kiedy panowała tu przed wiekami inna rodzina, groby były prostsze: dół w ziemi wykopany, a nad nim tablica kamienna, rzeźbiona. Jest tu ich jeszcze kilka przed zamkiem. Zamilkli, byli bowiem już pod samymi murami. Choć obaj widzieli w swym życiu sporo zamków – Polinejkowa Kadmeja była przecież ogromnym kompleksem zabudowań! – nie mogli oprzeć się podziwowi. Z jakich olbrzymich głazów budowano te mury! Wydawało się wprost niewiarygodne, by ręce, nawet mocarzy, mogły dźwigać w górę te bloki kamienne. A przy tym wszystkie były starannie dopasowane! Piętrzyły się tak wysoko, że kilku rosnących ludzi musiałoby stanąć jeden na drugim, by dosięgnąć górnej krawędzi. Ten zamek był nie do zdobycia!

Niespodziewanie droga uczyniła ostry zakręt. Znaleźli się jakby w ślepej uliczce, szerokiej a krótkiej, pomiędzy murem i wieżą, która mocno wychodziła do przodu. Głazy murów były tu jeszcze większe i jeszcze staranniej dopasowane. Każdego, kto by wtargnął we wrogich zamiarach, zasypałby tutaj grad strzał, pocisków i kamieni ze wszystkich stron. I na pewno żaden szturmujący nie dostałby się żywy do bramy, która zamykała drogę, prosta i surowa: okute brązem podwoje otwierały się pomiędzy dwoma olbrzymimi głazami, na których położony był poziomo trzeci, jeszcze większy i cięższy; nad nim stały naprzeciw siebie wykute w kamieniu dwie lwice, łapami wsparte o podstawę kolumny, zwracając ku nadjeżdżającym swe groźne łby.

Wszystko działo się tu w milczeniu, godnym potęgi grodu. Straż nie pytała o imię, skąd i po co przybywają, bo wiadano już o nich wszystko. Ciężkie skrzydła rozwarły się powoli, ukazując ciemny tunel w grubych murach. Kilku zbrojnych wyszło ku przodowi. Mieli henny z pióropuszcami, w lewej ręce tarcze w kształcie dużego, okrągłego liścia, w prawej włócznie. Bez słowa dali przybyszom przejście. Rydwan jeden za drugim podskoczył na kamiennym progu.

Zaraz za bramą zaczynała się rampa wiodąca stromo w górę, podbudowana dużymi kamieniami; tak samo i szkarpa nad nią była dobrze umocniona. Sam bowiem pałac znajdował się znacznie powyżej poziomu Lwiej Bramy i murów obronnych. Konie ciągnęły rydwan powoli i z wysiłkiem, toteż książęta mogli spokojnie rozglądać się i przypatrywać, co kryje w sobie ten przesławny zamek. Po prawej stronie minęli najpierw jakiś duży budynek – może spi-chlerz, a może koszary dla straży – a tuż za nim ujrzeni, między murem a rampą, okrągły plac, otoczony niskim a szerokim murkiem z kamiennych płyt; wewnątrz tego placu stało w dwóch rzędach kilkanaście tablic, niektóre z nich rzeźbione, wszystkie zwrócone ku zachodowi.

– To także dawne groby królewskie – rzekł woźnica, uprzedzając pytanie Tydeusa. Książę zdziwił się:

– Jakżeż to? Wewnątrz murów?

– Dawniej mury szły wyżej, nie obejmowały tego placu. Kiedy jednak poszerzono obwód obronny i zbudowano Lwią Bramę, te groby znalazły się po stronie wewnętrznej. Bano się ich ruszać, żeby nie wywołać gniewu zmarłych, więc tylko otoczono je wokół tymi płytami; a od czasu do czasu składają tu ofiary.

Mijali jakieś budynki gospodarcze i mieszkalne; wylegli przed nie żołnierze, parobcy, kobiety. Droga skręciła stokiem wzgórza gwałtownie w lewo, potem znowu w prawo. Zatrzymali zgrzane konie na małym placu przed kamiennym budynkiem o szerokich podwojach. Zaraz podbiegli ku koniom pachołcy. Wyprzęgli je z jarzma i odprowadzili do stajni, do żłobów pełnych orkisz i jęczmienia. Rydwany podtoczyli w cień, pod sam mur dziedzińca. Tymczasem książęta weszli po szerokich, krytych schodach na górę. Zdumiewali się wspaniałością tego pałacu. Wszystko było tu przestronne, barwne, starannie wykończone. A gościnnie dorównywała bogactwu. Służebni – nie pytając o nic – zaprowadzili książąt najpierw do dużej łaźni, gdzie stały gładkie, kamienne wanny. Dziewczęta obmyły z kurzu znużonych drogą, namaściły oliwą, przyodziały w świeże koszule i wełniane płaszcze. Teraz dopiero wprowadzono ich do właściwego pałacu.

Najpierw znaleźli się w dużej sali, zdobionej ściennymi malowidłami; pod jedną z jej ścian stał tron kamienny. Potem weszli na obszerny dziedziniec; ze wszystkich stron zamykały go wysokie, dwupiętrowe mury, wykładane kolorowym kamieniem; przez szerokie okna ciekawie wyglądały kobiety dworu, pięknie malowane, lśniące błyskotkami. Sam dziedziniec był wyłożony jakąś zaprawą naśladującą różnobarwne płyty kamienne – na przemian żółte, niebieskie, czerwone. U zachodniej ściany dziedzińca otwierał się kryty portyk; wspierały go dwie kolumny. Przez portyk weszli do wąskiego przedsionka, który wprowadził ich do ogromnej, prostokątnej sali. W jej środku, na niskim podmurowaniu, płonęło ognisko. Sala była bardzo jasna, bo oświetlona i przez otwór w dachu, którym ulatywał dym, i przez okna u góry. Zdobiły ją malowidła ścienne, przedstawiające sceny bitewne. Wszędzie połyskiwały zdobienia z brązu, srebra, miedzi, kości słoniowej.

Książęta byli w sercu pałacu, w jego megaronie. Stali przed tłumem mężczyzn zbrojnych i strojnych. Przed nimi zaś, na tronie, wsparty o berło, błyszcząc pozłacaną zbroją, siedział Tyestes, wanaks Myken.

Wróżby i polityka

Polinejkes wracał z Myken bardzo zadowolony. Sam powoził rydwanem Tydeusa, jego zaś woźnicę wsadził na swój. Tak mogli rozmawiać swobodnie. Tydeus bowiem był wyraźnie przygnębiony i Polinejkes uważał za swój, obowiązek wyjaśnić mu wszystko. Kiedy byli już na równinie, daleko od ponurych murów zamku, etolski książę zaczął narzekać:

– Znaki są złe, bardzo złe, tak nam powiedziano. Jeśli to prawda, to nie sprzyjają nam bogowie. A jeśli nieprawda, to Mykeńscy. W każdym razie pomocy nie dostaniemy!

Jednakże Polinejkes przyjął te obawy śmiechem. I zaraz zaczął wyjaśniać swemu przyjacielowi z barbarzyńskiej krainy, jak tutaj załatwia się i rozumie takie sprawy:

– Mykeńscy wróżowie zobaczyli dokładnie takie znaki, jakie zobaczyć im kazano. To oczywiście, że król Tyestes i jego doradcy nie chcieli dać nam pomocy. Bali się jednakże powiedzieć nam to wprost i otwarcie. Woleli zasłonić się niepomyślnymi, rzekomo, przepowiedniami. Adrastos i ja z góry przewidywaliśmy, że tak właśnie będzie. Baliśmy się czegoś gorszego: że Tyestes wręcz zabroni nam wyruszyć przeciw Tebom. Miałby do tego pełne prawo. Rozejrzyj się tylko wokół, a sam zrozumiesz, o co tu chodzi. Popatrz: cała ta piękna, szeroka równina podlega Mykenom. I nie tylko ona, lecz także wiele krain na północ i na zachód od niej. Można śmiało powiedzieć, że prawie cały Peloponez jest włością panów tego zamku. Uznaje ich zwierzchność także nasz teść ukochany, Adrastos, pan Larisy. Także i ci, co siedzą w Tirynsie, w tym zamku wprost przed nami, blisko wybrzeża. A także książęta w

dolinie Eurotasu, i w Pylos na wybrzeżu zachodnim, i w górach Arkadii. Tak, ale rzecz w tym właśnie, że książąt jest wielu. Mykeńczycy muszą się z tym liczyć. Dbają o to tylko, aby któryś z podległych panów nie stał się zbyt możny. Wciąż podsycają ich wzajemne waśnie. To jest prawdziwą podstawą ich potęgi, nie warownie, nie złoto, nie zapisywanie na glinianych tabliczkach każdej piędzi ziemi i każdej garstki ziarna!

Wstaw się teraz w położenie Tyestesa – tylko pamiętaj, że siedzi on na mykeńskim tronie niezbyt pewnie! Jest bratem zmarłego przed laty króla Atreusa i właściwie rządzi tylko w imieniu jego małoletnich synów, Agamemnona i Menelaosa. Otóż: jak Tyestes patrzy na naszą sprawę, co o niej myśli? Nie tak trudno to odgadnąć:

Adrastos jest już zbyt mocny i bogaty. Teraz wydał swoje córki za dwóch dzielnych książąt, za Tebańczyka i Etołczyka. Jeśli rzeczywiście zdoła im przywrócić dziedziczne włości, stanie się władcą bardzo potężnym. Przeszkodzić mu teraz, nie pozwolić na wyprawę? To niebezpieczne. Może po prostu nie posłuchać i wtedy trzeba by zmuszać go do uległości siłą. Ale po co właściwie? Niechże idą na Teby, Adrastos, jego zięciowie, i kogo tam jeszcze zdoła nakłonić! Kadmeja jest warowna, dobrze broniona. Nie zdobędą jej nigdy. Wykrwawią się lub wszyscy polegą pod siedmioma bramami Teb. A jeśli jakimś cudem uda się im wprowadzić Polinejka na tron, to czeka ich jeszcze wyprawa na Etoię. Droga tam daleka, ludność dzika, góry nieprzystępne. Chyba nikt stamtąd nie wróci. A jeśli nawet, to ileż czasu pochłonie to wszystko! Adrastos przez całe lata będzie żył tylko sprawami Etołii i Beocji. Tak więc będzie najlepiej: niech sobie idą, niech wojują! Ja, Tyestes, powiem uroczyście, że wziąłbym najchętniej udział w tej wyprawie, cóż z tego, kiedy znaki wróżebne nie pozwalają!

Tak to, mój przyjacielu, myśli sobie Tyestes w skrytości serca. Nam jednak okazał wielką życzliwość, postąpił jak prawdziwy druh Adrastosa. Jak gorąco i pięknie zaklinał się, że pragnąłby ująć się za krzywdą nieszczęśliwych wygnańców i wyruszyć na Teby z wszystkimi swoimi ludźmi, gdyby tylko bogowie byli łaskawi. Wszystko to kłamstwo. Tyestes wargi ma słodkie jak miód, ale język jadowitej zmił. A my musimy grzecznie udawać, że nie domyślamy się niczego, choć on wie, że nie jesteśmy tacy głupi! W takich jednak żyjemy czasach. Nie ma już dziś na tej ziemi bohaterów, jacy byli przed wiekami, za naszych pradziadów: prawdomówni, dzielni, szczerzy. Jesteśmy zgniłym pokoleniem. Trudno, musimy tak postępować, jak nakazuje roztropność, bo inaczej sami zginiemy, a dzieci nasze będą bydło poganiać u Mykeńczyków!

Ale ty boisz się może, że Adrastosa zmartwi ta wiadomość? Że porzuci zamiar przyjscia nam z pomocą? Skądże! Stało się wszystko tak, jak przewidywał nasz teść miły, a nawet jak pragnął. On jest teraz w porządku, prosił króla Myken o zgodę i pomoc. Nikt mu nie zarzuci, że samowolnie wszczyna wojnę. Gdyby jednak Mykeńczycy rzeczywiście chcieli udzielić nam pomocy, byłby Adrastos w kłopotcie. I ja także. Bo pomyśl tylko: oni nie poszliby z nami za darmo. Żądaliby dobrej zapłaty. I na pewno po zdobyciu Teb wzięliby się do łupienia miasta. Mojego miasta! Nie mógłbym na to pozwolić za nic w świecie. Mykeńczycy są jednak bezwzględni i chciwi. Widziałeś sam, ile bogactw w tym zamku. A ile jeszcze ukryte jest w skarbcach? A ile dają zmarłym do grobów? Pewnie, co roku przybywa im sporo od ludności: każdy musi dać dokładnie tyle, ile zapisane jest na tabliczkach, nawet książęta. Ci składają niby dobrowolne dary, wiedz jednak, że wszystko to jest już z góry zapowiedziane i przeliczone, do najmniejszej drobiny złota! Ale najwięcej mają królowie z grabieży, z rozboju, z pirackich wypraw i wojennej zdobyczy. Dlatego mówi się zawsze, niemal jako przysłowie: bogate w złoto Mykeny.

Skarby grobów mykeńskich

Pewnego grudniowego dnia roku 1876 po wszystkich wioskach i miasteczkach równiny Argos gruchnęła wiadomość: w ruinach mykeńskiego zamku, zaraz za Lwią Bramą odkryto

wielki grobowiec; są w nim szczątki trzech osób, a jedna z nich zachowana jest tak dobrze, że można Jeszcze rozpoznać rysy twarzy; i jest też w tym grobowcu złoto, wiele złota!

Wnet nadciągając zaczęły na mykeńskie wzgórza tłumy ciekawych z całej okolicy. Każdy pragnął spojrzeć w oblicze człowieka, który przed tysiącami lat stąpał po tej samej ziemi, patrzył na te same góry, grzał się promieniami tego samego słońca. Nie wszyscy jednak mogli zaspokoić swoją ciekawość. Teren wykopalisk był pilnie strzeżony, zmarły zaś jeszcze spoczywał na dnie głębokiego grobu, do którego zaglądnąć pozwolono tylko wybranym. Wśród nich znaleźli się też miejscowi lekarze. Ci orzekli od razu:

– To zwłoki mężczyzny zmarłego młodo, około trzydziestego piątego roku życia; ma wszystkie 32 zęby, piękne i zdrowe.

Głowa była rzeczywiście dobrze zachowana. Nie było już wprawdzie ani śladu włosów, koniec nosa odpadł, ale żółtawa, jak u egipskich mumii, skóra wciąż powlekała ścięgna i kości, oczy zaś przykryte były powiekami. Natomiast reszta ciała zachowała się znacznie gorzej: tylko kości, i to na piersi mocno spłaszczone ciężarem ziemi. Nikt jednak z tysięcy przybyłych nie umiał poradzić, jak uchronić te zwłoki przed rozsypaniem się po wyjęciu. Tak stało się już z kośćmi dobytymi poprzednio z innych tutejszych grobów. Na wszelki więc wypadek przyprawiono artystę malarza i kazano mu wymalować olejny portret trupiej głowy: niechby to przynajmniej ostało się dla potomności! Dopiero po dwóch dniach pewien drogerzysta z Argos zastosował skuteczny, jak się wydawało, sposób: zalał zwłoki roztworem alkoholu i sandaraki, co rzeczywiście uodporniło je na czas jakiś. Teraz jednak powstała nowa trudność: leżały one, jak wszystko na tym cmentarzysku, wprost na żwirze, bo drewniane mury zgniły już od wieków; jakżeż więc wyjąć krucho szczątki z głębokiego dołu? Trzeba było wyciąć od spodu i wokół płytę kamienną, podsunąć pod nią deskę i tak dopiero dźwignąć wszystko do góry. Potem zniesiono zwłoki w wielkiej skrzyni do wsi u stóp zamkowego wzgórza, aby następnie odesłać je do Aten, gdzie miały być złożone w muzeum. Wszystkie te zabiegi okazały się zresztą daremne, bo kości nie wytrzymały transportu, wstrząsów, zetknięcia ze świeżym powietrzem: rozsypały się w proch i pył. Jednakże oblicze tego człowieka sprzed tysiącleci jest nam dobrze znane, i to nie tylko dzięki portretowi. Pozostała złota maska. Wykonano ją w mykeńskim zamku zaraz po śmierci i nałożono na twarz zmarłego. Była to twarz okrągława, lecz twarda i władcza: nos krótki, ale prosty i bardzo wąski; mocno zacisnięte usta; oczy duże, blisko siebie osadzone, mocny podbródek.

Wykopaliska w Mykenach rozpoczął Henryk Schliemann latem roku 1876. Jesienią przystąpił do prac w grobowym okręgu – tym, który widać po prawej stronie, kiedy przejdzie się Lwią Bramę. Pierwszy grób odsłonił w dniu 6 grudnia. Dziś, po 90 latach, po dokładnym przebadaniu całego terenu zarówno przez Schliemanna, jak też przez kilku innych uczonych w czasach późniejszych, rysuje się taki obraz tego cmentarzyska:

Groby są prostokątne, różnej wielkości i głębokości. Najmniejszy z nich ma 3 metry na 2, największy zaś 4,5 na 6; przyjęto nazywać je grobami szybowymi. Były one pierwotnie przykryte belkami, na których leżały płyty kamienne; to wszystko przysypywano ziemią, w której, dla oznaczenia miejsca, osadzano prostopadłe tablice, stele. Jedenaście z owych stel miało płaskorzeźby; są to ornamenty w kształcie linii spiralnych lub falistych, a nawet sceny polowania z rydwanu i walki. Wszystkie stele zwrócone były ku zachodowi.

W sześciu grobach znaleziono łącznie szczątki dziewiętnastu osób: dziewięciu mężczyzn, ośmiu kobiet, dwojga dzieci. Zwłoki te przed pogrzebaniem nie były palone. Wszyscy zmarli pochodzili z rodziny panującej, o czym świadczy bezmiar bogactw, złożonych wraz z nimi do grobu. Nigdy, ani przedtem ani też później, żaden archeolog nie odkrył w jednym miejscu tak wielkich skarbów. Na twarzach pięciu mężczyzn położone były złote maski, a na ich piersiach złote blachy. Dwie kobiety miały na czołach złote przepaski (ze złotej blachy o geometrycznym wzorze ozdobnym), jedna zaś wspinały diadem. Dzieci były spowite w prześcieradełka. Koło mężczyzn leżały miecze i sztylety z brązu, kielichy ze złota i srebra. Kobiety miały przy

sobie ozdobne skrzynki na przybory toaletowe, spinki z kosztownych materiałów oraz setki złocistych krążków, niegdyś naszytych na sukniach; ornamentem owych krążków są pszczoły, rozetki, spirale, mątwy. Znaleziono w grobach wielkie naczynia z brązu, wazy gliniane, fajansowe i alabastrowe, a także drobne przedmioty z bursztynu. Największy jednak podziw wzbudzały sztylety i miecze, których klingi barwiły się delikatnie inkrustowanymi scenami polowań, oraz duże kielichy ofiarne, rytony; jeden z nich ma kształt głowy lwa, inny byka, jeszcze inny płaskorzeźbę, przedstawiającą zdobycie miasta.

Nie było natomiast ani w tych grobach, ani też na stelach żadnych napisów. To zrozumiałe: w czasie gdy groby te kopano, pismo linearne B nie było jeszcze znane. Można bowiem dość dokładnie oznaczyć, w jakim to czasie chowano zmarłych w tym okręgu cmentarnym: był to wiek XVI, prawdopodobnie lata 1570—1520. Wynika to z całą pewnością ze stylu i rodzaju rozmaitych przedmiotów (zwłaszcza ceramicznych), które znaleziono w grobowcach; są one albo importem z Krety, albo naśladownictwem tamtejszych wyrobów, chronologia zaś stylów tej wyspy jest ściśle ustalona dzięki powiązaniom z Egiptem.

Przed kilkunastu laty odkryto w Mykenach drugi okręg grobów szybowych. Znajduje się on jakieś 200 kroków poniżej Lwiej Bramy. Średnicę ma taką samą jak i ów wewnątrz murów, grobów natomiast więcej, bo aż 20; są one jednak mniejsze i skromniej wyposażone. Przy zwłokach na tym cmentarzysku znaleziono tylko jedną złotą maskę. Widocznie władcy Myken nie byli wówczas jeszcze tacy możni; bo groby te są starsze od opisanych poprzednio zapewne o pokolenie.

Tak więc przez prawie cały wiek XVI miejscem spoczynku mykeńskich książąt były groby szybowe – najpierw niższego, później wyższego okręgu. Skarby znalezione w nich przez Schliemanna i jego następców pozwalają na wytworzenie sobie pewnego obrazu cywilizacji tego wieku:

Ludzie władający wówczas Mykenami byli nie tylko bogaci, lecz wprost lubowali się w roztaczaniu barbarzyńskiego przepychu. Kobiety obwieszały się drogocennymi ozdobami. Ich suknie były strojne i wymyślne, wzorowane na sukniach księżniczek kreteńskich, przy każdym zaś ruchu połyskiwały setkami złocistych krążków. Panie bardzo dostojne nosiły na czołach złociste diademy, ale nawet mniej możne miały naszyjniki, naramienniki, kolczyki, paciorki, rzeźbione sygnety. Mykeńskie niewiasty spinały włosy i szaty dużymi szpilkami z brązu; główki tych szpilek to kulki kryształowe lub też figurki ze złota i srebra. Mężczyźni ubierali się skromniej; w dni gorące i przy pracy nosili tylko krótkie fartuchy na łądźwiach (ubodzy, jak widzieliśmy, byli często zupełnie nadzy), kiedy zaś było chłodniej lub należało jechać dalej od domu, wdziewali jakby koszule, sięgające zwykle do połowy uda, często z krótkimi rękawami, w pasie ściągane, u dołu czasem bramowane barwnym szlakiem lub frędzlami; w zimie i w czasie uroczystych ceremonii zarzucano na tę koszulę szeroki płaszcz. Ale i mężczyźni ulegali pokusie chęłpienia się bogactwem: nosili więc i złote łańcuchy na szyi, i nawet naramienniki, jak kobiety, nie mówiąc już o pierścieniach. Jednakże największym przedmiotem męskiej dumy była broń. Przy niektórych zwłokach znajduje się często po kilkanaście sztuk mieczów i sztyletów, a także wiele grotów od strzał i ostrza włóczni. Klingi, jak już wspomniano, zdobione są nie tylko bogato, ale i z dużym smakiem, najpiękniejsze zaś są kolorowe sceny polowań: myśliwi walczą z lwami; sarny uciekają przed drapieżnikiem; dzikie koty polują wśród trzciny na kaczki. Lubowali się Mykeńczycy także w koniach i rydwanach; te ostatnie były lekkie, dwukołowe, konie natomiast niskie, krępe, włochate. Ale książęta nie zabierali ze sobą do grobów miłych ich sercu rumaków i powozów, choć takie ofiary pogrzebowe były ówczesnie praktykowane u wielu ludów, i to zarówno na Bliskim, jak i na Dalekim Wschodzie.

Mykeny i Egipt

Różne dane wskazują, że władcom Myken podlegał, przynajmniej pośrednio, prawie cały Peloponez, a może i niektóre inne krainy Hellady. Jednakże były to krainy raczej ubogie, bo górskie; uprawa ziemi mogła przynosić większe zyski tylko w pewnych żyznych okęgach – takich jak Argolida czy też dolina rzeki Eurotas. Panowie zamków i miasteczek składali Mykeńczykom daniny, ale nie mogły one być zbyt wielkie i wspaniałe. Jak więc wytłumaczyć, że w grobach znajdujemy tyle złota i wszelkich kosztowności? Skarby królewskiego grodu były tak powszechnie znane, że jeszcze w wiele wieków później, gdy najazdy obróciły jego mury w stertę gruzów, wciąż powtarzano „bogate w złoto Mykeny” jako zwrot utarty.

Oczywiście, jakąś część skarbów można było zebrać drogą wymiany handlowej z innymi ludami. Ale ziemie Hellady nie miały zbyt wiele do ofiarowania: ani kruszców, ani drogich kamieni, ani zboża nawet. A daleki transport takich produktów jak wino lub oliwa w ówczesnych warunkach w ogóle nie wchodził w rachubę. Najprościej więc byłoby przypuścić, że Mykeńczycy dochodzili do bogactw drogą rozboju i korsarstwa – jak wiele wieków później wikingowie. Wiadomo na pewno, że napadali na kwitnącą wówczas wyspę Krete, którą wreszcie całkowicie podbili. Tak, ale stało się to dopiero około roku 1450, a więc już po okresie budowy grobów szybowych, które, jak o tym była mowa poprzednio, wszystkie pochodzą z wieku XVI. Bez wątpienia nie szczędzili też Mykeńczycy wybrzeży Azji Mniejszej, czyli dzisiejszej Turcji. Poprzez Krete, która od wieków miała żywe kontakty z Egiptem, mogliby też Mykeńczycy zdobywać lub sprowadzać cenne produkty z kraju nad Nilem.

Są jednak badacze, którzy utrzymują, że Mykeńczycy sami docierali do Egiptu, i to już na początku wieku XVI. Wskazują owi uczeni na fakt, że w całym ówczesnym świecie Egipt był największym, a nawet niemal jedynym producentem złota; dobywano je w kopalniach górzyściej Pustyni Arabskiej. Właśnie w pierwszych latach wieku XVI faraonowie wiedli bardzo ciężkie walki z najeźdźcami, którzy poprzednio przez długi czas panowali nad prawie całym Egiptem. Owi najeźdźcy noszą miano Hyksosów. Był to związek różnych plemion, przeważnie semickich, które wdarły się do delty Nilu około roku 1700 i stamtąd docierały daleko w głąb doliny, na południe. Ostatecznie wyparto Hyksosów około roku 1580. Może więc – przypuszczano – Mykeńczycy udzielili faraonom pomocy, służyli w ich wojsku, i za to właśnie otrzymali bogate dary?

Jednakże to wyjaśnienie wydaje się zbyt sztuczne. Faraon miałby ściągać posiłki aż z tak daleka? I to od kogo? Przed wiekiem XVI, czyli przed tą epoką, w której pojawiają się w Mykenach groby szybowe, ludy Hellady były bardzo słabo zorganizowane. Zresztą w ówczesnych warunkach sprowadzanie do Egiptu barbarzyńców, aby przy ich pomocy wyrzucić innych barbarzyńców, byłoby wysoce ryzykowne; taki bowiem sojusznik mógłby bez skrupułów sprzymierzyć się z wrogiem lub po prostu zająć jego miejsce jako najeźdźca. Historia starożytna, i nie tylko starożytna, zna wiele podobnych wypadków.

Z drugiej jednak strony groby szybowe nasuwają nieodparte wrażenie, że stosunki Myken z Egiptem musiały być bardzo bliskie, i to właśnie z początkiem wieku XVI. Już sam fakt, że zupełnie niespodziewanie pojawia się w jednej z krain Hellady obyczaj tak wspaniałego obdarowywania zmarłych, zasługuje na uwagę najbaczniejszą. Przedtem bowiem groby były tu skromne, spotyka się w nich co najwyżej jakieś dzbany. Powstaje więc podejrzenie, że owa dbałość o zmarłych jest czymś przyniesionym z zewnątrz. Można by myśleć o Krecie, ale – jak dotąd – nie odkryto na tej wyspie grobów, które byłyby wcześniejsze od mykeńskich, a równie bogate. Zresztą i w wypadku Krety mogłoby chodzić o naśladownictwo, i to właśnie Egiptu. Tam już od prawieków starano się dać zmarłym do grobu to wszystko, co było im

potrzebne za życia. Należy tu przypomnieć, że w wieku XVI faraonowie już nie budowali sobie piramid; ich grobowce to wielkie komory i korytarze, kute głęboko w skale.

Jakież to jednak przedmioty w szybowych grobach mykeńskich można by wiązać z Egiptem? Otóż chodzi tu przede wszystkim o pewne wyroby po prostu egipskiego pochodzenia, jak kryształowy puchar w kształcie kaczki lub skrzynka z drzewa sykomory, zdobiona figurkami psów. Może sprowadzono te przedmioty za pośrednictwem Krety, ale może wprost z Egiptu. Ale są też wypadki ciekawsze! Oto klinga jednego ze sztyletów zdobiona jest sceną typowo egipską: jest to ów wspomniany już kot polujący na kaczki w trzcinach; w istocie jednak są to zarośla papirusu. Klinga zaś, jak i cały sztylet, jest ponad wszelką wątpliwość wyrobem mykeńskim; wskazuje na to sama technika produkcji. Owa technika zdobienia sztyletów i mieczów, polegająca na nakładaniu metalu na metal, stosowana była wówczas niemal wyłącznie w świecie mykeńskim; jedyny zaś pewny przykład spoza jego kręgu to miedziany topór z wyobrażeniem złotego gryfa, znaleziony w grobie egipskim; jest to grób matki faraona Amozysa, który panował z początkiem wieku XVI i wypędził Hyksosów z Egiptu!

Należy też zwrócić uwagę na owe stele rzeźbione znad grobów mykeńskich. W Helladzie w okresach wcześniejszych nigdzie takich stel nie stawiano. W Egipcie natomiast spotyka się je przy grobach dość często. Na jednej z mykeńskich stel widoczny jest wojownik na rydwanie; jest to najstarszy dowód znajomości rydwanu w krajach Hellady. W Egipcie wprowadzono rydwan niewiele wcześniej, a stało się to właśnie dzięki Hyksosom.

Tak samo czymś niezwykłym i gdzie indziej prawie nieznanym są złote maski, które odają rysy twarzy zmarłych książąt mykeńskich. I znowu najbliższym ich odpowiednikiem byłyby maski mumii egipskich, wykonywane zresztą z różnych materiałów. A jeśli już mowa o mumiach, to pamiętamy, że Schliemann odkrył w jednym z grobów ciało, którego głowa była tak dobrze zachowana, że kazał ją sportretować. Czy owe zwłoki nie były poddane jakimś zabiegom mumifikującym? Sam odkrywca stwierdza wyraźnie, że skóra miała żółtawe zabarwienie, przypominające mumie egipskie. W Mykenach oczywiście nie umiano tak umiejętnie balsamować jak w kraju nad Nilem, gdzie istniała wielowiekowa tradycja, utrzymywana w ścisłej tajemnicy i przekazywana z pokolenia w pokolenie w pewnych zamkniętych kręgach. Zresztą klimat Hellady nie sprzyjałby konserwacji zwłok nawet najwłaściwiej preparowanych.

A jakie były mykeńskie wyobrażenia o życiu pozagrobowym? O tym można wnioskować tylko na podstawie nikłych danych pośrednich, do których trzeba też zaliczyć pewne wzmianki w mitach. Przede wszystkim więc jest widoczne, że usilnie dbano o to, aby zmarły był dobrze wyposażony w świecie, do którego się udaje. To bardzo przypomina egipskie wierzenia i zwyczaje. Gdzież jednak jest ów świat zmarłych, jakie jest bytowanie duchów? Jak wiadomo, w Helladzie panował później, i to prawie powszechnie, taki pogląd: gdzieś pod ziemią rozciąga się smutna, mglista kraina, po której błądzą wiotkie cienie tych, co pożegnali blask słońca; włada tam bezlitosny bóg Hades i jego małżonka Persefona. Toteż skarży się jeden z owych cieniów: wolałbym parobkiem być na ziemi niż królem tutaj! Czy wierzenia Mykeńczyków były podobne? Nie. Wydaje się, że różniły się one bardzo od owej beznadziejnej wizji wiecznej wegetacji w półmroku.

Gdzieś na zachodzie (a stele grobów patrzyły na zachód!) jest Wyspa Szczęśliwych. Tam w pogodzie i błogości bytują duchy sprawiedliwych, ciesząc się nadal słońcem i zabawiając tym wszystkim, co sprawiało im radość za życia; jest to więc kontynuacja doczesnego życia, ale bez chorób i cierpień, bez burz i głodu: wieczna wiosna, uroda, młodość. Owa Wyspa Szczęśliwych (często mowa też o Wyspach, czasem pojawia się nazwa Ogrodu Hesperyd) występuje w pewnych helleńskich mitach jako miejsce, do którego odchodzą po śmierci bohaterowie i ci, których szczególnie umiłowali bogowie.

Jest oczywiste, że te wyobrażenia mają wiele wspólnego z egipskim obrazem świata zmarłych, który również znajdować się miał na zachodzie, a życie tam było tylko dalszym ciągiem doczesnego, szczęsne jednak i pogodne. Właśnie dlatego dawali Egipcjanie swym bliskim wszystko, co służyło im za życia; i dlatego też znajdujemy w egipskich grobach łodzie, które miały przewozić zmarłych przez fale Oceanu czy też wielkiej rzeki.

Jednakże szczęsne bytowanie zmarłych musiało być znane w jednej jeszcze krainie – na Krecie. Przypomnijmy, że królem tej wyspy był według mitów Radamantys; wygnany z Krety przybył on do Beocji, gdzie osiadł koło Haliartos, poślubił Alkmenę, rządził długo i sprawiedliwie; po śmierci został pochowany wraz z żoną, ale naprawdę oboje żyją nadal daleko na Zachodzie lub, według innej wersji, w Elizjum; tam Radamantys sprawuje sądy wspólnie z Minosem i samym Hadesem.

Danaowie

Jakżeż więc – biorąc pod uwagę wszystkie fakty podane w poprzednim rozdziale – wyjaśnić i bogactwo mykeńskich grobów szybowych, i kulturowe ich powiązania z Egiptem? W ostatnich latach pojawiła się w nauce śmiała, ale i bardzo ciekawa próba rozwiązania zagadki. Oto niektórzy badacze zwrócili uwagę na znany mit o Danaosie i jego córkach; podali też taką interpretację mitu, która mogłaby stanowić odpowiedź na postawione wyżej pytanie.

Belos, władca kraju nad Nilem i ziem sąsiednich, miał dwóch synów: Danaosa i Egipta. W spadku po ojcu Danaos otrzymał Libię. Egipt zaś kraj, który od niego właśnie wziął później swoją nazwę (po grecku imię i syna Belosa, i kraju brzmi „Ajgyptos”). Bracia jednak nie żyli w zgodzie i Danaos w żaden sposób nie chciał wydać swych pięćdziesięciu córek za pięćdziesięciu synów Egipta. Nie mogąc się obronić, postanowił uciec. Zbudował wielki okręt, wyruszył na morze. Po długiej tułaczce dotarł do wybrzeży pięknej równiny, którą z trzech stron zamykały góry; była to właśnie ta ziemia, którą później nazywano Argos lub Argolidą. Danaos zdołał zawładnąć owym pięknym krajem – układami, podstępem, siłą, różnie o tym mity powiadały. Wkrótce jednak przybyli w pościgu synowie Egipta. Nie widząc już innego sposobu ratunku Danaos zgodził się na wydanie za nich swych córek, rozkazał jednak każdej z nich, by w nocy zabiła męża. Posłuszne były ojcu wszystkie, z wyjątkiem jednej.

Dopiero wówczas, gdy pozbył się swych prześladowców, mógł Danaos poświęcić się nowo zdobytej ziemi. On to założył Larisę, czyli późniejsze miasto Argos, on też użył również, budując studnie i kanały nawadniające. Uczynił ten kraj kwitnącym i ludnym; stąd promieniowała wyższa cywilizacja na cały Peloponez. Dlatego to imię Danaosa było długo otaczane czcią. Przez wiele wieków, w każdym zaś razie w okresie mykeńskim i jeszcze nieco później, mieszkańcy Hellady sami siebie zwali Achajami lub – prawie równie często – Danaami. Tak jest również w poematach Homera, kiedy król Agamemnon, pan Myken, chce objąć wspólną nazwą wszystkie podległe sobie drużyny, walczące pod Troją; określenie bowiem „Hellenowie” pojawiło się stosunkowo późno.

Dziś mit o Danaosie i jego córkach znany jest głównie dzięki dramatowi Ajschylosa *Blagalnice*. Treść tego utworu jest prosta: Danaos i jego córki zaraz po przybyciu do Argos błagają tamtejszego władcę o przyjęcie i obronę przed synami Egipta. Powszechnie znana jest również opowieść o tym, jaka to kara spadła na Danaidy za mężobójstwo: w Hadesie napełniają one wodą beczkę bez dna. Należy jednak pamiętać, że pierwsza wzmianka o tej „beczce Danaid” pojawia się w literaturze greckiej bardzo późno, bo zapewne dopiero w wieku IV p.n.e. Poprzednio chyba łagodniej oceniano zbrodnię córek Danaosa – jako usprawiedliwioną posłuszeństwem ojcu.

Starożytni uczeni greccy uważali na ogół, jak o tym była już mowa, że mity są odzwierciedleniem pradawnych wydarzeń historycznych. Dlatego też często się zastanawiali, w jakim następstwie czasowym uszeregować owe opowieści o bohaterach. Upadek Troi przeważnie

wyznaczali na wiek XII, ściśle na rok 1184, przybycie zaś Danaosa z Egiptu do Argos zgodnie uznawali za fakt wcześniejszy o całe wieki; wynikało to zresztą z samej genealogii heroów. Natomiast w czasach nowszych raczej nie przywiązywano większej wagi do mitu o Danaosie. Przypuszczano, że symbolizuje on pewne procesy przyrodnicze. Zdawała się wskazywać na to sama liczba synów Egiptu i córek Danaosa, jak i baśniowy motyw wymordowania mężów przez żony. Obecnie znowu przeważa odmienne podejście do tego mitu. W wielu pracach przeprowadza się argumentację, którą wystarczy podać tu w formie szkicowej, usuwając dla dobra Czytelnika ciernie filologiczne i zbyt szczegółowe rozważania historyczne⁸.

Jeśli w wieku XVI niespodziewanie i właściwie bez przygotowania rozkwita w Mykenach wspaniały obrządek pogrzebowy, który wykazuje związki z Egiptem, wierzeniowe i materialne; jeśli z historii Egiptu wiadomo na pewno, że z początkiem wieku XVI wypędzono stamtąd obcych najeźdźców, Hyksosów; jeśli wreszcie prastare mity podają, że do Argos przybył z Egiptu lud Danaów, ścigany przez Egipcjan, i on był twórcą tamtejszej cywilizacji – to czemuż by nie wysnuć z tych przesłanek wniosku, że Danaowie to odłam Hyksosów, szczep, który po wyparciu z Egiptu szukał szczęścia w dalekich krainach i wreszcie dotarł na Peloponez?

Dwa jeszcze fakty zdają się popierać to rozumowanie. Po pierwsze, nazwa „Danuna” (występująca zresztą i w źródłach egipskich, choć w nieco innym związku), jest też znana jako określenie małego plemienia semickiego u południowych wybrzeży Azji Mniejszej. Możliwe więc, że tamtędy wiodła droga Danaów uciekających z Egiptu. Jakiś ich odłam pozostał u wybrzeży azjatyckich, reszta popłynęła dalej, aż do Argos. Aby docenić wagę tego faktu, należy wskazać, że w starożytności żeglarze nigdy nie oddalali się zbytnio od lądu – z Egiptu więc płynęli wzdłuż wybrzeży Palestyny, Fenicji, Azji Mniejszej. Drugi fakt jest równie godny uwagi. Mity greckie twierdzą, że jeden z przodków Danaosa w Egipcie nazywał się Epafos – a źródła egipskie podają, że pewien król Hyksosów, panujący nad tym krajem w wieku XVII, nosił imię brzmiące niemal tak samo! Nie jest to chyba zbieżność tylko przypadkowa.

Należy jednak dobrze uwydatnić, że owi Danaowie to nie Egipcjanie! Dlatego też nie przynieśli oni – i nie mogli przynieść – do Argos egipskiej kultury, lecz tylko jakieś jej odpryski i naśladownictwa. Byli owi Danaowie stosunkowo nieliczną grupą wojowników, która szybko uległa językowemu i kulturalnemu wpływowi miejscowej ludności (wówczas już helleńskiej) i wnet roztopiła się w niej prawie bez śladu. Pozostało tylko imię szczepu, pamięć o ucieczce z Egiptu, zwyczaję grobowe. I znowu nasuwa się tutaj analogia do średniowiecznych wikingów. Drogą morską docierali oni do krain nieraz bardzo odległych, wiele z nich podbili, w niektórych utworzyli nawet odrębne państwa, sami zresztą ulegając rychło ludności miejscowej: wystarczy tu przypomnieć Waregów, a także i królestwo Normanów na Sycylii.

Powie ktoś, że wszystko to jest tylko hipotezą, i to nazbyt śmiałą. Oczywiście. Ale nauka rozwija się tylko dzięki śmiałym hipotezom. Bo jeśli nawet nie utrzymają się one same, to przynajmniej zmuszają obrońców atakowanych pozycji do stałego czuwania i doskonalenia swoich umiejętności.

Skarbiec Atreusa

Groby szybowe kryły w sobie skarby zawrotne, a jednak nikt ich nie obrabował; były bowiem skromne i ukryte w ziemi. Kiedy czas obalił stele nagrobne i przysypał cmentarne okęgi gruzem, pasterze strzegący trzód na mykeńskim wzgórzu nawet nie śnili o tym, że pod ich stopami, pod rumowiskiem głazów, spoczywa złoto i srebro pradawnych panów zamku. Natomiast inne groby – te, które łatwiej było rozpoznać – w większości wypadków ogołoco-

⁸Zob. np.: F. H. Stubbings w dziele: *The Cambridge Ancient History*, vol. III, ch. XIV, Cambridge 1963, a także M. C. Astour, *Hellenosemantica*, Leiden 1965.

bezlitośnie z wszystkiego, co tylko przedstawiało jakąś wartość. W Mykenach bowiem dworzanie i w ogóle ludzie zamożniejsi grzebali swoich zmarłych w skalnych komorach różnego kształtu i wielkości; wykuwano je w zboczach pagórków. Korytarzyki tych grobów przywalano po każdym pochówku kamieniami i ziemią, tak jednak, by łatwo tam było znowu trafić i dostać się do środka. Od czasu do czasu składano zmarłym ofiary, a rodziny chowały swych bliskich w tych samych komorach skalnych przez całe wieki. Dziś jeszcze widać wyraźnie w jednym grobie, że pierwszych jego mieszkańców, leżących pierwotnie na samym środku, późniejsi przybysze spychali gdzieś do kąta; po dłuższym zaś czasie i wielokrotnym dokładaniu zwłok, kiedy w komorze robiło się już ciasno, stare kości, dzbany i gruz wyrzucano po prostu na zewnątrz, jak śmieci. Toteż rabusie i najeźdźcy, których wielu przeszło przez te okolice w wiekach następnych – poczynając od Dorów, a kończąc na Turkach – mieli zadanie ułatwione: ścieżki wiodące do grobów komorowych i głązy u wejścia do nich nietrudno było dostrzec.

A jeszcze znaczniejsze, bo wręcz monumentalne, były groby, które władcy Myken budowali dla siebie i dla swych najbliższych w wiekach XV i XIV. Są to owe sławne dziś na cały świat groby kopułowe: wielkie, okrągłe komory w stokach pagórków, wyłożone wewnątrz gładzami i przykryte jakby hełmem również z gładzów. Jest ich, w samych Mykenach, aż dziewięć. Dwa z nich, zwane później – lecz niesłusznie – „grobem Klitajmnestry” i „skarbcem Atreusa”, należą w ogóle do najwspanialszych dzieł antycznej architektury. Choć wszystkie groby kopułowe przebadano jak najsumienniejszy, do dziś dnia nikt nie zdołał dać przekonywującej odpowiedzi na wiele tajemniczych spraw z nimi związanych.

Przede wszystkim: Jaki właściwie jest rodowód takiej formy grobowca? Niektórzy badacze utrzymują, że jest to tylko rozwinięcie, do stopnia monumentalnej okazałości, typu owych komór grobowych, w których składano zwłoki ludzi zamożniejszych. Inni natomiast wskazują, że grobowce kopułowe spotykamy w różnych krainach Hellady; niektóre z nich dorównują wiekiem najstarszym mykeńskim, nie może więc być mowy o naśladownictwie. Jeszcze inni przypominają, że podobne grobowce budowano w Hiszpanii i w Anatolii. Są wreszcie i tacy, którzy pierwowzórów radzi by szukać na Krecie. Istotnie, okrągłe groby z gładzów pojawiają się tam bardzo wcześnie. Jest jednak wysoce wątpliwe, czy kiedykolwiek miały one sklepienia kopułowe. Tak więc faktów i wskazówek jest sporo, brak jednak, jak dotychczas, nici wiążącej.

Sprawa druga. W wieku XVI panowała w Mykenach rodzina, która swych zmarłych chowała w grobach szybowych. Jeśli pod sam koniec tego wieku nagle pojawia się odmienny typ grobowca i utrzymuje się przez lat ponad dwieście, aż po wiek XIII, to oczywiście nasuwa się myśl, że zmiana ta jest wynikiem objęcia władzy przez nową dynastię. Jak się już rzekło, powstało w Mykenach dziewięć grobów kopułowych, a więc budowano je mniej więcej co lat 30 – czyli dokładnie co pokolenie, dla dziewięciu następujących po sobie panów. Każdy bowiem grób przeznaczony był w zasadzie dla jednej tylko osoby, dla samego władcy, i co najwyżej dla jego żony lub dziecka. Można dokładnie wyznaczyć kolejność grobów, są one bowiem coraz wspanialsze i staranniejsze w planie i wykonaniu, aż osiągają swój klasyczny wyraz w „skarbcu Atreusa” i „grobie Klitajmnestry”. Oto jak wygląda pierwszy z nich:

Korytarz – przyjęło się zwać go greckim terminem *dromos* – przecina stok wzgórza pionowo. Ma 6 metrów szerokości, 35 długości, obie jego ściany wyłożone są dokładnie dopasowanymi, prostokątnymi gładzami. Sama fasada grobu ma 11 metrów wysokości. Pięciometrowe odrzwia lekko zwężają się ku górze. Po obu ich stronach niegdyś umieszczone były półkolumny z zielonego kamienia, a takie same, lecz mniejsze, stały nad drzwiami. Fasada więc czyniła wrażenie dwupiętrowej; cała zaś jej powierzchnia była wyłożona barwnymi płytkami kamiennymi o delikatnej płaskorzeźbie. Od strony wewnętrznej leży nad drzwiami ogromny gładz: ma on siedem metrów długości, pięć grubości, wysokości zaś 1,20; waży około stu ton. Sam grobowiec przedstawia się w środku jako koliste, bardzo obszerne po-

mieszczenie, o średnicy prawie 15 metrów, wysokości zaś, licząc do samego szczytu kopuły, ponad 13. Tworzą tę kopułę głązy leżące szeregami jeden na drugim. Widoczne są dziś jeszcze otwory, gdzie niegdyś osadzone były ozdoby z brązu, zapewne rozety. Po stronie północnej mniejsze drzwi prowadzą do komory, w której leżały zwłoki; natomiast owa wielka sala przeznaczona była dla uroczystego składania ofiar zmarłemu.

Pamiętajmy, że wieki XV, XIV, XIII to wciąż jeszcze epoka brązu! Żelazo, praktycznie rzecz biorąc było w świecie mykeńskim zupełnie nie znane. A więc wszystkie owe potężne głązy musiano wyrąbywać i obrabiać narzędziami stosunkowo prymitywnymi. Mimo to są one dopasowane z niezwykłą wprost dokładnością, wszystkie zaś rzeźby i ornamenty kamienne wykonane wręcz mistrzowsko. I jeszcze jedno: ta sama dynastia, która budowała swym zmarłym groby kopułowe, rozszerzyła też i umocniła mury obronne mykeńskiego zamku, wzniosła Lwią Bramę, uświetniła pałac. Wynika to z całą oczywistością z samej techniki konstrukcyjnej. Jeśli ówczesni panowie Myken mogli sobie pozwolić na dzieła wymagające ogromnego wysiłku i wysokiego kunsztu setek dobrych rzemieślników, to ich bogactwa musiały być prawdziwie imponujące, a władztwo bardzo szerokie.

Rzecz ciekawa: mity wyraźnie mówią, że w Mykenach panowały kolejno dwie dynastie. Pierwsza z nich wywodziła się od Perseusza, ten zaś przez matkę był potomkiem Danaosa; właśnie Perseusz miał być założycielem mykeńskiego zamku. Ostatnim przedstawicielem tej dynastii był Eurysteus, władający też zamkiem Tiryns; u niego to służył Herakles wykonując sławne swoje prace. Potem jednak, opowiadają mity, rządy nad Mykenami objęła inna rodzina, potomkowie Pelopsa. Po Atreusie panował jego brat Tyestes, po nim zaś znowu syn Atreusa – Agamemnon, mąż Klitajmnestry, ojciec Orestesa.

Nikt nie będzie wymagał od mitów zachowywania dokładnej chronologii i wiernego przekazywania historycznych faktów. Zazwyczaj jednak, wspominaliśmy już o tym, jest w każdym micie jakieś ziarno prawdy. W tym wypadku uderza, że mity mówią o dwóch dynastiach mykeńskich, o Perseidach i Atrydach, archeologia zaś wskazuje dwie następujące po sobie i zupełnie odmienne formy grobów: szybowe i kopułowe.

Kimkolwiek zresztą byli budowniczości grobów kopułowych, na pewno zabierali ze sobą na tamten świat dary jeszcze wspanialsze niż ich poprzednicy, którzy spoczęli w obu okręgach cmentarnych. Jednakże, jak się już rzekło, właśnie monumentalność grobów kopułowych zachęcała do plądrowania. A kto wie – może były tam jakieś napisy na metalowych tabliczkach, jak ta, którą Spartanie znaleźli w skromnym grobie Alkmeny koło Haliartos?

Przejeżdżając koło Midei

Z Myken wracali Tydeus i Polinejkes nie tą samą drogą, którą poprzednio jechali na zamek. Obecnie trzymali się wschodniej strony równiny. Tak doradzili woźnice: twierdzili, że drogi tu lepsze, bo osiedla tej części podlegają wprost panom Myken, którzy dbają o dobre połączenia ze swoimi włościami; zresztą te drogi są szczególnie ważne dla zamku z tego powodu, że wiodą nad morze, przez Tiryns do portu w Asine. Polinejkes poszedł za radą bardzo chętnie. Okazało się wkrótce, że właśnie przejazdka w te okolice jest mu na rękę. Był wciąż na rydwaniu Tydeusa, bo chciał swobodnie rozmawiać.

Po lewej stronie mieli teraz potężny maszyw górski – bezleśny, skalisty i trawiasty. Schodził on ku równinie piętrami pofałdowanych pagórków, pomiędzy którymi wiły się kamieniste łożyska wyschłych potoków. Na tych to wzgórzach, w miejscach z natury obronnych i zdrowszych, pobudowano wsie oraz zameczki, w których stały mykeńskie załogi. Także i cała równina należała do Myken, aż po rzeczkę Inachos, płynącą jej środkiem. Ziemia natomiast po zachodnim brzegu były własnością pana Larisy, który wprawdzie uznawał zwierzchność Myken, daniny jednak ściągał sam i oczywiście starał się jak najmniej przekazywać w górę. Jadąc szybko na południe Tydeus i Polinejkes znaleźli się już na wysokości Larisy; jej białe

domy na wzgórzu wrzynającym się głęboko w równinę widać było całkiem wyraźnie. Wypadałoby więc wnet skrócić w prawo i pocwałować płaską doliną wprost ku siedzibie Adrastosu. Ale właśnie wówczas Polinejkes wstrzymał rydwan.

Pokazał przyjacielowi wzgórze, które wyrastało na lewo od nich, o kilka strzeleń z łuku. Było bardzo skaliste, miejscami opadało w dół niemal prostopadle, a na jego szczycie wznosiły się potężne mury jakiegoś zamku. Tę miejscowość można było dojrzeć i z Larisy, stąd jednak przedstawiała się groźniej i okazalej. Syn Edypa powiedział:

– Przypatrz się dobrze. To Mideja. Dwaj bracia, Atreus i Tyestes, siedzieli tu przez dobrych lat kilkanaście. Wtedy nawet im się nie śniło, że będą kiedyś panami Myken. Słuchali wtedy króla Eurysteusa – tak samo jak teraz nasz drogi teść Adrastos udaje, że słucha władcy Myken, Tyestesa. Potem dopiero, po śmierci Eurysteusa, bracia zdołali tak roztropnie rzecz poprowadzić, że ich to powołano na tron jako następców wymarłej rodziny Perseidów – niby to jako wybranych przez boga i wróżby! Musisz jednak wiedzieć, że ta Mideja wiąże się również z dziejami mojego miasta, Teb siedmiobramnych. Właśnie tutaj urodziła się Alkmena, matka Heraklesa. Stąd wygnano ją wraz z mężem Amfitrionem – to ponura opowieść, jeśli jej nie znasz, przedstawię ci to kiedyś dokładnie – i wówczas dopiero osiedlili się oboje w Tebach. Herakles urodził się już w naszym mieście i pierwszych swoich wielkich czynów dokonał dla dobra Tebańczyków. Dopiero później powrócił do ojczyzny swych rodziców. Osiadł wówczas w Tirynsie – to ten zamek, który mamy wprost przed sobą, na małym wzgórku blisko morskiej zatoki – stał się poddanym Eurysteusa, króla Myken, i dobrze musiał się mu wysługiwać. Ja, widzisz, trochę podobnie: urodziłem się w Tebach, tutaj żyję na wygnaniu!

Mówiąc to Polinejkes chciał oczywiście, aby jego przyjaciel – wciąż pogrążony w niewesołych myślach – sam dopowiedział sobie ciąg dalszy: losy Polinejka potoczą się podobnie; odsłuży swoje Adrastosowi, ale później zdobędzie wielkość i sławę jak głośny we wszystkich krajach Herakles!

Jednakże te słowa były tylko wstępem do dłuższego wywodu. Spojrzenie z bliska na Mideję było Polinejkowi potrzebne, aby przejść do wyłożenia innej historii, bolesnej i drażliwej:

– Wiesz dobrze, co ludzie powiadają o moim rodzie: że przeklęty. Przypomnij sobie dzieje Edypa! Mój ojciec był człowiekiem naprawdę dzielnym, można by rzec, że ponad ludzką miarę. A przecież, choć niczym nie zawinił, z wyroku bogów i przeznaczenia dotknęły go straszne nieszczęścia. Edyp chciał zawsze jak najlepiej. Właśnie dlatego opuścił Korynt, poszedł do wyroczni Apollona w Delfach, zmierzył się z potworem-sfinksem. A tymczasem wciąż zwodziło go okrucieństwo niebian! Dobrze, pytają ludzie, czemuż to bogowie tak się zawzięli na Edypa? I opowiada się wszędzie, że to kara za występki jego ojca – a mego dziada – króla Lajosa, miał on uwieść młodego chłopca, Chryzypa. Był to syn Pelopsa, króla Elidy, przyrodni brat Atreusa i Tyestesa. Kiedy mój dziad go porwał – tak się opowiada – chłopiec popełnił samobójstwo; wówczas to Pelops przeklął cały ród Lajosa i wyrzekł te słowa: zabije Lajosa jego własny syn! Tymczasem wszystko to nieprawda, wszystko było zupełnie inaczej. Żoną Pelopsa była Hippodamia; z nią to miał on Atreusa i Tyestesa. Ale Pelops wołał swego syna z poprzedniego małżeństwa, Chryzypa. Hippodamia żyła w obawie, że jej dzieci niewiele otrzymają z ojcowego majątku; a tron w każdym razie należałby się Chryzypowi. Dlatego postanowiła pasierba zgładzić. Uknęła podstęp. Mój dziad Lajos przebywał wówczas na Pelopsowym dworze, bo Tebami rządzą Amfion i Zetos. Otóż Hippodamia wzięła miecz Lajosa i nocą zadała chłopcu śmiertelną ranę. Była pewna, że wszyscy od razu uznają właśnie Lajosa za mordercę! Ale tuż przed śmiercią Chryzyp zdołał jeszcze wyszeptać, kto jest prawdziwym zabójcą. Mój dziad po tym wypadku natychmiast, lecz dobrowolnie opuścił dwór Pelopsa; może to właśnie dało podstawę złym plotkom. Nie było jednak najmniejszej jego winy, nie było ze strony Pelopsa żadnego przekleństwa! Nasz ród jest czysty. Jeśli spadają nań nieszczęścia, to właśnie tak samo jak i na wszystkie inne domy. Jacyś wiekowi starcy z

tych okolic mogliby chyba potwierdzić, że słowa moje są prawdziwe. Bo właśnie tutaj, w Midei, żyła Hippodamia wygnana z Elidy przez Pelopsa. Przyjechała wraz z oboma swymi synami, z Atreusem i Tyestesem. Ci dwaj bowiem też nie byli bez winy, mieli swój udział w zamordowaniu Chryzypa. Wiedzieli dobrze, co zamierza ich matka! Podobno sami próbowali kiedyś wrzucić Chryzypa do studni. Dlatego ich to właśnie przeklął Pelops:

– Nienawidziliście brata, będziecie też nienawidzić siebie wzajem!

I tak się stało. Ale to już inna historia. Teraz spieszymy do domu.

Taka była opowieść Polinejka o Midei. Dziś ta miejscowość, choć nie tak sławna jak Mykeny, jest jednak dobrze znana uczonym, a to dzięki odkryciu jej cmentarzyska u stóp wzgórza, koło wsi Dendra. Prace prowadzono tam kilkakrotnie, poczynając od roku 1925. Zaraz na początku odkopano grób kopułowy, podobny do mykeńskich, ale nie obrabowany! W głównym, okrągłym pomieszczeniu owej budowli znaleziono pod warstwą ziemi dwa groby. Większy z nich krył zwłoki księcia i księżnej, mniejszy zaś młodej dziewczyny, zapewne ich córki. Szczególnie bogato wyposażony był książę. Na jego piersiach leżała taca ze złota, płytka, lecz szeroka; po stronie zewnętrznej zdobiła ją płaskorzeźba wyobrażająca delfiny i ośmiornice wśród fal. Na tacy rozrzucone były wspaniałe gemmy i pierścienie ze srebra, miedzi, ołowiu i żelaza (metal wówczas bardzo rzadki). Były też obok zwłok księcia srebrne pu-chary; płaskorzeźba na jednym z nich przedstawiała polowanie na jelenie, na drugim zaś galopujące byki. Dalej leżało pięć mieczów z brązu, noże, ostrza włóczni; owe miecze są znacznie lżejsze i jakby wytworniejsze od tych, które znajdowano w mykeńskich grobach szybowych. Pomiedzy szczątkami księcia i księżnej odkryto naczynie ofiarne: jajo strusie, oprawione w złoto, srebro, brąz i szkło, a także łańcuch na szyję, którego złote i szklane ogniwa mają kształt liści bluszczu.

Grobowe dary księżnej były znacznie skromniejsze niż jej męża. Zwłoki leżały na grzbiecie, ręka prawa była zgięta i umieszczona na piersi, lewa zaś wyciągnięta; ta miała na przegubie piękną gemmę z karneolu. Również i na piersiach księżnej znajdowała się duża taca srebrna, wewnątrz wyłożona złotem; po stronie zewnętrznej zdobiła tacę piękną płaskorzeźba: pięć widzianych od przodu głów byków, o potężnych, w dół zakręcanych rogach. Przy głowie księżnej umieszczono małą skrzynkę ze złota, wokół zaś rozsypane były drobne ozdoby, głównie ze złota, i ponad sto fajansowych perełek.

Zwłoki dziewczynki, złożone w osobnym grobie, miały wokół szyi złoty łańcuch z kilkudziesięciu rozetek, pod piersiami zaś przepaskę ze złotego drutu. Sukienka rozpadała się w proch i pył, ale ocalały drobne jej ozdoby: perełki ze złota, srebra, fajansu, kawałeczki kości słoniowej. Mały, złoty pierścionek z wyobrażeniem baśniowych zwierząt leżał tuż pod powierzchnią grobu; widocznie ktoś złożył go jako serdeczny dar zaraz po pogrzebie – może matka, a może piastunka lub przyjaciółka.

Mideja nigdy nie była przodującym ośrodkiem mykeńskiego świata. Jeśli jednak jej książę, na pewno podległy Mykenom, zabierał ze sobą do grobu tyle kosztowności, to jakżeż wielkie musiały być skarby towarzyszące królom samej stolicy w ich olbrzymich grobach kopułowych?

Skarby przyjaźni i grób filozofa

Po długim pobycie wśród władców, chępiących się skarbami i potęgą nawet zza grobu, pora powrócić do gromadki spiskowców przy łożu filozofa, aby dowiedzieć się, co dla nich jest najcenniejsze, co jest ich skarbem i złotem.

Rozmowa w domu Symiasza o przepowiedniach i wróżbach wciąż jeszcze trwała, kiedy Teokryt, siedzący twarzą ku wejściu, zawołał:

– Patrzcie, do bramy wchodzi kilku ludzi! Tak, to Epaminondas. Prowadzi ze sobą jakiegoś cudzoziemca.

Rzeczywiście. Za Epaminondasem i kilku jego przyjaciółmi wszedł do pokoju człowiek nikomu tu nie znany. Był odziany dostatnio, twarz miał łagodną; na zebranych od razu uczynił wrażenie kogoś bardzo sympatycznego. Na króciutką chwilę zapadło milczenie, wyrażające wzajemny szacunek i skromne uchylenie się od zabrania głosu pierwszemu. Przerwał je Symiasz, zwracając się, jak wypadało gospodarzowi, z zapytaniem:

– Jakżesz więc, drogi Epaminondasio? Jakim imieniem witać mamy naszego miłego gościa? I z jakiego kraju przybywa? – Tak to się już przyjęło, że od tego rodzaju pytań zaczynają się wszystkie spotkania z obcymi.

Epaminondas tylko czekał na te słowa, by móc przedstawić swego przyjaciela:

– Nasz gość nazywa się Teanor. Przyjechał tu z daleka, bo aż z Italii, z miasta Kroton. Jest członkiem tamtejszego bractwa filozofów i doprawdy nie przynosi ujmy wielkiej sławie Pitagorasa! Właśnie dlatego wybrał się aż do nas, aby pięknymi czynami potwierdzić wzniosłe zasady.

Jednakże Teanor nie pozwolił, by młody człowiek dłużej go wychwalał. Rzekł:

– Mój drogi, przecież to ty właśnie przeszkadzasz spełnieniu najpiękniejszego z tych czynów. Bo jeśli piękna to rzecz czynić dobrze przyjaciołom, to chyba tak samo jest pięknie dobro od przyjaciół przyjmować. Przecież każda przysługa wymaga istnienia dwóch przynajmniej stron: dawcy i odbiorcy. Dopiero dzięki tym dwom czynnikom może się urzeczywistnić jej piękno. A kto nie chce przyjmować dobrodziejstw, postępuje tak samo, jakby nie raczył schwycić piłki ku niemu rzuconej i pozwolił jej spaść na ziemię bezużytecznie. Wyświadczyć przysługę człowiekowi, który na to zasługuje – czy jest coś miłszego nad trafienie do takiego celu lub też przykrzejszego nad chybienie? Kto jednak celuje do nieruchomej tarczy i nie trafia, sam temu jest winien. Jeśli natomiast ten, komu chce się wyświadczyć przysługę, uchyła się i wymiguje, krzywdzi życzliwość: bo ta nie może spełnić tego, do czego dąży i ku czemu ją skierowano. Tobie już wyłożyłem powody, dla których przybyłem tutaj zza morza. Ale przedstawię je raz jeszcze wszystkim obecnym – z prośbą, aby zechcieli pośredniczyć w sporze między nami!

Jak zapewne wiecie, przed kilkudziesięciu laty rozgorzały w miastach Italii właśnie polityczne, a potem doszło nawet do walk ulicznych i rozlewu krwi. My, pitagorejczycy, mieliśmy tam wielu wrogów. Ludziom niższych stanów nie podobało się, że tworzymy zamknięte związki, dostępne tylko dla wybranych i wtajemniczonych. Zarzucano nam również, że popieramy rządy bogatych i dobrze urodzonych. Łatwo więc było lud podburzyć i zwać na nas winę za wszelkie niedostatki i potknięcia władz w różnych miastach. A dołączało się do tego także dużo zawiści ze strony tych, którzy by chętnie do naszych bractw wstąpili, ale ze względu na wady swego charakteru przyjęci być nie mogli. Otóż zdarzyło się pewnego razu, że w mieście Metapont, w domu niejakiego Milona, odbywało się wielkie zebranie bractwa, na które przybyli członkowie również z innych miejscowości. Wrogowie dowiedzieli się o tym. Otoczyli ów dom i podpalili go jednocześnie ze wszystkich stron. Nasi bracia ponieśli śmierć męczeńską. Spłonęli żywcem. Dwaj tylko ludzie zdołali przedrzeć się przez morze płomieni i pierścień uzbrojonych wrogów. Byli to najmłodszy i najzręczniejszy z zebranych. Jeden z nich, Filolaos, znalazł przez pewien czas opiekę i schronienie tutaj, w waszych Tebach; wie o tym najlepiej sam Symiasz, nasz czcigodny gospodarz; potem jednak wrócił on na zachód, do Italii. O drugim natomiast, o Lizysie, przez dziesiątki lat brak było jakiegokolwiek wiadomości. Prawdę mówiąc, byliśmy już przekonani, że i on zginął w czasie pożaru lub ucieczki – choć ciała nie znaleziono. Dopiero po wielu, wielu latach przyszła wieść, i to drogą przez Ateny i Sycylię: Lizys żyje, mieszka w Tebach, gdzie znalazł się już po wyjeździe Filolaosa. Jeden z naszych starców, który jako chłopiec przyjaźnił się z Lizysem, chciał od razu siadać na okręt, aby odnaleźć go w Helladzie i przywieźć do ojczyzny. Jednakże wojny i za-

mieszki przeszkodziły temu zamiarowi. Potem ów starzec zmarł, i znowu upłynęło sporo lat. Objawił się nam wreszcie duch Lizysa; w ten sposób poznaliśmy, że nie ma go już wśród żywych. Zebraliśmy jednak informacje od różnych ludzi, że w swej starości Lizys korzystał z gościny u Polimnisa, ojca tych dwóch młodych ludzi, Epaminondas i Kafizjasza. Nie szczęśliście niczego, by zapewnić mu dobry schyłek życia, choć dom wasz był ubogi. Szanowaliście starca, jakby był waszym ojcem i dziadem. Dlatego to nasi majątni bracia zebrali pewną sumę pieniędzy i wysłali mnie właśnie, abym was wynagrodził za serce, jakie okazaliście Lizysowi. Ma on tutaj piękny grobowiec. Wiemy jednak, że duchowi naszego brata miłsza od grobowca będzie wdzięczność, którą okazemy tym, co byli mu bliscy i oddani za życia.

Polimnis słuchał tej opowieści ze łzami w oczach. Epaminondas natomiast zwrócił się do swego brata, Kafizjasza, uśmiechając się jak zwykle – łagodnie i jakby pobłaźliwie:

– No więc cóż, Kafizjaszu? Tak bez słowa oddamy naszą biedę za bogactwo?

Młodzieniec odpowiedział mu żywo:

– W żadnym wypadku! To nasza miła i zacna wychowawczyni. Broń jej, ty jesteś przy głosie!

Epaminondas wyraźnie się ucieszył i rzekł do Polimnisa:

– A ja zawsze, mój ojcie, obawiałem się, że bogactwo może wedrzeć się do naszego domu od tej właśnie strony, poprzez osobę Kafizjasza. Bo mój brat mógłby domagać się pięknych ubrań, aby podobać się swym wielbicielom – jest ich przecież tak wielu! Mógłby też żądać obfitego pożywienia, żeby dobrze stawać w zapasach, kiedy ćwiczysz w gimnazjonie. Ale po cóż nam pieniądze, skoro on sam nie zamierza porzucić ubóstwa, dziedzictwa naszych przodków? To jeszcze chłopiec, ale zdobi się prostotą i poprzestaje na tym, co ma. Więc cóż – mamy może broń złocić lub pstrzyć tarcze mieszaniną złota i purpury, jak niegdyś Nikiasz Ateńczyk? A może tobie, mój ojcie, kupimy delikatny płaszcz wełniany, matce zaś chiton bramowany purpurą? Bo mam nadzieję, że nie obrócimy daru naszego gościa na zbyt kowne uczyty, żeby przyjemność sprawiać żołądkowi?

Polimnis przerwał mu niemal zagniewany:

– Dajże spokój, mój synu! Obym nigdy nie ujrzał takiej odmiany naszego życia!

– Ale przecież nie będziemy też beczynnymi siedzieli w domu i pilnowali bezużytecznego bogactwa! Takie posiadanie nie bardzo by było zaszczytne!

– Cóż więc mamy robić? – zapytał Polimnis. Epaminondas zwrócił się teraz wprost do Teanora:

– Twoją gotowość przyjmujemy, panie, z uznaniem. Jest ona piękna i godna filozofa. Przynosisz jednak, by tak rzec, lekarstwo ludziom zdrowym. To zupełnie tak jakbyś dowiedział się, że walczymy z wrogiem, i przypląnął wioząc nam broń – a tymczasem zastałbyś pokój i przyjaźń. Chyba w takim wypadku nie uważałbyś za konieczne przekazywać nam broń, która nie zdałaby się już na nic. Przybyłeś teraz, by pomóc nam walczyć z ubóstwem – a tymczasem my żyjemy w największej z nim przyjaźni i zgodzie. Nie trzeba nam przeciw niemu owej broni ze złota, bo w niczym nam nie dokucza. I powiedz tym znakomitym panom w Italii, że wprawdzie oni dobrze korzystają z bogactwa, ale mają tu przyjaciół również dobrze korzystających z ubóstwa. A co do wynagrodzenia za utrzymanie i grób Lizysa, to on zapłacił za to sam, ucząc nas wielu pożytecznych rzeczy, wśród nich i tego, byśmy nigdy na ubóstwo nie narzekali. Teanor jeszcze nie ustępował:

– Dobrze, zgódźmy się z zasadą, że kto nie umie współżyć z ubóstwem lub nim gardzi, postępuje nieszlachetnie. Ale, z drugiej strony, czy nie jest dziwactwem bać się bogactwa i uciekać od niego?

Tak rozpoczęła się dyskusja nad tym, czy godzi się przyjmować dary od przyjaciół, a także o błogosławieństwach dobrowolnego ubóstwa. Symiasz przysłuchiwał się wywodom Epaminondas z wyraźnym zadowoleniem, a wreszcie sam zabrał głos:

– Wielki, wielki to człowiek ten Epaminondas! A czyja to zasługa? Polimnisa oczywiście. Bo dbał on już od dawna o to, żeby jego synowie otrzymali najlepsze wychowanie filozoficzne, jeszcze kiedy byli dziećmi. Ten jednak cały spór powinniście jakoś załatwić między sobą. Mnie natomiast interesuje co innego: jak to będzie ze zwłokami Lizysa? Chcesz, Teanorze, zabrać je z grobu i przewieźć do Italii? A może jednak pozwolisz, żeby szczątki pozostały u nas? Kiedyś i my pójdziemy tam, gdzie on już przebywa. Będzie wówczas cieszył się miłym sąsiedztwem!

Teanor odrzekł na to z uśmiechem:

– Mnie się wydaje, że Lizys bardzo pokochał wasz kraj. Nie brakowało mu tutaj – właśnie dzięki domowi Polimnisa – niczego. Ale my, pitagorejczycy, zachowujemy przy pogrzebach naszych braci pewien święty obrządek, bardzo tajemniczy i nam tylko znany. Jesteśmy głęboko przekonani, że jeśli nie dokona się owego obrządku, dusza zmarłego nie dostąpi celu błogosławionego, który jest przeznaczony członkom naszego bractwa. Otóż kiedy sny nam objawiły, że Lizys zmarł (a musicie wiedzieć, że po pewnych znakach potrafimy rozróżnić, czy ukazuje się widmo zmarłego, czy też zjawa osoby żyjącej), wielu z nas zaczęło się zastanawiać i biadać: przecież ów brat spoczął w obcej ziemi i bez właściwego obrządku; czy nie lepiej więc zwłoki zabrać, aby dostąpiły wszystkiego, co się im należy? Właśnie dlatego tu przyjechałem. Zaraz ktoś z miejscowych zaprowadził mnie na Lizysową mogiłę. Wieczorem złożyłem tam ofiarę i wezwałem duszę: przyjdź i powiedz, co winienem uczynić! Otóż całą noc spędziłem przy grobie, śpiąc na posłaniu z gałązek, nie miałem jednak żadnego widzenia. Usłyszałem jednak – tak mi się wydaje – tajemniczy głos: nie ruszaj zwłok Lizysa, bo przyjaciele pochowali je pobożnie; jego dusza jest już po sądzie; posłano ją, by wcieliła się w inne ciało i otrzymała innego ducha opiekuńczego. Potem, o świcie, spotkałem Epaminondasa. I od razu, od pierwszego wejrzenia, poznałem, że Lizys wychował go doskonale i wtajemniczył we wszystko; i zrozumiałem też, że Epaminondas ma właśnie tego ducha opiekuńczego, który niegdyś towarzyszył Lizysowi – jeśli wolno na podstawie żeglugi sądzić coś o sterniku.

Pogrom bractwa pitagorejczyków w Italii, o którym wspominał Teanor, znany jest również z innych źródeł starożytnych. Wiadomości jednak są skąpe i nawet częściowo sprzeczne. Jedno wydaje się pewne: gdzieś koło roku 450, a więc na jakieś siedemdziesiąt lat przed bytnością Teanora w Tebach, doszło w miastach południowej Italii, w Metaponcie lub Krotonie, do bardzo gwałtownych wystąpień przeciw pitagorejczykom, którzy posiadali tam wielkie wpływy polityczne. Jaki był właściwy powód owych wystąpień, wspominał sam Teanor. A można by do tego dodać, że pitagorejczycy ściągnęli na siebie wrogość zarówno mas ludowych, jak i arystokracji nie tylko wyniosłą tajemniczością, jaką się otaczali, i nie tylko dziwacznością pewnych obrzędów, lecz także takimi zasadami współżycia, które nazbyt odbiegały od przyjętych wówczas norm gospodarczych i politycznych: oto np. głosili i stosowali pomiędzy sobą wspólnotę majątkową.

Niewielu tylko pitagorejczyków uratowało się z owych krwawych prześladowań italskich w połowie V wieku. Niektórzy z nich, jak Filolaos i Lizys, osiedlili się później w miastach Hellady właściwej, usiłując zaszczerpić tam nauki swego bractwa. Jakaś jednak garstka uchowała się w ojczystych stronach Italii. Byli to przeważnie ludzie zamożni i wpływowi, stać ich było, aby popierać swych braci w innych krajach. Głową zaś wszystkich pitagorejczyków w Italii był Archytas z Tarentu.

Słynął Archytas jako doskonały matematyk. Platon, kiedy zwiedzał Sycylię i południową Italię, zawarł z nim nie tylko bliższą znajomość, ale też związał się serdeczną przyjaźnią; w listach wspomina o nim z dużym szacunkiem, wyraźnie dając do zrozumienia, że liczy się bardzo z jego zdaniem. Znacomity matematyk był również wybitnym politykiem, połączenie nie tak częste. Pisał więc Archytas uczone traktaty o problemie podwojenia sześcianu i o wymierności muzycznej harmonii, ale potrafił też zdecydowanie i umiejętnie prowadzić woj-

skowe sprawy swego miasta; był siedmiokrotnie wybiegany strategiem i kilkakrotnie odnosił zwycięstwa w wojnach z wrogami Tarentu. Nie dość tego! Matematyk i polityk w jednej osobie był jeszcze wyznawcą mistycznej filozofii Pitagorasa, a więc także wiary w wędrówkę dusz; przecież sam Pitagoras głosił, że żył, w jednym ze swych wcieleń, w czasach wojny trojańskiej i zginął z ręki Menelaosa, męża pięknej Heleny.

Wszystkie te aspekty osobowości Archytasa ujął rzymski poeta Horacy w pięknym wierszu, którego początek brzmi:

„Mierzyłeś, Archytasie, morze i ziemię, i nawet piasek, który przeliczyć nie sposób. Teraz jednak więzi cię garstka prochu na twoim grobie przybrzeżnym. I nic ci nie pomoże, żeś badał powietrzne domy i duchem przebiegał niebo krągłe – bo umrzeć i tak musiałeś⁹.”

⁹Horacy, *Pieśni*, I 28, 1–6.

Księga czwarta

NASZYJNIK HARMONII

Odyseusz opowiada o sławnych niewiastach, które spotkał w krainie zmarłych:

Toż pełna sromoty
Przyszła i Eryfila, co za stroik złoty
Swego męża sprzedała.

(Odyseja, XI 326-327, przeł. L. Siemieński)

Uczta siedmiu książąt

Siedem wspaniałych krzesel stało za długim stołem w megaronie Adrastowego domu. Wszystkie stały po jednej stronie, od ogniska, tak by siedzący mieli przed sobą drzwi na słoneczny dziedziniec. Były to krzesła wysokie, z oparciami i z tyłu, i z boków, a nawet z podnózkami. Toteż zwano je *thronoj*; przysługiwały tylko najznamienitszym panom i bogom. Zrobione były z drzewa, ale okute spżem, złotem i srebrem. Siedzenia ich przykryto kilku warstwami białego, lnianego płótna.

Siedmiu książąt weszło z dziedzińca do megaronu. Milcząc zajęli swe miejsca. Gospodarz, Adrastos, usiadł w środku, mając po swej prawej i lewej ręce po trzech gości. Natychmiast zbliżyli się heroldowie. Nieśli pięknie rzeźbione złote dzbanki i srebrne miednice; polali swym panom ręce, aby obmyć je z kurzu i brudu. Zaraz potem służące zaczęły roznosić koszyki z białym chlebem, już pokrojonym, na stole zaś krajczowie postawili ogromne misy ze srebra i złota; leżały na nich stosy świeżo pieczonego mięsiwa, jeszcze dymiące i ociekające tłuszczem. Były to najlepsze części cieląt, jagniąt i wieprzów, które przed chwilą książęta złożyli na dziedzińcu bogom nieśmiertelnym na ofiarę. Niebianie otrzymali kości i skóry, i te spalono na ołtarzu; bogowie bowiem, jak wierzono, pożywiają się samym dymem.

Tymczasem chłopcy mieszały wino z wodą w stojących pod ścianą kraterach; były to dzbany ogromne i pękate, o bardzo szerokich otworach. Chłopcy czerpali z nich napój kielichami i roznosili swym panom. Każdy zaś książę, nim przyłożył kielich do ust, wylewał kilka kropel na ziemię, bóstwom na ofiarę. Adrastos pierwszy sięgnął po mięsiwo, ale duży jego kawał rzucił w ognisko; rozległ się głośny syk, posypały się iskry – bóg przyjął dań należną.

Teraz dopiero wszyscy wzięli się do jedzenia. Brali wielkie łoćcie wprost rękami i łapczywie ogryzali je do kości, resztki rzucając za siebie i pod stół, gdzie już się kłębiły, warcząc i skomląc, myśliwskie psy Adrastosa. Nikt nie odezwał się ni słowem, taki bowiem był obyczaj: w czasie posiłku, póki nie zaspokoi się pierwszego głodu, winno panować milczenie. Wszyscy myśleli o tym, co w ciągu dni ostatnich było niekończącym się przedmiotem rozmów; i wszyscy też, z wyjątkiem jednego z nich, byli w swych pragnieniach zgodni.

Adrastos rozważał:

– Wystarczy mi tych sześciu. Są dzielni, mają swoje drużyny. Pół świata zdobędziemy. Któż się ośmieli stanąć przeciw nam? Moglibyśmy siadać na rydwany choćby jutro; piesi pójda później. Na co jeszcze czekać? Po wiekach będą mówić o naszej wyprawie, o siedmiu przeciw Tebom! Ale musi nas być siedmiu książąt, tak jak tutaj siedzimy. Teby mają siedem bram. Tak, trzeba nas siedmiu, ani jednego mniej. A tymczasem jest tutaj ktoś, kto chciałby się odsunąć od wszystkiego...

I kiedy przychodził mu na myśl ów jeden, jeden tylko spośród obecnych – a od niego tyle zależy! – odrzucał z gniewem pół dojedzone kawałki mięsiwa, psom ku uciechu. Wzbierał w nim gniew i starał się nawet kątem oczu nie dostrzegać swego sąsiada po prawej ręce, bo najchętniej skoczyłby mu wprost do gardła, jak wilk; odżywała stara nienawiść.

Natomiast Hippomedont, który siedział na ostatnim miejscu po stronie lewej, jadł wręcz żarłocznie, wysysając nawet szpik z kości; przy jego tronie psy nie miały czym się pożywić! Hippomedont był młody, najmłodszy z zebranych, to prawda; był też potężnie zbudowany, wysoki i rosty. Ale najważniejsze było to, że Hippomedont czuł się po prostu szczęśliwy, jak nigdy dotąd w swym życiu; można by nawet powiedzieć, że teraz dopiero zaczyna żyć naprawdę. I trzeba przyznać, że miał swoje powody, by się radować i patrzeć w przyszłość z nadzieją.

Księżewko, które Hippomedont odziedziczył po ojcu, bracie Adrastosa, było niewielkie; ziemia ta stanowiła nadmorskie przedłużenie równiny Argos ku południowi, jako wąskie pa-

smo pomiędzy stromymi zboczami gór a zatoką. U podnóża gór były podziemne źródła i zamieniały równiny w bagnisko. Było też niedaleko wybrzeża tajemnicze jezioro, głębokie, ciemne, porośnięte wokół sitowiem. Zwano je Lerna; niegdyś zamieszkiwała je groźna hydra, potwór o wielu głowach, szerząc spustoszenie po całej równinie. Dno jeziora miało sięgać aż do świata zmarłych, niedaleko zaś pokazywano święte miejsce, w którym bóg Hades zstąpił do podziemi wiodąc porwaną dziewczynę – Persefonę, córkę życiodajnej Demeter. Nic więc dziwnego, że właśnie wokół jeziora odbywały się co pewien czas tajemnicze obrzędy ku czci obu bogiń. Grozy przydawało Lernie i to, że niegdyś, jak głosiły prastare podania, córki Danaosa wrzuciły do jej wód ciała pomordowanych przez siebie mężów, synów Egipta; były to jednak same tylko kadłuby, dziewczęta bowiem odcięły głowy i zaniósły ojcu, aby pokazać, że spełniły rozkaz.

Trzeba było stałej i uciążliwej pracy, by utrzymać w porządku kanały odprowadzające nadmiar wód z lernejskiej równiny. Powiadano, że przed laty sam Herakles zabrał się tutaj do roboty, kiedy siedząc w Tirynsie służył Eurysteusowi: pokonał wówczas potwora i oddał ziemię pod uprawę. Herakles zyskał sławę, ale właśnie dzięki zabiciu hydry, a nie budowie kanałów. Tymczasem drugiej hydry w jeziorze już nie było, a kanały, które by trzeba stałe oczyszczać i ulepszać, zostały. Hippomedont pragnął przede wszystkim sławy, rycerskiej sławy. Nic mu nie zależało na opinii dobrego gospodarza, który co dzień nadzoruje chłopów grzebiących ujścia dla wody w mule rozlewisk, a za największą rozrywkę poczytuje sobie polowanie na ptactwo gnieźdzące się w sitowiu. Hippomedont marzył o walkach, o wędrowkach, o dalekich krainach. Dusił się w swym zamku, położonym na górze, nad moczarową równiną. Gdybyż to mógł przewidzieć, że po trzydziestu kilku wiekach ludzie będą przyjeżdżać z najodleglejszych krajów – nawet zza wielkiego Oceanu na zachodzie, gdzie znajdują się Wyspy Szczęśliwych – będą przyjeżdżać, by zwiedzać ruiny jego zamku jako świetny zabytek mykeńskiego budownictwa! On, Hippomedont, gdy tylko dorósł i zmężniał, wyczekiwał sposobności wyrwania się z Lery – ale gdzie? I z kim? Sam nic nie znaczył, za mało miał ludzi, a musiał się też liczyć ze zdaniem panów z sąsiedztwa, i z wolą króla Myken.

Wreszcie, zupełnie niespodziewanie przyszło wezwanie od stryja, od Adrastosa! Zjawił się Hippomedont w Larisie natychmiast, gotów choćby jutro iść na Teby, po sławę, przygodę, bogactwo. Wprost wierzyć mu się nie chciało, że on, który dotąd z nikim nie zmierzył się w prawdziwej walce, ruszy na wielką wojnę, i to ramię w ramię z wielkimi bohaterami – jako najmłodszy z nich, a przecież równy.

By rzec prawdę, najgłębszym podziwem przejmował Hippomedonta sąsiad po prawej stronie, choć różnica wieku między nimi nie była zbyt duża. Był to olbrzym – i to olbrzym ponury, gniewny, nie znający strachu przed nikim. Zwał się Kapaneus. Przybył tu z dość daleka, bo z miasta Olenos u północnych wybrzeży Peloponezu. Jego zuchwałość i buta mogły się równać chyba tylko z tymiż cechami Tydeusa, który siedział pomiędzy nim i Adrastosem, a w porównaniu z gigantem Kapaneusem wydawał się jeszcze niższy i bardziej krępy.

Ostatnie miejsce po prawej stronie stołu zajmował Partenopej. Jego ziemie leżały prawie w środku półwyspu, w górzystej i dzikiej Arkadii. Imię „Partenopej” znaczyło Dziewiczy. Kto pierwszy raz widział tego młodego człowieka, gotów był sądzić, że dano mu je z powodu niezwyklej urody. Twarz miał rzeczywiście gładką i łagodną, niemal jak dziewczyna. Ale ta delikatność oblicza była zwodna. Bo właśnie Partenopej miał sławę dzielnego wojownika, jak niewielu. Brał już udział w dalekich i trudnych wyprawach. Razem z Telefosem, synem Heraklesa, pożeglował aż za morze, gdzie obaj dokonali znamienitych czynów. A co do imienia, to różnie mówiono, dlaczego je dziecku nadano. Niektórzy wywodzili, że ma ono upamiętniać długą dziewiczość jego matki, Atalanty; uwiódł ją dopiero książę Meleager w dalekiej Etolii, w czasie łowów na groźnego dzika w Kalidonie. Inni znowu utrzymywali, że Atalanta porzuciła dziecko na górze Partenion; tam chłopiec się wychowywał i tej to górze zawdzięcza swoje imię.

Partenopej był spokrewniony z Adrastosem, a także – jeśli prawdą było, że jego ojcem jest Meleager (czego jednak nikt dokładnie nie wiedział) – z Tydeusem. Toteż młody Arkadyjczyk chętnie przybył na pierwszy zew z Argos. Dostyc miał górskiej głuszy swej ojczyzny. Tęsknił do równin, do bogatych osiedli, do zgiełku walki. Ale właśnie jako doświadczony już w bojach, Partenopej zachowywał całkowity spokój. Oczekiwana wyprawa nie wprawiała go, jak Hippomedonta, w radosne podniecenie, ani też nie musiał dodawać sobie powagi maską butnej obojętności, jak Kapaneus. I nie niepokoił się, jak sam wódz i gospodarz, jak Adrastos. Był przekonany, że skoro jest ich tutaj siedmiu, to siedmiu też wyruszy.

Także Polinejkes, sąsiad Partenopeja po lewej ręce, podzielał jego spokój. Więcej: Arkadyjczyk przewidywał, że ten, od którego wszystko zależy, ustąpi; Polinejkes natomiast wiedział już z całą pewnością, że będzie musiał ustąpić! Ale nie dawał niczego poznać po sobie. Nawet nie uśmiechał się, jak zwykł był to czynić, z leciutkim szyderstwem. Rozkoszował się myślą o tym, czego za chwilę będzie świadkiem w megaronie. Dostrzegał kątem oczu, jak niecierpliwi się Adrastos, ale widział też kamienną obojętność tego, który siedział pomiędzy nimi – Amfiaraosa.

Zwykle po uczcie biesiadnicy weselili się, śpiewali i tańczyli lub słuchali, jak przy wtórce kitary aoidos opowiada dzieje dawnych bohaterów. Ale po tej uczcie zapanowała w megaronie głucha cisza. Heroldowie znowu polali dłonie książąt wodą ze srebrnych dzbanków, oni zaś siedzieli na swych tronach prawie nieruchomo. Za nimi żarzyło się wielkie ognisko, a przez szeroko otwarte drzwi kładła się na podłodze czerwona luna zachodzącego słońca.

Wówczas to ozwał się Adrastos:

– Mówisz więc, Amfiaraosie, że znaki są złe. A powiadają wszyscy, że na locie ptaków i wnętrznościach zwierząt znasz się spośród śmiertelnych najlepiej – taką łaskę dali ci bogowie, Zeus i Apollon. Mnie jednak wydaje się czasem, że widzisz w znakach właśnie to, co chcesz zobaczyć. Nie, ja nie odmawiam ci dzielności! Chętnie nawet przyznam – wiedzą zresztą o tym wszyscy – że swego czasu sam musiałem ustąpić ci z tego właśnie zamku, z Larisy. Wyniosłem się wówczas do Sykionu. Dawne to dzieje i ponura sprawa – śmierć mego ojca. Zapomnieliśmy o tym obydwaj. Wzięłeś za żonę moją rodzoną siostrę, Eryfilę. Wszystko więc, co dotyczy mego domu, jest i twoją sprawą. A Polinejkes i Tydeus są teraz członkami naszej rodziny. Jeśli im pomożemy, wzrośnie też chwała i moc naszego domu. Dawno już, Amfiaraosie, nie dosiadałeś bojowego rydwanu i nie mierzyłeś włócznią prosto w pierś wroga. Zasmakowałeś w spokoju i gospodarce, a nade wszystko w rozkoszach miłości. Raduję się, kiedy patrzę, jak kochasz swoją żonę, a moją siostrę, i swoich synów. Chciałbyś ich wychować, szkoda ci każdego dnia z dala od nich. Niedługo trzeba już będzie wprawiać ich w powożenie rydwanem (mistrzem w tym jesteś, Amfiaraosie). Zdałoby się również nauczyć ich, jak rozpoznaje się znaki boże (któż ci w tym dorówna?). Tak, trudno oderwać się od swoich – i to jeszcze po to, by iść na daleką wyprawę! A jest w każdej wojnie, przyznaję, niebezpieczeństwo śmierci lub klęski. Ale są też chwile, kiedy musi się podjąć to niebezpieczeństwo, bo czeka wielka nagroda. Jeśli nawet, jak twierdzisz od dawna, bogowie ostrzegają przed tą wyprawą – czyż nie ma sposobów przebłagania nieśmiertelnych? Ty sam powinienesz wiedzieć o tym najlepiej. Zabiłeś mego ojca, a jednak wszystko zostało ci darowane, i przeze mnie samego, i przez bogów, którzy strzegą sprawiedliwości. Doradz nam, proszę. Nie pożalujemy niczego. Złożymy wielkie ofiary z najpiękniejszych wołów, a także z owiec i kóz. Damy również pozłacane kratery, damy wiele dzbanów i trójnogów z brązu. Może wówczas inaczej spojrzy na nas Zeus, ojciec bogów i ludzi?

Nim jeszcze Amfiaraos mógł odpowiedzieć, rozległ się głęboki głos Kapaneusa:

– Dzieciom idź wróżyć, Amfiaraosie. Im opowiadaj bajeczki. Ja znam inne wróżby, lepsze od twoich: włócznią i miecz. Nikogo się nie boję i nie dbam o twoje przepowiednie. Rozpowiadasz o nich chyba tylko dlatego, że przeszły już dni twojej młodości i lękasz się stracić sławę raz nabytą. Ale moje dni dopiero nadchodzą.

I zaraz podjął jego słowa Tydeus:

– Nie znajdziesz we wszystkich krainach, gdzie mówią po naszymu i składają ofiary tym samym bogom, siedmiu mężów od tych dzielniejszych. Żaden z nas niczym dotąd nie obraził bogów nieśmiertelnych. Bo ze zmayı, którą ja przypadkiem na siebie ściągnąłem, już mnie oczyścił Adrastos. Czemuż by więc mieli nam zło zsyłać niebianie? Pragniemy walczyć o słuszną sprawę, o dziedzictwo, z którego siłą wygnano Polinejka. Mnie również krzywda spotkała!

Amfiaraos podniósł się ze swego tronu i stanął, obu rękami wspierając się o stół. Był wysoki i barczysty, ale nie tak gigantycznej postaci jak Kapaneus czy nawet Hippomedont. Włosy miał już mocno przyprószone siwizną, a twarz pooraną bruzdami, jak człowiek, co wiele widział i doświadczył. Przez długą chwilę wodził wzrokiem po książkach siedzących po obu stronach. Jego oczy dziwnie połyskiwały w krwawym odbłasku padającym od drzwi; mogłoby się zdawać, że to boska poświata otacza Amfiaraosa. Tamci siedzieli więc bez ruchu i w głębokim milczeniu, czekając, co rzeknie sławny bohater, tak jawnie zelżony. Wreszcie Amfiaraos przemówił, niezbyt głośno, jakby siłą tłumił gniew i wzburzenie:

– Choć są tu młodszy i silniejszy ode mnie, nie ma nikogo, kogo bym nie zdołał pokonać w walce z rydwanów na miecze i włócznie, a także i w zapasach. Taką bowiem dali bogowie zręczność moim członkom, tak szybki i niemylny jest cios z mojej ręki. Wiecie o tym wszyscy. Nie muszę wam też przypominać, że nigdy mnie nie zwiedzie ani lot ptaków, ani też wnętrzości zwierząt ofiarnych. Czytam owe znaki tak samo szybko i pewnie, jak nasi pisarze to, co wyryte na glinianych tabliczkach. Taki dar jasnowidzenia dali mi bogowie. I powtarzam wam raz jeszcze: znaki są złe, najgorsze, jakie kiedykolwiek widziałem. Zapowiadają nie tylko klęskę wyprawy, ale też śmierć wszystkim jej wodzom – z wyjątkiem jednego z nich. Ale ja nie wiem, kto będzie tym ocalonym. Na pewno nie ja. Mnie czeka tam śmierć.

Niechże któryś z was wystąpi i raz jeszcze powtórzy, że widzę to tylko, co chcę zobaczyć! Nie ujdą mu te słowa bezkarnie, czy to będzie brat mojej żony, czy też ów olbrzym, którego wielu się boi. Ja bowiem nie lękam się nikogo z ludzi. Grozę natomiast budzą we mnie znaki zsyłane przez bogów. Czcilem ich zawsze ofiarami, praw ustanowionych przez Zeusa nigdy nie łamałem – Adrastowego ojca zabiłem w walce, nie podstępem – toteż bogowie o mnie pamiętają i w chwilach ważnych ślą mi ostrzeżenia. Usłyszałem tu słowa, które młodemu wybaczyć: że wróżby są dobre dla dzieci. A ja odpowiem na to: jest wśród nas ktoś ze stron dalekich, kto najlepiej mógłby powiedzieć, czy znakom wróżebnym należy wierzyć, czy też nie. Bo choć ojciec jego i dziad czynili wszystko, co w ludzkiej jest mocy, aby wniwecz obrócić słowa wyroczni, spełniły się one, jak było postanowione. Nie wiem, czy wasza wyprawa jest sprawiedliwa, bom nie słyszał słów strony przeciwnej. Wiem, dlaczego Polinejkes uważa się za skrzywdzonego, nie wiem natomiast, co by powiedział na swoją obronę brat jego, Eteokles. Dlatego dobrze to zapamiętajcie i przyjmijcie do serc swoich: sam, dobrowolnie, nigdy na tę wyprawę nie wyruszę. Nie zdadzą się na nic żadne hekatomby ofiarne. Bo nie tak łatwo odmieniają bogowie wiecznie żyjący to, co raz już postanowili.

Gdy patrzę na was, wiem dobrze, co każdy myśli i dlaczego to skory jest do tej wojny! Adrastos dał słowo Polinejkowi i Tydeusowi, pragnie, dzięki swym zięciom, stać się potężny jak sam wanaks Myken. Kapaneus i Hippomedont pożądamy sławy, przygód i łupów. Partenopej, choć tak łagodne ma imię, lubuje się w krwi przelewie. Ale ja nie chcę nadmiernych bogactw i potęgi, a w życiu dość się już nawojowałem. Resztę dni swoich pragnę spędzić przy żonie i dzieciach.

Amfiaraos skończył, lecz nie usiadł od razu. Jeszcze przez chwilę stał i wyczekiwał, czy nie odezwie się głos sprzeciwu. A kiedy już spoczął na swym tronie, wysunął lwia głowę do przodu; przypominał zwierzę, które gotuje się do skoku.

W czerwonym półmroku megaronu jasne włosy Polinejka wydawały się jeszcze złocistsze. Jego głos zabrzmiał swobodnie i melodyjnie:

– To moja sprawa i moja wina, Amfiaraosie. Tak, muszę prosić o wybaczenie ciebie, Adrastos, wszystkich zebranych! Nalegałem, by zwołać wyprawę, chciałem odzyskać ojcowiznę – i któż mnie za to potępi? Skrzywdzono mnie okrutnie, to jest oczywiste. Nie trzeba nawet wypytywać, jak tego żądasz, strony przeciwnej, Eteoklesa; przecież jesteśmy bliźniakami, należy się więc nam władztwo po połowie. A tymczasem on ma wszystko, ja zaś, gdyby nie łaska Adrastos, tułałbym się po obczyźnie jak nędzarz, nie mając nawet co do ust włożyć. Bogowie jednak, którzy zawsze bronią skrzywdzonych, inaczej chcieli; dlatego to sprowadzili mnie do Argos, dlatego też jednocześnie do wrót Adrastowego domu podjechał Tydeus, dlatego wreszcie obaj porwaliśmy za miecze i włócznie – i doszłoby do krwi rozlewu, gdyby nie ojciec naszych żon obecnych, który w porę wspomniął starą przepowiednię: wydasz swe córki za dzika i za lwa. Taka była przepowiednia, znana w tym domu od lat – chyba nie zaprzeczysz temu, Amfiaraosie! Spełnił więc Adrastos wolę bogów i spełnia ją nadal, kiedy chce nam, swym zięciom, przywrócić, co się należy zgodnie z prawem bogów i ludzi. Mówisz nam jednak, Amfiaraosie, że złe są znaki i śmierć wróżą wszystkim. Gdzieżbym się ośmielił kłamać ci zadawać, skoro człek jesteś prawy i dzielny, wróż znakomity? Wstydzę się, że Kapaneus ozwał się tak nieroztropnie, ale młodzik to jeszcze, po raz pierwszy jest na obczyźnie, zbyt ufny w siłę swego ramienia. Sądzę więc, Amfiaraosie, że słuszność należy ci przyznać: widać bogowie, którzy poprzednio chcieli tej wyprawy, teraz myśl swoją zmienili. A może zmienią ją raz jeszcze? Może trzeba czekać cierpliwie, aż nie nastaną dni lepsze? A nasi wrogowie w Tebach i Etolii cieszyć się będą tymczasem, że zbrodnia nie spotka się z rychłą karą. I może wielu innych pójdzie w ich ślady... Niechże jednak tak będzie, byle stało się zadość twojej, Amfiaraosie, woli. Tak, tylko twojej: bo wszyscy tu poza tym jednej jesteśmy myśli, wszyscy już byśmy pragnęli pędzić na naszych rydwanach prosto na północ, ku równinom Beocji. Widzę, choć mrok coraz gęstszy, jak dziwią się moim słowom Adrastos i Tydeus, widzę, jak boleją Hippomedont, Kapaneus, Partenopej; na darmo tu przybyli z krain dalekich. Bez ciebie bowiem nie wyruszymy. Uszanujemy twoją sławę dobrego wróża. Rozumiemy, że miłszy ci dom bogaty i żona kochająca, Eryfila, i dwaj synowie, Alkmeon i Amfiloch. Łatwo się domyślić, że to właśnie Eryfila, płacząc i narzekając, najbardziej cię wstrzymuje od pójścia z nami na wojnę. Tak, ona jest wzorem żon oddanych swym mężom! Adrastos jest jej bratem rodzonym i na pewno nieraz ją prosił: rzeknij swe słowo za nami Amfiaraosowi, poproś go, żeby pomógł twemu bratu i jego zięciom! Ale ona, łatwo to odgadnąć, zawsze odmawiała tym prośbom o wstawiennictwo!

Amfiaraos przerwał Polinejkowi ostro i niecierpliwie:

– Nie pytałem kobiety o zdanie, jeśli chcesz wiedzieć. To zresztą niepotrzebne. Gdzież jest kobieta, która by zgodziła się wyprawić męża na wojnę, skoro synowie jeszcze nie mają swoich lat?

Głos Polinejka stał się łagodny jak miód:

– Ja myślę tak samo, mój Amfiaraosie. Wszyscy, którzy siedzimy przy tym stole, mamy żony i dzieci, synów maleńkich i ukochanych. Przypomnę ci, proszę. Nasz gospodarz, Adrastos, niedawno przeżywał wielką radość, skoro po tylu córkach bogowie dali mu wreszcie męskiego potomka, Ajgialajosa. A w tym samym prawie czasie urodzili się też wnukowie Adrastos, nasi synowie: ja jestem ojcem Tersandra, a Tydeus Diomedesa. Olbrzym Kapaneus zostawił w swojej dalekiej ojczyźnie Stenelosa, w górach Arkadii chowa się maleńki Promachos Partenopeja, a w zamku nad jeziorem Lerna syn Hippomedonta Polidor. Tak, wszyscy jesteśmy ojcami i wiemy, co to miłość do swego potomstwa. Wszyscy też z żalem wyrrywamy się z objęć naszych żon, młodych i pięknych. Płaczą niewiasty i narzekają, spodziewają się zawsze najgorszego. A cóż dopiero Eryfila! Wasza miłość jest wielka i dużo dobrego sprawiła. Przecież to nie tak dawne dzieje: swego czasu wiedliście spór z Adrastosem o Argos. On musiał uciekać daleko, aż do Sykionu. Pogodziliście się jednak; kiedyś wziął za żonę Eryfilę, jego siostrę. Oboje rodzeństwo zapomnieli ci i wybaczyli, żeś zabójcą ich ojca.

Taka to niewiasta: sprowadza pokój w rodzinie, mądra jest i przezorna, chce dobra dla wszystkich – dla ciebie, swego męża, i dla Adrastos, swego brata. Toteż wy obaj chylicie przed nią czoła. Powiadają nawet, choć nie wiem, czy to prawda, że kiedy godziliście się ze sobą, obaj złożyliście uroczystą przysięgę: jeśli powstanie kiedyś spór między nami, oddamy go do rozstrzygnięcia Eryfili, z góry już poddając się jej wyrokowi?

Amfiaraos, który siedział lekko pochylony, wyprostował się nagle i rzucił bystre spojrzenie na Polinejka. Nie powiedział jednak ni słowa. Natomiast Adrastos wtrącił się od razu:

– Tak, dobrze mówią. Przysięgaliśmy obydwoj. I co w tym złego? Eryfila to niewiasta, ale roztropna i dobrze życząca nam obu. Gdzież by szukać lepszego rozjemcy?

Polinejkes ciągnął dalej:

– Jeśli więc jest tak, jak mówicie, to po cóż dalej rozprawiać na próżno? Amfiaraos powiedział jasno, dlaczego nie chce iść z nami na wyprawę. Ja smucę się tym, lecz muszę ustąpić. Chodzi mi jeszcze tylko o ciebie i o Adrastos. Po cóż macie żywić urazę do siebie? Niech się stanie według waszej ugody i przysięgi! Poprośmy tu Eryfilę: niech powie, jak tę sprawę rozsądza. Oczywiście, to wiadomo z góry, zabroni mężowi iść na wojnę. Ale Adrastos nie będzie mógł żywić żalu, skoro rzecz załatwi się zgodnie z waszą przysięgą. I tak właśnie, choć do wyprawy nie dojdzie, w naszej rodzinie nadal panować będzie pokój. Eryfila przyjechała tutaj wraz z tobą, Amfiaraosie. Cóż więc prostszego jak poprosić ją, by zeszła do nas ze swego pokoju na górze? Objawi swoje zdanie wprost i przed wszystkimi; my schylimy czoła, przeprosimy gości, których przywołaliśmy z daleka, weźmiemy się do pracy na roli!

Amfiaraos milczał i wpatrywał się w Polinejka z dziwnym natężeniem. Adrastos również nie odzywał się przez długą chwilę. Był wyraźnie zaniepokojony i zaskoczony, kręcił głową na wszystkie strony, jakby nie wiedział, co czynić. Ale skoro nikt już nie zabierał głosu, podniósł się z tronu:

– Skoro tak chcesz, Polinejku... Ale pamiętaj, że słowa Eryfili zwiążą nam ręce. I stracisz swoją ojcowiznę na zawsze!

Ale Polinejkes powtórzył:

– Niech Eryfila spór rozstrzygnie!

Amfiaraos skinął i jeden z heroldów wyszedł po stromych schodach na górę. Właściwie było to zbyteczne, bo przecież – wszyscy się tego domyślali – ciekawe kobiety od początku podsłuchiwały rozmowę stojąc na ganeczku wiodącym do niewieścich komnat. Toteż nikt się nie zdziwił, że Eryfila zjawiła się od razu. Schodziła ze schodów nie sama, za nią szły dwie służące. Nie zstąpiła jednak na sam dół, lecz zatrzymała się na ostatnich stopniach, przez co wydawała się nieco wyższa i dostojniejsza. Tak stała, skromnie czekając, po co to wzywają ją mężczyźni. Pierwszy przemówił Adrastos:

– Siostrze moja, nie będę raz jeszcze powtarzał, co sama wiesz najlepiej. Pragnę pomóc moim zięciom, najpierw Polinejkowi, w odzyskaniu tego, co utracili nie z własnej winy. Słuszna to sprawa, jak mnie się wydaje. Właśnie dlatego zebraliśmy się tutaj wszyscy, aby przygotować wyprawę na Teby. Lecz oto mąż twój, który zna się na wieszczach jak nikt ze śmiertelnych, ostrzega nas i odwołuje od tego zamiaru. Mówi że bogowie zesłają na nas nieszczęścia i zgubę. Dziwimy się temu wszyscy, bo przecież chcemy walczyć w obronie skrzywdzonych, a córki moje poślubili Polinejkes i Tydeus za wolą bogów. Tak więc już od dawna spór toczy się między nami. Lecz oto przypomniał nam Polinejkes, że przed laty złożyliśmy przysięgę, ja i Amfiaraos: kiedy tylko będziemy się wadzić, ty, Eryfilo, spór rozstrzygniesz, bo dobrze życzysz nam obu – swemu mężowi i bratu. Dlatego to zwracamy się teraz do ciebie: kto powinien ustąpić – ja czy też Amfiaraos. Czy mamy wyprawy zaniechać, czy też ruszyć na Teby? Jeśli nie chcesz odpowiedzieć od razu, poczekamy do jutra.

Eryfila milczała przez chwilę. A potem powiedziała głosem bardzo cichym, nisko schylając głowę:

— Nie. Lepiej powiedzieć od razu, co mi bogowie do serca kładą. Bo choć nie pytaliście mnie o radę, myślałam o tym od wielu już dni. Życzę dobrze tobie, mój bracie, i tobie, ojcu mego syna. Ale kiedy wszystko dobrze rozważam, tak wydaje mi się najśluszej: złe znaki można odwrócić i bogów przebłagać, a chwila sposobna raz stracona nie wróci już nigdy. Jeśli teraz odprawicie gości, którzy gotowi są pomóc sprawie swoją odwagą i ludźmi, powtórnie wezwani nigdy już nie przybędą. I nigdy już twoi zięciowie, Adrastosie, nie odzyskają dziedzictwa. Dlatego ja, choć niewiasta, tak spór rozstrzygam, według tego, co w sercu swoim uznaję za najlepsze: powinniście ruszyć na Teby, wszyscy siedmiu, jak ucztujecie w tym megaronie!

Pożegnanie Amfiaraosa z rodziną

W skarbcu świątyni Hery w Olimpii znajdowała się skrzynia z drzewa cedrowego, pokryta płaskorzeźbami ze złota i kości słoniowej oraz napisami, które objaśniały poszczególne sceny i postaci. Była bardzo stara i stała w świątyni od wieków; kiedy w II wieku n.e. oglądał ją miłośnik zabytków przeszłości Pauzaniasz, liczyła już około ośmiuset lat! Wiązała się z nią opowieść, bardzo znana w całej Helladzie. W VII wieku p.n.e. dwa rody prowadziły ze sobą krwawe walki w Koryncie, wzajem napadając na swe domy i wymordowując wszystkich mężczyzn; w czasie jednego z owych niespodziewanych napadów matka w tej właśnie skrzyni ukryła swego maleńkiego synka; otrzymał on imię Kypselos, skrzynia bowiem zwie się po grecku „kypsele”; gdy dorósł, przepędził nieprzyjaciół swej rodziny i stał się panem Koryntu, jego zaś potomkowie ofiarowali skrzynię olimpijskiej świątyni, by podziękować bogom za cudowne ocalenie wielkiego przodka. Opowieść – którą zresztą przedstawiano w formie barwnej i dramatycznej – była zmyślna, skrzynia jednak pochodziła rzeczywiście z wieku VII p.n.e.; styl ozdób oraz kształt liter i sposób układu napisów dowodziły tego z całą oczywistością.

Płaskorzeźby obrazowały niektóre głośne wypadki z czasów mitycznych; były jakby wyborem ilustracji do najślawniejszych w VII wieku poematów o epoce bohaterów. Pauzaniasz opisał je dokładnie¹⁰, można więc odtworzyć treść owych – nie znanych nam dzisiaj – pieśni, które inspirowały artystów zdobiących skrzynię Kypselidów. Jedna z nich opowiadała o wyjeździe Amfiaraosa z domu i pożegnaniu z rodziną:

Na dziedzińcu stoi już rydwan. Konie prycają i niecierpliwie przebierają nogami, woźnica Baton powstrzymuje je siłą; w jednej ręce ma lejce, które ciągnie do tyłu, w drugiej włócznię; patrzy ku swemu panu. Ten, w pełnej zbroi, już stawia jedną nogę na rydwanie, ale jeszcze teraz, jeszcze w ostatniej chwili, walczy ze sobą. Na jego twarzy nie czułość się maluje, zwykły towarzysz rodzinnych pożegnań, lecz gniew i żal. Z nie ukrywaną nienawiścią patrzy Amfiaraos wprost ku Eryfili, która stoi w drzwiach domu; jest smutna, opuściła głowę, może i żałuje owych słów, które wyrzekła wówczas, w czasie uczyty w domu swego brata Adrastosa. Ale teraz jest już za późno! Żona boi się podejść do męża, który z całej siły obejmuje głowicę obnażonego miecza, jakby go chciał zatopić w piersi wiarołomnej kobiety, ale nie czyni tego tylko przez wzgląd na dzieci. Stoją bowiem obok Eryfili córki i starszy syn, Alkmeon; najmłodsze z dzieci, Amfiloch, siedzi na barkach niańki, nie rozumiejąc nic z tego, co dzieje się wokół; jeśli czegoś się lęka, to tylko groźnej kity na hełmie ojca i błyszczącej tarczy. Ojciec jednak polecił surowo, aby powtórzono Amfilochowi, gdy dojdzie swych lat, przykazanie, jak postępować ma w życiu. Przykazanie to gorzkie i cyniczne:

– W jakimkolwiek będziesz żył mieście, wzoruj się na morskim stworze, polipie; ustępuj przed nakazami chwili i zmieniaj barwę swych myśli!

¹⁰Pauzaniasz, *Opis Grecji*, V 17, 7.

Natomiast Alkmeon, chłopiec kilkunastoletni, wie już dobrze, jakie nieszczęście spadło na dom i rodziców. Stoi bez ruchu, jak skamieniały, szeroko otwarte oczy utkwił w ojcu. Nie przeraża go, jak maleńkiego braciszka, groźny rysz tunek, nie lęka się widma wojny, i nawet nie to go smuci, że ojciec może nie wrócić. Wciąż jednak brzmią mu w uszach słowa, które rzekł ojciec, gdy zostali sam na sam:

– Twoja matka wiedziała, że wyprawia mnie na śmierć. Sprzedała jednak moje życie za piękną błyskotkę, za naszyjnik, który dostała od Polinejka. Nie zobaczę cię już nigdy, bo pod murami Teb o siedmiu bramach śmierć mi przeznaczona. Pamiętaj więc, co ci nakazuję w tej chwili: kiedy dorośniesz, pomścisz tę zdradę. Twoja matka musi swoim życiem zapłacić za moje. Taka będzie cena naszyjnika Harmonii, daru Polinejka!

Owoc miłości Aresa i Afrodyty

Harmonia była córką Afrodyty i Aresa. Ale była owocem miłości cudzołożnej, bo przecież ślubnie należała Afrodyta nie do Aresa, lecz do Hefajsta, boga kowali!

Wszystkowiedzący Helios, bóg słońca, dostrzegł pewnego razu Afrodytę i Aresa splecionych w gorącej miłości – i wnet powiadomił o tym męża. Ten ukrył ból i gniew, zstąpił do swej podziemnej kuźni i wziął się do pracy. Wykuł więzy nie do rozerwania, a tak delikatne, że żadne oko dostrzec by ich nie mogło. Potem zawiesił tę sieć wokół swego łoża i u wysokiego stropu. Kiedy tego dokonał, zapowiedział wszystkim, że idzie na wyspę Lemnos, którą najbardziej ukochał spośród różnych krain na ziemi. Ares, bóg wojny, tylko na to czekał; w lot zjawił się w domu Hefajsta, gdzie zastał jego żonę samą. Ujął jej dłoń i powiedział:

– Miła, teraz możemy użyć rozkoszy do woli. Hefajst już poszedł na wyspę Lemnos. Chodźmy do łożnicy!

I zaraz słodkie pragnienie ogarnęło boginię. Weszli do łożnicy – lecz zaledwie zbliżyli się ku sobie, schwytały ich mocnym uściskiem więzy i sieci mistrza Hefajsta. Nie mogli się poruszyć, nie mogli powstać, musieli leżeć w swych objęciach. A tymczasem wszedł do łożnicy sam Hefajst; bo o tym, co się dzieje w domu, powiadomił go Helios, wrócił więc od razu z drogi do Lemnos. Stał u drzwi i rozwścieczony krzyknął:

– Przyjdźcie tu, przyjdźcie, wszyscy bogowie! Przyjdź i ty, ojczyźnie Zeusie! Zobacz, jak twoja córka. Afrodyta, podaje mnie na pośmiewisko, jak hańbi moje łożo. I dlaczego? Tylko dlatego, że jestem kulawy, a Ares jest piękny i nogi ma zdrowe. Ale moje kalectwo to wina rodziców, którzy wciąż się kłócą ze sobą. Stałem po stronie matki, a ojciec zrzucił mnie z nieba! Tak, ci tutaj chętnie by już wstali z łoża. Ale ja ich nie puszczać. Ojciec musi mi najpierw zwrócić wszystko, co mu dałem za tę dziwkę, całe wiano!

Usłyszeli jego głos bogowie i zaraz zeszli się wszyscy; tylko boginie, skromne i wstydliwe, wołały zostać w domu. A kiedy stanęły w drzwiach i ujrzały tamtych dwoje splecionych w uścisku, wybuchnęły gromkim, nie kończącym się śmiechem. I tak mówili do siebie:

– Kulawy jest Hefajst, a jednak doścignął Aresa, który biegnie z nas najszybciej. Zapłaci dobrze cudzołożca za występki!

Apollon zapytał Hermesa:

– Powiedz mi: nie chciałbyś tak leżeć przy Afrodycie, choćby i w więzach?

A Hermes odrzekł bez wahania:

– Oby, oby! Mogłyby te więzy być trzykrotnie silniejsze, mogłoby ich być bez miary, mogliby wszyscy bogowie i boginie na to patrzeć – ja bym i tak chciał leżeć przy cudownej Afrodycie!

Wszyscy się śmiali, tylko Posejdon milczał. Zaraz zaczął też łagodzić Hefajsta:

– Proszę cię, puść Aresa! Ja sam ci ręczę, wobec wszystkich tu obecnych, że tamten zapłaci, ile zechcesz!

Ale Hefajst nieskory był ustępować:

– Dobrze, ja uwolnię Aresa, on długu mi nie zapłaci – i cóż ja wtedy uczynię? Przecież ciebie, ręczyciela, władcy ziemi, nie zwiążę!

Ale Posejdon poszedł dalej:

– Więc ja sam ci zapłacę, jeśli Ares będzie się uchylać!

Wówczas dopiero Hefajst zdjął więzy. Kochankowie natychmiast rozeszli się w różne strony: Ares do dzikiej Tracji, Afrodyta zaś na wyspę Cypr, gdzie koło miasta Patos ma swój święty okrąg i ołtarz. Tam boginie wdzięku, Charyty, troskliwie zajęły się cudną Afrodytą: wykapały ją, namaściły oliwą, odziały w śliczne suknie.

Z tego to cudzołożnego związku przysła na świat dziewczynka, której dano imię Harmonia. Choć Hefajst otrzymał od Aresa okup, i choć pozornie puścił całą sprawę w niepamięć, wciąż krył w sercu gniew i chęć pomsty. A dzielnie podtrzymywała go w tym zamiarze bogini Atena, która nigdy nie lubiła Afrodyty. Na sposobność zemsty oboje czekali długo, póki nie dorosła Harmonia, widomy dowód cudzołożnej miłości.

Wreszcie rozeszła się wieść: Zeus, , ojciec bogów i ludzi wydaje Harmonię za mąż; jej małżonkiem będzie Kadmos, założyciel Teb w Beocji!

Choć wybór ten wydawać by się mógł dziwny, Kadmos bowiem był tylko człowiekiem śmiertelnym, bogowie rozumieli jego przyczynę. Przede wszystkim, Zeus poczuwał się do winy wobec Kadmosa. Przed laty porwał z Fenicji jego siostrę, Europę, i przeniósł ją aż na wyspę Kretę. Ojciec Europy, król Agenor, wysłał zaraz na poszukiwanie dziewczyny Kadmosa i zabronił mu wracać do ojczyzny bez siostry. Oczywiście, Kadmos ani nie mógł odnaleźć Europy, ani też, gdyby nawet na jej ślad natrafił, nie zdołałby odebrać jej Zeusowi. Tułał się więc po wielu krajach, póki nie założył, idąc za głosem wyroczni, osady na wzgórzach w Beocji; otrzymała ona nazwę od niego właśnie, Kadmeja, a stała się załążkiem Teb.

Ale był i drugi powód, dla którego Zeus pragnął, by Kadmos poślubił właśnie Harmonię. Zakładając przyszłe miasto Kadmos zabił smoka, który zamieszkiwał pieczarę u stóp wzgórza i strzegł źródła; później miało ono nosić nazwę Dirki. Za radą bogini Ateny, swej opiekunki, Kadmos posiał smocze zęby po ziemi – i oto wyrosli z nich ludzie. Jako zatruci jadem smoka zaczęli natychmiast walczyć ze sobą; z życiem wyszło z tej bratobójczej bitwy tylko pięciu; stali się oni założycielami późniejszych wielkich rodów tebańskich i zwali się „Spartoi”, czyli Zasiani, bo pochodzili ze smoczego siewu. Jednakże trudy i cierpienia Kadmosa nie zakończyły się nawet po rzuceniu podwalin osiedla na wzgórzu. Smok, którego zabił, należał do boga Aresa. Teraz on, pan wojny, zaczął prześladować Fenicjanina. Aby gniew ten ułagodzić, Kadmos musiał służyć Aresowi przez pełnych lat osiem. Właśnie po upływie owych ośmiu lat Zeus postanowił, że Kadmos poślubi Harmonię – aby raz na zawsze usunąć zarzewie nienawiści pomiędzy bogiem i człowiekiem: będą odtąd spowinowaceni!

Wesele odbywało się na tebańskim zamku, na Kadmei. Przybyli wszyscy bogowie i wszystkie boginie. W czasie uczty śpiewały Muzy. Wręczano młodym piękne, drogie podarunki. Największy podziw wzbudziła suknia tkana przez Charyty, dar Afrodyty, oraz wspaniały naszyjnik, własnoręcznie wykuty przez Hefajsta i przez niego ofiarowany Harmonii. Ale naszyjnik ten – prócz Hefajsta wiedziała o tym tylko Atena! – krył w sobie złe moce. Miał ściągać na każdego, kto go posiadał, klęski i nieszczęścia. Taka była zemsta boga kowali za zdradę żony.

Potomstwo Kadmosa i Harmonii

Kadmos i Harmonia mieli kilka córek i jednego syna. Losy ich potomstwa toczyły się różnie, zawsze jednak nieszczęśliwie. Jedną z córek, Semele, upodobał sobie sam Zeus. Jego żona, Hera, przywykła już do miłostek i zrad mężowych; tym jednak razem szczególnie boleśnie dotknęło ją to, że Semele miała zostać matką – matką Zeusowego dziecka! Zstała

więc Hera z Olimpu do tebańskiego pałacu, okryta ciemną chmurą. Kiedy rozwiła się mgła, stała na Kadmei staruszka, wierna piastunka Semeli. Weszła do pokoju dziewczyny i – jak zwykle – wdała się z nią w długą, serdeczną rozmowę. Padło w niej wreszcie imię Zeusa. Staruszka westchnęła smętnie:

– Chciałabym, moja droga, żeby ojcem twego dziecka był naprawdę Zeus. Jeśli jest nim rzeczywiście, to niechże to udowodni! Proś, aby okazał ci się w całym swoim majestacie, tak właśnie jak wchodzi do łóżnicy Hery!

Przy najbliższym spotkaniu dziewczyna prosiła swego ukochanego:

– Przyrzeknij, że zrobisz wszystko, o co cię poproszę! Bóg rzekł uroczyście:

– Nie odmówię ci niczego. Przysięgam na wody Styksu. One są postrachem nawet dla bogów!

Przeraził się jednak Zeus, kiedy poznał życzenie Semeli:

– Zbliź się do mnie w takiej samej postaci, w jakiej ogląda cię twoja małżonka!

Na nic zdały się prośby, by cofnęła te słowa. Bóg musiał być wierny przysiędze. Chmury otoczyły Kadmeję, rozległ się grochy łoskot piorunów, morze płomieni podniosło się nad królewskim pałacem. Do najpóźniejszych czasów, przez całą starożytność, pokazywano na tebańskim zamku miejsce, gdzie niegdyś znajdowały się pokoje Semeli; nikt jednak nie miał tam wstępu. Ziemia bowiem, której dotknął piorun, uchodziła za świętą. W ostatniej jednak chwili – tak głosił mit – Zeus uratował z łona Semeli swoje dziecko; ponieważ płód nie był jeszcze dojrzały, nosił go czas jakiś w swoim udzie; tak urodził się Bóg Dionizos.

Taki był los Semeli – według tego mitu, który opowiadano w starożytności najczęściej. Były bowiem inne też opowieści, mniej jednak rozpowszechnione. Jedna z nich mówiła, że zabita piorunem ukochanego Semele zejść musiała do świata podziemi, skąd wyprowadził ją dopiero po wielu latach boski syn, Dionizos.

Na tym nie kończyła się legenda domu Kadmosa i jego nieszczęść. Zawistne siostry Semeli rozpowiadały wokół:

– Jej kochankiem wcale nie był Zeus, lecz zwykły śmiertelnik. To ona sama, wiedzona pychą, chępiła się, że ojcem dziecka jest pan bogów i ludzi. Właśnie dlatego spotkała ją kara tak straszna. Oburzony bluźnierstwem Zeus cisnął w Kadmeję piorunem.

Najgorliwiej rozsiewała złe słowa siostra Semeli, Agawa. Miała ona syna imieniem Penteus. On to objął rządy nad Tebami po odejściu Kadmosa. W tych właśnie czasach szerzył się po całej Helladzie kult nowego boga, Dionizosa. Król Teb zwalczał owego boga z niesłychaną bezwzględnością, choć przecież był jego bliskim krewnym. Prześladował Penteus czcicieli Dionizosa, a zwłaszcza kobiety, które nocami zbierały się w lesistych ostępach Kitajronu; tańczyły tam i śpiewały przy dźwięku tympanonów i fletów. Pewnej nocy władca wybrał się w góry sam, aby wysledzić i ukarać wyznawczynię nowego boga. Wówczas to Dionizos opętał złym czarem kobiety, wśród których była także i matka Penteus, Agawa. Oszałamiał ba-chantkom zdało się, że Penteus to jakieś zwierzę leśne; rzuciły się na niego z furją i rozszarpały ciało bluźniercy na kawałki.

Trzecią córką Kadmosa i Harmonii była Ino. Wyszła ona za mąż za Atamasa; był to król Cheronei, miasta leżącego niedaleko od Teb. Atamas porzucił dla Ino swoją pierwszą żonę, Nefełę, z którą miał już dwoje dzieci: Fryksosa i Hellę. Zawistna Ino dążyła do zguby obojga. W ostatniej jednak chwili Nefełę zdołała uratować swoje dzieci. Zesłała im barana o złotym runie, który uniósł Fryksosa i Hellę ponad lądy i morza, daleko na wschód. Więcej serca okazywała Ino swemu siostrzeńcowi, Dionizosowi; po śmierci Semeli wychowywała go czule wraz z własnymi dziećmi. To jednak ściągnęło na nią nienawiść mściwej Hery. Bogini opętała szaleńczo Ino i Atamasa: ona rzuciła swego starszego syna, Melikerta, do kotła z wrzącą wodą, on zaś przebił młodszego oszczepem, przekonany, że poluje na jelonka. Kiedy Ino powróciła do zmysłów, skoczyła do morza, tuląc do piersi zwłoki Melikerta. Ulitowały się nad obojgiem bóstwa morskiej toni. Ino stała się jedną z bogiń igrających wśród fal i weszła do

grona nereid; odtąd odbierała cześć jako Leukotea, Biała Bogini. Również Melikert dostąpił ubóstwienia jako jeden z patronów żeglarzy, którzy wzywali go imieniem Palemon. Oboje bowiem, matka i syn, okazywali pomoc wszystkim, którym groziło zatonięcie w czasie burzy.

Także i ostatnia z córek Kadmosa, Autonoe, miała przeżyć wielką tragedię. Jej syna, Akteona, który był zapalonym myśliwym, rozszarpały w lasach Kitajronu własne jego psy; zamieniła go bowiem w jelenia bogini Artemida, rozgniewana o to, że Akteon przypadkowo ujrzał ją kąpiącą się w leśnym jeziorze. Według innych jednak powodem gniewu bogini było to, że Akteon chełpił się: jestem lepszym myśliwym od samej Artemidy!

Największe jednak nieszczęścia czekały potomków jedyne go syna Kadmosa i Harmonii, Polidora; bo on to był dziadkiem Lajosa, pradiadem Edypa, prapradziadem Polinejka.

Teby i kraje Wschodu

Jakiż jest rodowód tych mitów o Kadmosie i jego potomkach? Skoro on sam pochodzić miał z Fenicji, nasuwa się przypuszczenie, że może istotnie Teby założyli przybysze fenicyjczycy, którzy przynieśli ze sobą pewne rodzime wierzenia i kultury. Taką właśnie tezę wysunięto w nauce przed stu przeszło laty: Teby powstały jako fenicka osada handlowa, wędrowni zaś Kadmosa po Morzu Egejskim oraz miejscowości, rzekomo odeń się wywodzące (a jest ich kilka), to po prostu pamięć o dawnych faktoriach i żeglarzach tego kupieckiego ludu. Później jednak nastąpił w nauce zwrot. Powszechnie odstąpiono od wywodzenia Kadmosa z Fenicji, i nie bez poważnych racji. Uważano, że da się wszystko wyjaśnić na podstawie miejscowych, mykeńskich danych i wątków; po cóż więc szukać obcych wpływów? Wsuwano też taki argument: wielka żegluga fenicka rozpoczyna się dopiero po upadku świata mykeńskiego, a więc po XII wieku, i właśnie dzięki temu, że okręty Mykeńczyków już nie broniły Fenicjanom dostępu do Morza Egejskiego; jeśliby więc istotnie mit o Kadmosie miał być fenickiego pochodzenia, przyniesiony zostałby stosunkowo późno; a tymczasem Teby należą do najstarszych miast Hellady i z całą pewnością kwitnęły już w okresie mykeńskim, wszystkie zaś legendy dotyczące tego miasta i jego władców są dobrze osadzone w epoce bohaterów.

Z tych więc powodów przez długi czas uważano tezę o Kadmosie – Fenicjaninie za niewiarogodną i przestarzałą. Dopiero w ostatnich kilku latach powrócono w niektórych pracach badawczych do dawnego punktu widzenia. Co prawda traktuje się dziś rzecz inaczej i szerzej. Nikt już nie twierdzi, że Kadmos i związane z nim mity są pochodzenia tylko fenickiego. Przyjmuje się jednak, że wywodzą się one ze Wschodu, i to ze Wschodu semickiego; widzi się powiązania z kulturami i wierzeniami ludów starej Fenicji, a nawet i Mezopotamii. Wskazuje się, że wiele imion w rodzinie Kadmosa jest pochodzenia niewątpliwie semickiego. Przede wszystkim sam Kadmos. Jeszcze oczywistsza jest semickość imienia Melikert, owego syna Ino, który zamienił się w morskiego bożka Palemona. Przecież „Melikert” to grecka forma imienia znanego w Fenicji i Syrii jako „Melquart”, czyli „Król miasta”. Jego zaś drugie imię, Palemon, da się wywieść od semickiego „Baal hamon”, czyli „Pan ludu”. Niewątpliwie semickie jest imię Akteona, być może Semeli, a nawet – wbrew bardzo greckiej postaci – Harmonii.

Nie chodzi jednak tylko o imiona. Również zasadnicze wątki mitów mają, jak się wydaje, swoje odpowiedniki w starych legendach semickich. Znamy je dziś dość dobrze dzięki odkryciom w mieście Ugarit na wybrzeżu Syrii. Zburzył to miasto najazd barbarzyńskich ludów w XII wieku p.n.e., ale zachowały się w ruinach jego świątyni i pałaców archiwa glinianych tabliczek; są tam, zapisane swoistym alfabetem z trzydziestu znaków, prastare teksty religijne i podania.

Szczegółowe przedstawienie owych skomplikowanych i wciąż jeszcze dyskutowanych kwestii nie jest tu możliwe¹¹. Ważny jest tylko ogólny kierunek obecnych badań: imiona i pewne motywy mitów kadmejskich wiąże się dziś ze Wschodem semickim. Jest więc wysoce prawdopodobne, że Teby istotnie założył szczerp któregoś z nadmorskich ludów semickich, jakie w owym czasie gęsto siedziały na wybrzeżach Syrii i Azji Mniejszej, często uczestnicząc w różnych wyprawach handlowych i wojennych. Powstały Teby, być może, równocześnie z zamkami w Argos, rychło stając się tak samo potężne w Beocji, jak tamte miejscowości na Peloponezie. I jak Danaowie w Argos, tak samo i Kadmejczycy w Beocji bardzo szybko roztopili się w miejscowej ludności, przejmując jej język i obyczaje, stając się Achajami. Pozostała tylko głucha pamięć o Kadmosie, który przyszedł ze Wschodu, i o jego szczerpie.

Skądże jednak to uporczywe w nutach twierdzenie, że ojczyzną Kadmosa była właśnie Fenicja? I to można wyjaśnić. Hellenowie przez kilka wieków po upadku świata mykeńskiego stykali się spośród wszystkich ludów Wschodu i wszystkich Semitów głównie z Fenicjanami. Kto drogą morską przybywał ze Wschodu, był dla Hellenów po prostu Fenicjaninem; to rzutowało też w przeszłość. Jak wiadomo, pismo swoje – które jest poprzednikiem także i naszego – przejęli Hellenowie właśnie od Fenicjan, zapewne w wieku IX p.n.e. Komuż jednak przypisali jego przyniesienie? Kadmosowi. Nie zastanawiał się nikt w Helladzie, że te „kadmejskie litery” (bo tak nazywano najstarszą formę alfabetu) weszły w użycie kilkaset lat po epoce bohaterskiej; nikt też nawet nie przypuszczał, że w tamtych czasach, kiedy to żyć miał Kadmos, posługiwano się zupełnie innym pismem – tym, które dziś nosi nazwę „linearnego B”.

Obecnie nauka posiada również materialne, bezsporne dowody bliskich związków łączących Teby z krajami Wschodu.

Jak pamiętamy z rozdziałów poprzednich, w latach 1906 – 1921 Keramopoulos odkopał w centrum Teb dzisiejszych, pod ulicami i murami domów, resztki pałacu z epoki mykeńskiej, który padł ofiarą wielkiego pożaru; w jednym z pałacowych korytarzy zachowały się amfory znaczone pismem linearnym B. Minęło od tego odkrycia lat przeszło 40 – i oto w r. 1963 dwoje greckich archeologów, Nikolaos Platon i Eva Touloupa, dokonało nowych znalezisk na terenie dawnej Kadmei, może jeszcze sensacyjniejszych. Znowu w sercu dzisiejszego miasta, w trakcie kopania fundamentów pod nowy dom u zbiegu ulic Pindara i Antygony (bo ulice Teb współczesnych szczycą się nazwami od najślawniejszych osób w historii Beocji, poczynając od czasów mitycznych!) natrafiono na pozostałości prastarych budowli. Prace przy zakładaniu fundamentów przerwano natychmiast, przystępując do szerszych wykopalisk; były one jednak niezmiernie trudne, sąsiednie bowiem budynki groziły zawaleniem i trzeba je było podpiierać całym lasem belek. Ale żmudny wysiłek bardzo się opłacił: okazało się wkrótce, że owe prastare budowle to resztki drugiego pałacu na Kadmei; został on wzniesiony wnet po strawieniu przez pożar pałacu pierwszego – tego, który odkrył Keramopoulos. Rzecz ciekawa, również i drugi pałac podzielił los swego poprzedniego, stając się pastwą ognia; świadczą o tym liczne ślady, przede wszystkim zaś gruba warstwa popiołu. Jednakże właśnie ten popiół ocalił kosztowności, które w czasie pożaru spadły z górnego piętra i przysypane gruzem przeleżały wieki. Dzięki temu w ruinach jednego z pokoiów znaleziono dziesiątki cylindrycznych pieczęci z lapis-lazuli i agatu, a także wiele drobnych ozdób ze złota, pasty szklanej, kości słoniowej, onyksu; niegdyś ozdoby te były częściami niewieściego naszyjnika. Historycznie jednak najbardziej interesują pieczęcie; prawie wszystkie są pochodzenia wschodniego, i to babilońskiego. Zdaniem znawców należą do najpiękniejszych okazów tego rodzaju (pieczęci z Babilonii znamy tysiące!), a tak bogaty zbiór nie został dotychczas nigdy znaleziony w jednym miejscu, nawet w samej Mezopotamii. Jak wszystkie pieczęcie babilońskie, również i te mają napisy klinowe i typowe ornamenty. Niektóre dadzą się datować bardzo

¹¹Astour, jw., s. 113–120.

dokładnie, żadna zaś nie jest późniejsza od roku około 1300 p.n.e.; fakt ten, w połączeniu z innymi wskazówkami, pozwala przypuszczać z dużą pewnością, że pożar drugiego pałacu na Kadmei przypada gdzieś na rok 1270; pierwszy natomiast musiał spłonąć o jakieś trzydzieści lat wcześniej.

Jakimi drogami dostał się ten zbiór pieczęci ze Wschodu na tebański zamek? Hipotez można wysuwać wiele. Najbliższy jednak prawdy wydaje się pogląd, że jest to dowód utrzymania stosunków handlowych nie tyle z samą Babilonią, co z miastami Syrii, które ze swej strony miały dawne i żywe kontakty zarówno kupieckie, jak też kulturalne z bogatą Mezopotamią. W każdym zaś razie można by powiedzieć obrazowo, że owe pieczęcie są – tak samo jak imiona i wątki kadmejskich mitów – strzałką, która wskazuje na Wschód.

I jeszcze jedno odkrycie w ruinach drugiego pałacu na Kadmei zasługuje na uwagę, choć w tym wypadku nie chodzi ani o skarby, ani też o dalekie, tajemnicze powiązania. Oto po raz pierwszy na ziemiach Hellady poza Peloponezem znaleziono tu kilka tabliczek glinianych ze znakami pisma linearnego B¹².

Kłótnia małżeńska ratuje wyprawę

Ponieważ tok opowiadania przywiódł nas z Argos do Teb, wypada znowu dokonać przeskoku przez wieki i wejść do domu Symiasza, gdzie w zimowy dzień roku 379 p.n.e. zebrała się liczna grupa spiskowców; znalazł się tam i Teanor, przybyły aż z Italii dla zabrania szczątków Lizysa i wynagrodzenia jego opiekunów. Otóż Teanor właśnie skończył swoją opowieść o tym, co usłyszał w nocy, kiedy czuwał przy grobie Lizysa, i zamilkł na chwilę. Wszyscy zebrani przy łożu Symiasza byli również pod wrażeniem jego słów, w pokoju więc panowała podniosła cisza. Ale w tym momencie wszedł lekarz, który czuwał nad zdrowiem starca. Pozdrowił zebranych i schylił się nad nogą Symiasza, zdejmując bandażę i opatrując ranę. Trudno było prowadzić nadal ogólną rozmowę, skoro gospodarz nie byłby w stanie nawet jej śledzić. Zaraz więc utworzyły się w pokoju małe grupki po dwie, trzy osoby, a w każdej z nich rozprawiano o czym innym. Toteż nawet nie wszyscy zauważyli, że do pokoju zagładnęli dwaj nowi goście: był to sekretarz rządu Fillidas, za którym wsunął się Hippostenejd. Ale ci dwaj nie wchodzili do środka; zatrzymali się blisko progu, a Fillidas szybko rozglądał się wokół, kogoś niecierpliwie szukając. Wyraźnie się ucieszył, kiedy dojrzał gdzieś w kącie Kafizjasza, Charona i Teokryta. Dał im lekki znak głową. Wszyscy trzej wysłiznęli się niepostrzeżenie. Idąc za tamtymi dwoma stanęli w kącie małego dziedzińczyka Symiaszowego domu, tu nikt nie mógł podsłuchiwać ich rozmowy.

Widać było po Fillidasie, że jest bardzo wzburzony. Toteż Kafizjasz, zaniepokojony, zapytał od razu:

– Więc co? Stało się coś złego?

Fillidas uśmiechnął się drwiąco:

– Nic takiego, mój drogi, czego bym się nie spodziewał! Bo mówiłem wam od początku i wciąż ostrzegałem: Hippostenejd to tchórz! Prosiłem, żeby go nie wciągać do spisku i nie powierzać mu żadnego zadania!

Strach zmroził trójkę przyjaciół; czyżby już wszystko się wydało? Ale Hippostenejd wybuchnął:

– Na bogów, Fillidasie, nie opowiadaj takich rzeczy! Według ciebie odwaga to lekkomyślność! Jeśli będziesz nadal tego zdania, to doprowadzisz do zguby i nas samych, i całe miasto.

¹²O najnowszych wykopaliskach na tebańskiej Kadmei informują greccy archeolodzy, N. Platon i Eva Stassinopulu – Touloupa, w „Illustrated London News”, 1964, Nov. 28 i Dec. 5.

Pozwól, żeby tamtych siedmiu na Kitajronie zawróciło z drogi – skoro takie jest przeznaczenie!

Fillidas nie ukrywał swego rozdrażnienia. Zapytał cicho, ale ostro:

– Jak myślisz: ilu jest członków naszego sprzysiężenia?

– Ja osobiście znam ze trzydziestu – odparł Hippostenejd.

– Więc jak to? Spiskowców jest aż tylu, ale ty sam jeden ośmieliłeś się zniszczyć i udaremnić to, na co zgodzili się już wszyscy? Wysłałeś konnego do tamtych siedmiu, którzy już pewnie schodzą z Kitajronu i są w drodze do nas. Rozkazałeś im, żeby poszli sobie z powrotem, żeby się tutaj w ogóle nie pokazywali! I zrobiłeś to właśnie dzisiaj, kiedy sam los po prostu przygotował wszystko, żeby ułatwić im zadanie!

Wszyscy zamarli z przerażenia, a Charon patrzył na Hippostenejda wzrokiem twardym i zimnym. Powiedział:

– Łotrze, pięknie nas urządziłeś! Ale Hippostenejd nie ustępował tamtym i bronił się wymownie:

– Nie stało się nic strasznego. Tylko zmień ton głosu i wysłuchaj spokojnie argumentów człowieka, który jest twoim rówieśnikiem i ma tyleż samo siwych włosów na głowie! Jeśli chcemy koniecznie pokazać obywatelom odwagę gardzącą wszelkim niebezpieczeństwem, to – proszę bardzo – dnia zostało jeszcze sporo! Nie czekajmy wieczoru, chwytajmy za miecze, uderzmy na tyranów! Zabijajmy, gińmy, nie szcędźmy nikogo, ani wrogów, ani siebie! Łatwo to zrobić, łatwo umrzeć. Trudno natomiast wyzwolić nasze miasto, kiedy jest w nim tylu uzbrojonych nieprzyjaciół, trudno wyprzeć spartański garnizon za cenę dwóch lub trzech trupów! To chyba jasne, że Fillidas nie przygotował aż tyle wina, żeby upić nim tysiąc pięciuset żołnierzy? Dobrze, przyjmijmy, żeśmy się jakoś załatwili z Archiaszem. Ale zostają przecież, trzeźwi i strażący całą noc, dowódcy spartańskiej załogi! Nie widzę więc żadnego sposobu, żeby udało się dziś miasto wyzwolić. Po co sprowadzać z Kitajronu tamtych siedmiu, naszych przyjaciół i bliskich? Przecież tu grozi im pewna zguba, donosiciele zaraz ich wydadzą! I to jeszcze teraz, kiedy wrogowie już coś wiedzą, już coś podejrzewają. Bo z jakiegoż innego powodu kazaliby mieszkańcom miasta Tespie być pod bronią, i to już od trzech dni, i baczyć, kiedy ich przywołają spartańscy dowódcy? Wiadomo mi także, że Amfiteos będzie przesłuchiwany dziś jeszcze, kiedy tylko wróci Arehiasz; bo wyjechał on do Haliartos razem z Lizandrydem, żeby zasypać grób Alkmeny. Po przesłuchaniu mają zamiar od razu zgładzić Amfiteosa. Proszę bardzo – czy wszystko to nie oznacza jak najoczywiście, że nasz spisek nie dał się utrzymać w tajemnicy? A w takiej sytuacji czy nie najlepiej zatrzymać się na czas krótki, po to tylko żeby jakoś nastawić niebiosa przychylnie do nas? Bo i to musicie wiedzieć: kiedy wieszczkowie składali ofiary bogini Demeter, oświadczyli, że mięso spalone na ołtarzu zapowiada jakieś wielkie zamieszanie w mieście i niebezpieczeństwo dla społeczności! A co do ciebie, Charonie, to ty powinieneś mieć się na baczności przede wszystkim. Zaraz ci bowiem opowiem, co zdarzyło mi się właśnie wczoraj:

– Wracalem ze wsi, nie sam. Był ze mną dobry mój znajomy, i w ogóle człowiek wielkiej zacności, Hipatodor. Ten nie wie nic o naszej sprawie. Otóż mówi on tak do mnie:

– Słuchaj, Hippostenejdzie, ty masz przyjaciela, Charona. Ja prawie go nie znam. Uprzedź go, jeśli uważasz to za stosowne, że grozi mu niebezpieczeństwo. Miałem tej nocy sen dziwny i chyba źle wróżący: dom Charona cierpiał boleści jak rodząca kobieta, on sam zaś i jego przyjaciele stali wokół bardzo się niepokojąc i zanosząc modły. Tymczasem dom porykiwał i wydawał jakieś nieskładne dźwięki, aż wreszcie z wnętrza wystrzelił straszliwy ogień, od którego zajęło się płomieniem prawie całe miasto. Ale sam zamek, Kadmeja, był otoczony tylko dymem, bo płomień nie sięgał tak wysoko.

Taka to była mara senna, Charonie, o której powiedział mi ten człowiek. A ja już wtedy, słuchając jego słów, od razu się przeraziłem, a dziś zamartwiam się jeszcze bardziej, od kiedy się dowiedziałem, że owych siedmiu ma się ukryć właśnie w twoim domu. Żebyśmy tylko

sami siebie nie wplątali w wielkie nieszczęście! Może być i tak, że naszym wrogom nic złego nie uczynimy, najwyżej trochę ich postraszymy. Bo ja ten sen tak sobie tłumaczę: miasto, które stanęło w płomieniach od ognia w twoim domu, to my; a zamek Kadmeja to oni, nasi nieprzyjaciele, bo przecież tam główna ich ostoja.

Charon już chciał coś odpowiedzieć Hippostenejdowi, ale wstrzymał go Teokryt:

– A mnie właśnie ten sen zachęca do działania! Choć muszę powiedzieć, że wszystkie ofiary, które składałem za pomyślność wygnańców, zawsze, jak dotąd, wypadały pomyślnie. Bo mówisz, że wielkie i jasne światło powstało w tym mieście, a początek swój wzięło w domu naszego przyjaciela; mówisz też, że zamek, który jest w ręku wroga, spowił dym ciemny, który przecież nigdy nie niesie nic dobrego prócz łez i zamieszania. To zaś, że ów dom – nas oznaczający – wydawał dźwięki niezrozumiałe, trzeba po prostu tak rozumieć: gdyby nawet ktoś usiłował nas oskarżyć, to nasze sprzysiężenie, zwiastowane tylko niejakimi i ślepyimi podejrzeniami, jednocześnie i objawi się, i zwycięży. Powiadasz wreszcie, że ofiara dla bogini Demeter źle wypadła. I to jest zupełnie w porządku. Pamiętaj bowiem, że zarówno urzędnik składający tę ofiarę, jak i ona sama przedstawiają nie lud, stronictwo będące u władzy!

Teokryt jeszcze mówił, kiedy przerwał mu Kafizjasz zwracając się do Hippostenejda:

– Kogo właściwie posłałeś do tamtych siedmiu? Bo jeśli zbyt się nie oddalił, spróbujmy go doścignąć!

Ale Hippostenejd potrząsnął głową z powątpiewaniem:

– Nie sądzę, żebyś mógł doścignąć człowieka, który pędzi na najlepszym w Tebach koniu! Wszyscy znacie tego wysłańca: to nadzorca rydwanów Melona. I właśnie Melon od samego początku wtajemniczył go w naszą sprawę.

Kafizjasz spojrział bystro na Hippostenejda:

– Zdaje mi się, że mówisz o Chelidonie? To ten, który zeszłego roku na igrzyskach ku czci Heraklesa zwyciężył w wyścigu wierzchem?

– Tak, to ten właśnie!

– Popatrz więc, kto to już od dłuższego czasu stoi tam przy bramie i nie spuszcza z nas oka?!

Hippostenejd odwrócił się i krzyknął zdumiony:

– Na Heraklesa! Toż to Chelidon! Chyba nie stało się nic złego?

Chelidon, który zmiarkował, że wreszcie zwrócono nań uwagę, zaczął powoli zbliżać się do bramy. Hippostenejd kiwnął na niego głową i powiedział:

– Mów śmiało, to sami swoi! Na to Chelidon:

– Przecież znam tych panów dobrze. I kiedy nie mogłem cię znaleźć ani w domu, ani na rynku, tak sobie pomyślałem: Hippostenejd na pewno poszedł do nich do domu Symiasza. Pobiegłem więc szybko, żebyście wiedzieli o wszystkim, co się dzieje. Bo jak tylko kazałeś mi popędzić konno na Kitajron, tamtym siedmiu naprzeciw, zaraz poszedłem do domu, żeby wyprowadzić konia. Sam idę do stajni, a żonie mówię: przynieś wędzidło! Ale ona jakoś długo go nie przynosiła i wciąż siedziała w komorze, niby to strasznie szukając. Poprzewracała tam wszystko. Tak mnie zwodziła kawał czasu, aż wreszcie przyznała się: Zeszłego wieczora pożyczyłam sąsiadowi, bo prosiła mnie jego żona! Wściekłem się i zwymyślałem kobietę porządnie. Wtedy to ona zaczęła mnie przeklinać i życzyć, żebym złą miał drogę i jeszcze gorszy powrót. Na Zeusa, niech to wszystko jej dadzą bogowie! Przyszło wreszcie do tego, że babę spralem. Na to zbiegli się sąsiedzi i kobiety z całej ulicy. Sporo tam zła narobiłem, i sam trochę ucierpiałem. Ledwom się wyrwał tu do was. Chcę wam powiedzieć, żebyście wysłali kogoś innego do tamtych siedmiu, bo ja mam już dość wszystkiego i w ogóle kiepsko się czuję po takiej awanturze!

Na słowa te spiskowcy zareagowali w sposób dziwny. Przed chwilą zamartwiali się, że tamtych siedmiu nie przybędzie, i ostro łajali Hippostenejda; teraz, kiedy się okazało, że nie

ma już odwrotu i nie wolno zwlekać, ogarnęła ich trwoga i chwycił za gardło zwykły strach. Być może, winna temu była zbyt nagła i niespodziewana zmiana sytuacji. Kafizjasz pierwszy ochłonął. Wziął Hippostenejda za rękę i powiedział:

– No, zachowuj się dzielnie! Odwagi! Przecież to wyraźny dowód, że sami bogowie pragną, żeby się stało, co się stać musi! Tak, to oni sami wzywają nas do czynu!

Ale Hippostenejd, wciąż oszołomiony, nie odpowiadał. Pozostali zaś widząc, że to już nie przelewki i nie ma na co czekać, zaczęli się rozchodzić, żeby przygotować to, co plan im wyznaczał. Sekretarz rządu Fillidas poszedł do swego domu, aby wydać ostatnie rozkazy w sprawie uczty i raz jeszcze zaprosić Archiasza oraz jego przyjaciół. Charon również skierował się do swego domu, bo przecież owych siedmiu z Kitajronu miało właśnie do niego zapukać. Natomiast Kafizjasz i Teokryt powrócili do pokoju, w którym przy łożu Symiasza dyskutowali jego goście i przyjaciele.

Księga piąta

O IGRZYSKACH W NEMEI I O PODZIEMNEJ WYROCZNI W LEBADEI

Mówi Pausaniasz, podróżujący po Grecji w II wieku n.e.:

Jaskinię lwa do dziś jeszcze pokazują w tych górach... W samej zaś Nemei jest świątynia Zeusa, godna obejrzenia, choć dach się zawalił i wewnątrz nie ma już żadnych posągów. Wokół świątyni jest gaj cyprysowy. Mówią, że to tam właśnie piastunka położyła Ofeltesa na trawie i tam wąż zabił dziecko... Jest też grób Ofeltesa, otoczony murkiem kamiennym. Wewnątrz obwodu znajdują się ołtarze. Pamiątką po Likurgu, ojcu Ofeltesa, jest ziemny kopiec. Źródło zaś nazywają Adrasteja – czy to z jakiejś innej przyczyny, czy też dlatego, że może znalazł je Adrastos.

(Pausaniasz, *Opis Grecji*, II
15)

Śmierć Ofeltesa

Drużyny siedmiu książąt zebrały się w Larisie i stamtąd ruszyły przez równinę na północ. Kiedy przechodziły doliną u stóp mykeńskiego zamku, nikt ich nie witał, ale też nikt nie stawał wojsku żadnych przeszkód. Jednakże z potężnych, szarych murów śledziły pochód setki czujnych oczu, a w sercach Mykeńczyków rodziło się pobożne życzenie:

– Oby nikt z was nie wrócił do ojczyzny!

Nie trzeba było być wróżbitą, jak Amfiaraos, by wiedzieć, co myślą władcy Myken. Dlatego też długi wąż rydwanów i pieszych sunący dnem skalistej doliny mijał te groźne okolice w ponurym milczeniu.

Było już późne popołudnie, kiedy zbrojne orszaki siedmiu książąt minęły przełęcz i zstąpiły ku dość szerokiej dolinie, którą zewsząd otaczały strome góry; na ich stokach tu i ówdzie pasły się stada owiec, niżej zaś widać było piękne winnice i laski oliwek. Cała ta okolica zwała się Nemeja. Leżała nieco na uboczu od głównego szlaku wiodącego z Argos na północ, ale dla rydwanów droga przez tę właśnie dolinę była lepsza. Władał Nemeją Likurg, sławny wróżbita i kapłan Zeusa. Nie wyszedł jednak przed swój dom, aby powitać gości; tak widocznie rozkazali mu zachować się panowie Myken, którym podlegał. Drużyny zatrzymały się u wejścia do doliny, a czterej książęta – Adrastos, Tydeus, Amfiaraos, Polinejk – poszli nieco dalej, aby wyszukać dobre miejsce dla rozbicia obozu. Było przecież lato, ludzie i zwierzęta strudzeni całodziennym marszem przez góry. Zwykle Nemeja obfitowała w wodę. Ale od dłuższego już czasu panowała posucha. Potok, którego kamienne łóżysko wiło się białą smugą przez dolinę, wysechł do dna. Książęta rozglądali się bezradnie; trudno było dostrzec źródło lub studnię wśród rumowiska głazów, a brama Likurgowego domu była zamknięta; pukać do niej nie chcieli. Przed kamiennym murkiem dostrzegli niemłodą już kobietę z dzieckiem na ręku. Adrastos zawołał:

– Chyba macie tu jakieś źródło? Umieramy z pragnienia!

Kobieta odpowiedziała życzliwie:

– Tu niedaleko. Trzeba podejść trochę ku górze. Zaraz pokażę.

I poszła przodem, dziecko zaś położyła na ziemi. Szybko pięła się w górę, a tamci za nią. Po kilkudziesięciu krokach ujrzeni wodę. Podziękowali przewodniczce i zawrócili, by czym prędzej przywołać swoich. Zaledwie jednak spojrzeli w dół, zmartwieli z przerażenia. Olbrzymi wąż ciasno oplótł maleńkie ciało dziecka i groźnie podnosił łeb, kołysząc nim na wszystkie strony.

Amfiaraos krzyknął:

– Stójcie! Ani kroku!

Tamci jednak nie zważali na nic. Rzucili się ku bestii z obnażonymi mieczami. Pocięli węża na sztuki, ale dziecko było już martwe. Kobieta zaczęła wyć przeraźliwie. Z domu natychmiast wylegli ludzie; na ich czele biegł sam Likurg. Książęta wnet zrozumieli, że stało się nieszczęście gorsze, niż można było przypuszczać w pierwszej chwili.

Martwy chłopczyk – zwał się Ofeltes – był dzieckiem nie tej kobiety służebnej, która pokazywała im drogę, lecz samego Likurga, pana doliny!

Była już późna noc, kiedy Amfiaraos powrócił do obozu z Likurgowego domu. Książęta czekali przy ognisku, siedząc na kozich i baranich skórkach. Amfiaraos usiadł na swoim miejscu bez słowa i długo wpatrywał się w czerwony blask płomieni. Nikt nie śmiał go zapytać, a on upajał się w swym sercu ich niepokojem. Myślał:

– Niechże się martwią! Czują się winni wobec kobiety, którą Likurg może ukarać śmiercią, a boją się także, że zgon chłopca wróży im nieszczęście. Zresztą władca Nemei, choć niewielu ma ludzi pod sobą, mógłby skrzyknąć sąsiadów. Droga z tej doliny prowadzi na północ ciasnym wąwozem, łatwo byłoby go zamknąć. Porywczy Tydeus niepotrzebnie chwycił za broń, kiedy Likurg chciał na miejscu uśmiercić piastunkę dziecka; rozdzielono ich siłą, ale zły gniew pozostał w sercu i ojca, pana Nemei, i książąt. Chcieli, żebym ja wszystko naprawił...

Kiedy wreszcie uznał, że dość już podrażnił niecierpliwość tamtych, przemówił. Ale i teraz nie od razu dotknął tego, o co chodziło im najbardziej. Zaczął bowiem wywód o dawnych dziejach:

– Musicie wiedzieć, że niegdyś była tu pustka i tylko lew ryczał nocami. Bydło nie było bezpieczne w żadnej zagrodzie, a ludzie drżeli w swych domach. Nawet ci w Mykenach i Tirynsie niechętnie wychodzili za kamienne mury, kiedy psy zaczynały skomleć i tulić ogon pod siebie – czując, że lew stąpa gdzieś w mroku. Eurysteus był wtedy królem nad całym Argos i wszystkimi ziemiami wokół. Przyzwał do siebie Heraklesa i surowo przykazał, żeby lwa zabił. I poszedł Herakles, bo króla słuchać musiał; taka była wola Zeusa, zwiedzonego przez Herę. Ale nigdzie w tych okolicach nie mógł znaleźć schronienia na noc, bo wszyscy dawno już puciekali – i z samej Nemei, i z dolin pobliskich. Znalazł wreszcie ubogą chatę, gdzie mieszkał pasterz owiec Molorch; mieszkał sam, bo jego syna zabił lew nemejski, który pożarł też wszystkie owce; została jedna tylko. Był to człowiek gościnnie. Żeby godnie przyjąć obcego, chciał zarznąć ostatnią swoją owcę. Ale Herakles odmówił i prosił:

– Poczekaj dni trzydzieści. Jeśli do tego czasu nie wrócę z łowów, będzie to dowód, że zginął w walce z lwem. Wówczas dopiero złożę ofiarę z owcy moim ceniom. Jeśli jednak stanę tu wcześniej, ofiarujemy wspólnie tę owcę Zeusowi Zbawicielowi!

Minęło dni trzydzieści, Herakles nie wracał do chaty Molorcha. Ten przygotował już wszystko, by uczcić zmarłego, kiedy, w ostatniej chwili, zjawił się Herakles, przyodziany w skórę lwa. Wspólnie więc dokonali obrzędu ofiary, ale już nie dla bóstw i cieniów podziemnych, lecz dla Zeusa. Aby zaś wieczna była pamięć tego zwycięstwa, ustanowił Herakles igrzyska w Nemei, igrzyska Zeusowe. Potem przyszedli tu nowi ludzie, o igrzyskach nikt nie pamiętał. Teraz my je odnowimy. Wyprawimy wielki pogrzeb synowi Likurga, zaprosimy sąsiadów z okolic, urządzimy wyścigi rydwanów, zapasy, rzuty dyskiem. I będą te igrzyska odtąd odprawiane co drugi rok, żeby nigdy nie wygasła pamięć o śmierci Ofeltesa. Za tę cenę złoży Likurg gniew z serca, daruje życie piastunce, nie będzie nas przeklinał i ścigał.

A ja powiem wam jeszcze i to: chłopiec nazywał się Ofeltes, ale będziemy go czcili w czasie igrzysk pod imieniem Archemoros – „Wiodący ku śmierci”. Bo po to umarł, by nam wskazać, dokąd zmierzamy wszyscy.

I jeszcze jedno: ta kobieta ma imię Hypsipyle. Nie jest zwykłą niewolnicą, pochodzi ze stron dalekich, z wyspy Lemnos na północy. Była córką królewską i dostała się tutaj dziwną drogą. Wkrótce przybędą jej synowie, aby matkę uwolnić.

Wszystko więc załatwiłem, jak mnie prosiliście i jak było zgodne z wolą Zeusa. A teraz węża nie trzeba było zabijać, bo zesłali go bogowie.

Ku czci Ofeltesa i Hypsipyli

Po wielu, wielu wiekach, w tych właśnie czasach, kiedy na Teby wyruszała trzecia wyprawa siedmiu, aby wyzwolić miasto spod jarzma oligarchów i Spartan, igrzyska nemejskie zaliczono – obok olimpijskich, pytyjskich, istmijskich – do najslawniejszych w Helladzie. Od roku 573 p.n.e. odbywały się one regularnie co drugi rok, zawsze w pełni lata. Zawsze też zachowywano pamięć o tych, którzy je zapoczątkowali w epoce bohaterów: o Heraklesie, o

siedmiu książętach, o małym Ofeltesie zaduszonym przez węża. Zbudowano tu w wieku IV p.n.e. wspaniałą świątynię w stylu doryckim ku czci Zeusa; jej architektem był sławny rzeźbiarz Skopas z wyspy Paros. Przed świątynią znajdował się olbrzymi ołtarz, a przy tylnej jej ścianie ciasne zejście do podziemnego pomieszczenia, które nazywano grobem Ofeltesa; w rzeczywistości była to albo świątynka poprzednia, albo też jakiś stary grób z okresu mykeńskiego. W pobliżu przybytku Zeusa wznosiły się budynki, w których ćwiczyli zawodnicy: palestra i gimnazjon, nieco zaś dalej, na stoku góry, stadion oraz teatr i hippodrom, tam odbywały się główne zapasy i wyścigi.

Jednakże świetność Nemei nie trwała zbyt długo. Już w III wieku p.n.e. miasto Argos, które uzależniło od siebie całą tę okolicę, przeniosło igrzyska z zapadłej doliny na swój teren, aby strumień złota płynął do kies jego mieszkańców. Nemeja opustoszała zupełnie. Potem przyszły trzęsienia ziemi, które stopniowo obaliły wszystkie budynki. Pozostały rumowiska i trzy, tylko trzy kolumny wielkiej świątyni Zeusa. Stoją one, samotne i dumne, jako romantyczny akcent górskiej głuszy – niegdyś ulubiony motyw wdzięcznych rysunczków we wspomnieniach z wojażów, dziś z reguły utrwalany na kolorowych filmach amerykańskich turystów; kto bowiem wybiera się zwiedzić ruiny Myken, po drodze zagląda i do tej kotliny, gdzie Herakles dokonał jednej ze swych prac na rozkaz Eurysteusa.

Ale żyje inna jeszcze pamiątka po igrzyskach w Nemei, chyba trwalsza od trzech kolumn, które czas kiedyś przeżre zupełnie; są nią piękne pieśni Pindara, tebańskiego poety z wieku V p.n.e. Śławi Pindar w tych odach zwanych nemejskimi sportowe zwycięstwa odnoszone przez wielkich panów, swych opiekunów. A skoro już o tym wspomnieliśmy, godzi się podać, kto – według legendy – uwieńczył skroń w czasie pierwszych zawodów ku czci Ofeltesa: Adrastos zwyciężył w wyścigach konnych wierzchem, Hippomedont w biegach, w walce na pięści Tydeus,

w wyścigach rydwanów i w rzucie dyskiem Amfiaraos, w zapasach Polinejk, w strzelaniu z łuku Partenopej; największą sławę przynosiły te konkurencje, w których pierwszy był Amfiaraos.

Kiedy dziś zastanawiają się badacze nad pierwotnym znaczeniem i początkiem uroczystości w tej pięknej, ale i odległej dolinie, zgadzają się wszyscy, że właściwym ich bohaterem było dziecko zwane Ofeltes lub (było to może jego imię kultowe) Archemoros. Potem dopiero panem igrzysk stał się Zeus, czczony od pradawnych czasów na sąsiedniej, wysokiej górze o zupełnie płaskim, jakby ściętym wierzchołku. Niektórzy uczeni radzi by widzieć w dziecku symbol przyrody obumierającej w czasie letniej suszy. Inni natomiast wskazują, że w Helladzie i na Krecie w kilku miejscowościach znany był w starożytności kult małego chłopca, bożego dziecięcia, któremu grożą wielkie niebezpieczeństwa, ono jednak ratuje się dzięki pomocy bohaterów lub bogów. Wąż, który owinał się wokół dziecka położonego na ziemi, był może właśnie jego obrońcą, a winą porywczych książąt było to, że wbrew ostrzeżeniom Amfiaraosa rzucili się na bestię z mieczami; w mitach bowiem kreteńskich i mykeńskich wąż występuje często, i to jako symbol dobra. Los jednak chciał, by strach zaślepił książąt, obarczając ich winą za śmierć dziecka i rzucając cień na całą wyprawę.

Ale – mógłby ktoś rzec – największą odpowiedzialność za zgon Ofeltesa ponosi jego piastunka, Hypsipyle; tak to wygląda według tej wersji mitu, którą podano powyżej. Jest jednak prawdopodobne, że w najstarszych opowieściach o wyprawie siedmiu książąt na Teby i o ich pobycie w Nemei piastunka Ofeltesa była zwykłą dziewczyną, występującą może nawet bezimiennie. To dopiero Eurypides, ów wielki dramaturg ateński w wieku V, wpadł na pomysł, by służebnicą Likurga uczynić kobietę sławną w innym cyklu mitów; w ten sposób doprowadził do sytuacji obfitującej w niezwykle perypetie, niemal jak w późniejszym romansie przygodowym.

Postać Hypsipyli i wcześniejsze jej losy, nim znalazła się w Nemei, były już dobrze znane ateńskim widzom dzięki dramatom poprzedników Eurypidesa, to jest dzięki Ajschylosowi i Sofoklesowi; choć owe dramaty nie zachowały się, samą treść mitu znamy dobrze:

Kobiety na wyspie Lemnos nie okazywały Afrodydzie czci należytej. Rozgniewana bogini ukarała je przykrym zapachem, który sprawiał, że nawet najbardziej kochający mężowie ze wstrętem odsuwali się od swych małżonek. To znowu doprowadziło Lemnijki do takiej wściekłości, że wymordowały wszystkich mężczyzn na wyspie. Tylko Hypsipyle, córka króla, zdołała ukryć swego ojca. Powstało więc na Lemnos państwo niewieście, nad którym rządy sprawowała Hypsipyle. Wkrótce potem na wyspę zawitali dzielni żeglarze. Byli to Argonauci. Pod wodzą Jazona płynęli na wschód, do Kolchidy nad Morzem Czarnym, aby zabrać stamtąd złote runo. Pomiędzy Argonautami a Lemnijkami doszło najpierw do walk, potem jednak obie strony zawarły ugodę; żeglarze przyrzekli, że spędzą pewien czas z samotnymi kobietami. Hypsipyle wybrała Jazona; owocem ich miłości byli dwaj chłopcy, którzy otrzymali imiona Toas i Euneos.

Taki to mit posłużył za kanwę dziś zaginionych dramatów Ajschylosa i Sofoklesa. Ale również i Eurypidesa Hypsipyle nie zachowała się w całości; utwór ten jest znany tylko dzięki cytatom u różnych autorów starożytnych oraz fragmentom na greckich papirusach znajdujących w Egipcie. Rzecz więc ma się podobnie jak z dramatem *Antiopa*, o którym była mowa już w księdze pierwszej. I podobnie jak *Antiopa*, również i *Hypsipyle* należała do najpopularniejszych sztuk Eurypidesa; oba te dramaty wystawiono w Atenach w bliskich sobie latach, gdzieś około roku 410.

Wyznaczanie biegu akcji, rozkładu scen, partii dialogowych i chóralnych w dramatach zachowanych fragmentarycznie (jak właśnie *Hypsipyle*) stanowi jedną z ulubionych rozrywek filologów klasycznych. I przyznać trzeba, że jest to zajęcie stokroć bardziej pasjonujące, bo też i bez porównania trudniejsze, od rozwiązywania szarad i krzyżówek przy pomocy haseł encyklopedii. Nie mówiąc już o tym, że dobry pomysł filologa wnosi coś konkretnego do znajomości antycznej kultury.

W prologu sama Hypsipyle opowiada, co wydarzyło się na wyspie Lemnos: musiała stamtąd uciekać, kiedy kobiety odkryły, że podstępnie zachowała swego ojca przy życiu; odebrano jej synów, a ją samą schwyłali piraci i sprzedali jako niewolnicę właśnie Likurgowi w Nemei. Po prologu wchodzi na scenę dwóch młodych ludzi. Proszą o gościnę i otrzymują ją w domu Likurga. Następnie przybywa chór nemejskich kobiet. Wołają one, że wielkie wojско zstępuje już do doliny. Wnet zjawia się jeden z wodzów, Amfiaraos. Od niego to dowiaduje się Hypsipyle o wyprawie siedmiu na Teby. Na prośbę Amfiaraosa kobieta idzie, niosąc dziecko na rękę, by pokazać, gdzie tryska źródło. Po chwili wbiega krzyżąc, zrozpaczona i zapłakana; dziecko, które położyła w zaroślach, zginęło uduszone przez węża. Eurydike, matka chłopca, chce śmiercią ukarać piastunkę; jednakże Amfiaraos, który w ostatnim momencie wraca do domu Likurga, łagodzi gniew i rozpacz matki. Teraz dopiero pojawiają się na scenie owi dwaj młodzi ludzie, którzy na początku sztuki prosili o gościnę. Amfiaraos, wróż znakomity, od razu widzi prawdę: to synowie Hypsipyli i Jazona, poszukujący matki! Kończy dramat zstąpienie z niebios boga Dionizosa, którego wnuczką była właśnie Hypsipyle.

O popularności dramatu najlepiej świadczy fakt, że na wazach greckich – tych zwłaszcza, które wyrabiano w Italii południowej – postać Hypsipyli opiekującej się dzieckiem jest przedstawiana często. A jeszcze w IV wieku n.e. występuje ona na niektórych wybijanych wówczas medalach!

Obóz nad rzeczką Asopos

W kilka dni później drużyny siedmiu książąt schodziły już ze stoków Kitajronu ku beockiej równinie, która otwierała się w dole – rozległa, lekko pofałdowana, uśmiechnięta. Już widać było w dali skupisko białych domów Teb i Kadmei, już Polinejkes niecierpliwie popędzał konie po stromej drodze, by szybko dotrzeć pod szare mury miasta – jakby miał nadzieję, że zdobędzie je od razu i jednym tylko uderzeniem. Jednakże pozostali książęta myśleli chyba inaczej. Nie znali wprawdzie Teb, ale wiele słyszeli o potędze ich murów, które zbudował Amfion z ogromnych głazów, co ruszyły ze swych miejsc na dźwięk jego lutni. Wiedzieli też książęta, że to ludne i bogate miasto panuje nad prawie całą równiną, odkąd pokonało sąsiednie Orchomenos. Iluż wydały Teby sławnych mężów! Przecież i Herakles, który dokonał po całym świecie tylu wielkich czynów, urodził się właśnie tutaj. A zresztą nie bez wpływu pozostały na książąt ciągle krakania i złe wieszczby Amfiaraosa. Obecnie, kiedy mury Teb były już niemal o sięgnięcie ręką, dziwny lęk ogarnął wszystkich.

Kiedy drużyny zeszyły ze stromizn Kitajronu, Adrastos rozkazał:

– Zatrzymajmy się nad rzeczką Asopos! Płynęła ona u stóp Kitajronu, ze wschodu na zachód, zbierając wody małych potoczków i źródeł tego wielkiego masywu górskiego. Asopos nie był szeroki; brzegi miał urwiste i porośnięte sitowiem. Miejsce pod obóz wybrano więc doskonale: piękne łąki oraz bliskość wody pozwalały wypocząć i ludziom, i zwierzętom, a nie tak łatwa do przebycia rzeczka broniła przed niespodziewanym napadem nieprzyjaciół. Nie był on zresztą zbyt prawdopodobny. Bo Tebańczycy wiedzieli wprawdzie o wyprawie doskonałej, i to już od dawna, ich zaś ludzie na pewno śledzili z ukrycia każdy ruch najeźdźców, ale po cóż mieli stawać do bitwy w otwartym polu, która – nawet zwycięska – musiałaby kosztować ich sporo ofiar? Mogli przecież spokojnie czekać, aż napastnik nie wykrwawi się u murów nie do zdobycia, aż nie wykruszą jego sił bezskuteczne walki.

Przy wieczornym ognisku książęta znowu zebrali się na naradę. Tym razem pierwszy zabrał głos Amfiaraos:

– Nie pójdziemy od razu na Teby. Jest jeszcze nadzieja, choć nikła, że unikniemy wojny, a więc i śmierci. Może tamci ustąpią, widząc siedmiu najdzielniejszych książąt i tyle ludzi z różnych krain. Trzeba jednak, żeby któryś z was pojechał do Teb o siedmiu bramach i jasno tamtym powiedział: albo znajdą sposób, żeby po sprawiedliwości ułożyć się z Polinejkiem i nas wynagrodzić za trudy wyprawy, albo gorzko oplakiwać będą wielu spośród swoich; bo i dla nich znaki nie są łaskawe!

Postanowiono wysłać Tydeusa. Jeśli miało to być poselstwo pokojowe z prośbą o ugodę, to wybór nie był najlepszy, bo przecież Tydeus był gwałtowny i gburowaty. Z drugiej jednak strony właśnie Tydeus, twardy i dzielny w boju, najlepiej mógł pokazać Kadmejczykom, jakich to będą mieć przeciwników. Zresztą – nie mógł jechać Polinejkes, bo z jego powodu rozgorzała wojna; nie mógł Adrastos, był bowiem wodzem wyprawy; Amfiaraos nie chciał, bo poszedł na wyprawę przymuszony; Hippomedont zaś, Kapaneus i Partenopej byli zbyt młodzi.

Kiedy Tydeus wjechał swym rydwanem na kadmejskie wzgórze, zastał drużynę Eteoklesa uczującą na dziedzińcu przed pałacem. Ale nie przeraziła Tydeusa mnogość i buta tebańskiej młodzieży, która drwiąco patrzyła na półbarbarzyńcę niskiego wzrostu i dziwnie uzbrojonego. Był posłem, w murach miasta nikt by nie ośmielił się podnieść nań ręki! Spokojnie więc przedstawił Eteoklesowi i jego radzie słowa siedmiu książąt:

– Zawrzyj z Polinejkiem sprawiedliwą ugodę, podzielcie się władztwem, ziemią i skarbnami, a oszczędzisz całemu miastu wielu nieszczęść i krwi!

Ale tamci wzgardzili ową prośbą o pokój, ufali bowiem swym potężnym murom i dzielności młodzieży. Dlatego Tydeus spróbował przekonać ich czynem: wyzwiał wszystkich zgro-

madzonych na dziedzińcu przy uczcie, by kolejno zmierzyli się z nim w zapasach – i zwyciężył wszystkich, ilu ich było. Nie znieśli Tebańczycy tego upokorzenia; kiedy Tydeus wracał, przygotowali nań za miastem zasadzkę. Pięćdziesięciu zbrojnych napadło na samotnego posła.

Pieśni poetów sławiły później posłowanie Tydeusa, jego czyny na Kadmei i walkę z zasadzką. Jeszcze pod Troją król Agamemnon przypominał o tym synowi Tydeusa, Diomedesowi, aby go natchnąć ojcową odwagą:

– Przyszli nad Asopos, gdzie sitowie wysokie, a łąki bujne. Stamtąd to Achajowie wyprawili do Teb jako posła Tydeusa. Ten poszedł i w domu potężnego Eteoklesa zastał wielu Kadmejczyków przy uczcie. Tydeus, dzielny poskromiciel koni, nie przeraził się wcale, choć był tu obcy i sam wśród tylu Kadmejczyków. Wyzwał ich, żeby w zapasach stanęli przeciw niemu, i łatwo wszystkich pokonał. Taką to pomoc okazała mu Atena! Rozgniewali się Kadmejczycy, co konie dobrze popędzają. Kiedy więc powracał, przygotowali nań chytrą zasadzkę. Było pięćdziesięciu młodych ludzi, a dwóch wodzów nad nimi: Majon, syn Hajmona, bogom podobny, i dzielny w boju Polifont, syn Autofonosa. Lecz Tydeus im także zgotował los straszliwy. Zabił wszystkich, jednego tylko odesłał do domu, właśnie Majona; bo tak mu nakazały znaki zesłane przez bogów!

A w innym miejscu *Iliady* sam Diomedes, syn Tydeusa, tak modli się przed bitwą do bogini Ateny:

– Usłysz mnie, córko Zeusa! Bądź przy mnie, jak niegdyś byłaś przy moim ojcu, boskim Tydeusie, kiedy szedł do Teb jako poseł Achajów. Ich bowiem, w spiż odzianych Achajów, pozostawił nad Asoposem, sam zaś niósł Kadmejczykom słowa przyjazne. Ale kiedy wracał, dokonał czynów straszliwych – dzięki tobie, bogini, bo stałaś przy nim życzliwie. Tak więc i teraz zechciej być przy mnie i okaż mi pomoc¹³!

Obie te wypowiedzi *Iliady* dowodzą, że wielkie czyny wyprawy siedmiu książąt nie zostały zapomniane przez późniejsze pokolenia. Pamięć zaś o nich przechowywała nie tylko tradycja rodzinna, lecz i poezja epiczna.

Zaginiona epopeja

Pisze Pauzaniusz, grecki historyk i miłośnik starych zabytków sztuki, żyjący w II wieku n.e. (w tej książce już wspominaliśmy o nim):

„Uważam, że ta wojna była największa ze wszystkich, jakie Hellenowie prowadzili przeciw Hellenom w czasach, które zwiemy epoką bohaterską. Oto wojska Argiwów ze środka Peloponezu wtargnęły do środka Beocji; Adrastos ściągnął posiłki z Arkadii i Mesenii; ale także i Tebańczykom przybyły posiłki od sąsiadów.

W bitwie stoczony pod Ismenion zwyciężyli Argiowowie; Tebańczycy schronili się za mury miasta. Najeźdźcy jednak nie umieli zdobywać umocnień. Atakowali je bardziej wściekłością niż znajomością rzeczy. Dlatego Tebańczycy wielu ich zabili zrzucając z murów, potem zaś położyli trupem innych, kiedy uczynili wypad na już cofające się szyki. Tak zginęli wszyscy prócz Adrastososa...

O wojnie tej opowiada epopeja pod tytułem *Tebaida*; Kallinos – a za nim inni – twierdzi, że autorem jej jest sam Homer. Ja w każdym razie poemat ten cenię najwyżej po *Iliadzie* i *Odysei*.¹⁴

Kallinos, na którego powołuje się Pauzaniusz, był poetą, żył zaś w wieku VII p.n.e.; wynika stąd, że epopeja o wyprawie siedmiu przeciw Tebom była już wówczas i znana, i tak ce-

¹³Homer, *Iliada*, IV 383–398 oraz X 284–291.

¹⁴Pauzaniusz, *Opis Grecji*, IX 9,5.

niona, że twórcę jej upatrywano w wielkim Homerze. A więc ranga artystyczna poematu musiała być wysoka, czytano go zaś przez wiele wieków; dzieli przecież Kallinosa od Pauzania-sza lat prawie dziewięćset! Dla nas jednak owa *Tebaida* jest zagadką – jedną więcej zagadką w mrocznym gąszczu faktów i legend o epoce bohaterów. Cóż bowiem pozostało z tak sławnej epopei, co wiemy o niej na pewno? Pewne źródło starożytne, podtrzymując zresztą pogląd, że napisał *Tebaidę* Homer, dodaje, że poemat ten liczy 7000 wierszy (był więc niemal o połowę krótszy od *Iliady*). Ktoś inny ze starożytnych cytuje pierwszy wiersz *Tebaidy*; brzmiałby on w przekładzie:

Argos opiewaj, bogini, wielce trapione posuchą...

Treść natomiast poematu możemy odtworzyć tylko w najogólniejszym zarysie. Przedstawił on znane nam już wydarzenia: spór o władzę pomiędzy Polinejkim i Eteoklesem; przybycie Polinejka i Tydeusa do Adrastowego domu; zmuszenie Amfiaraosa do wzięcia udziału w wyprawie; marsz drużyn do Beocji i posłowanie Tydeusa. Ostatnie pieśni *Tebaidy* mówiły o walkach pod samym miastem, o daremnych szturmach na mury, o śmierci sześciu książąt i o ucieczce Adrastosa.

W starożytności przypisywano Homerowi nie tylko *Tebaidę*, lecz i kilka innych, dziś zaginionych poematów. Było to częściowo usprawiedliwione tym, że wszystkie one odznaczały się podobnym stylem i językiem, co znowu wypływało z tożsamości gatunku literackiego. Były to bowiem epopeje bohaterskie, opowieści o krwawych czynach i niezwykłych przygodach ludzi z epoki mitycznej. Całe pokolenia poetów tworzyły i komponowały te epopeje posługując się niemal identyczną techniką wierszowania, tymi samymi obrazami, porównaniami, zwrotami i przenośnikami. Osobowość poety – który zresztą nigdy nie przemawiał w utworach wprost, od siebie – schodziła na plan dalszy. Najważniejsze było samo rzemiosło opowiadania, to zaś, jak każde rzemiosło, stanowiło wspólną własność i umiejętność wielu. Wiadomo dziś, że *Iliada* jako kompozycja jest w zasadzie i w większej części dziełem jednego człowieka; materiał jednak, z którego została zbudowana, gromadziły wieki. Jeśli więc sam autor *Iliady* jest dziś raczej trudno uchwytny jako indywidualność twórcza, jakżesz przypisywać mu jeszcze *Tebaidę*? Najwłaściwiej byłoby chyba sprawę tak ująć:

Owa *Tebaida*, tak ceniona przez Pauzaniassa, powstała na pewno przed wiekiem siódmym p.n.e., a więc w tym samym czasie, kiedy przybrały swój ostateczny kształt *Iliada* i *Odyseja*. Powstała w kręgu poetów uprawiających ten sam rodzaj literacki, epikę bohaterską, miała więc wiele zbieżności formalnych z innymi epopejami. Nazwisko autora było nieznane chyba od początku, co było zgodne z ówczesnym zwyczajem. Twórczości bowiem literackiej nie ceniono wtedy aż tak bardzo, by dbać o unieśmiertelnianie imion. Jest też możliwe, że *Tebaida* miała wielu autorów, którzy stopniowo rozwijali i wzbogacali wątki starych podań o wyprawie siedmiu przeciw Tebom.

Wolno jednak iść dalej. Wolno zapytać, czy to właśnie *Tebaida* nie powstała wcześniej od obu do dziś zachowanych epopei, to jest od *Iliady* i *Odysei*. Wypowiedzi bohaterów *Iliady* przytoczone w rozdziale poprzednim wyraźnie zakładają, że słuchacz zna opowieść o tym, co spotkało książąt w drodze na Teby; a takich wypowiedzi i wzmianek można by przytoczyć więcej.

Wszystkie prawie helleńskie mity – o tym już mówiliśmy – miały swoje źródła w epoce bohaterów, w świecie mykeńskim. W owych czasach zaczęły powstawać pieśni o bohaterach, które później, przekazywane z pokolenia w pokolenie, stały się twórczym wielkich epopei – zarówno tych dwu zachowanych, jak i tych, tak licznych, które znamy dziś jedynie z tytułu i fragmentów; do nich to należy *Tebaida*.

Kto był nosicielem pieśni poprzez wieki, kto kształtował epopeje? Był to klan zawodowych poetów-pieśniarzy, zwanych aoidami. Wędrowali po dworach możnych panów, uświet-

niali swymi występami uczyły i uroczystości religijne, półśpiewnie przy wtórze kitary recytując opowieści o dawnych czasach. Każda recytacja była pozornie czymś oryginalnym i niepowtarzalnym, ale zasadnicze wątki były podobne. Wielką zaś pomocą pamięciową był sam język poetycki, który usłużnie poddawał w każdej chwili znaczną ilość gotowych formułek na określenie każdej sytuacji. Widać to bardzo wyraźnie w *Iliadzie* i w *Odysei*; liczą one łącznie 28000 wierszy, ale z nich aż 5000 powtarza się w całości i dosłownie, powtórzeń zaś częściowych jest jeszcze więcej. Tak więc pismo nie było aoidom potrzebne (wielu z nich było zresztą niewidomymi), wystarczała dobra pamięć i pewna wprawa w składaniu poetyckich formułek.

Odyseja tak opisuje ucztę w pałacu króla Alkinoosa:

„Zaczęto dzielić dania i mieszać wino. Zjawił się herold wiodąc dzielnego aoida Demodokosa, uwielbianego przez ludy. Przemądry Odys odciął część pieczeni srebromokływej świni (sporo z niej sobie zostawił), kęs tłuszczem obrosły, i zwrócił się do herolda:

– Sam tu, heroldzie! Zanieś to mięso Demodokowi. Mimo że strapiiony, chcę mu okazać przychylność. U wszystkich ludzi na ziemi aoidowie zażywają czci i szacunku, ponieważ pieśni uczyła ich Muza, kochająca ród aoidów.

Tak mówił, a herold odniósłszy włożył w ręce herosa Demodoka; ów przyjął z radością w sercu. Wszyscy wyciągnęli ręce do zastawionych potraw. Gdy zaś pozbyli się głodu i pragnienia, odezwał się do Demodoka przemądry Odys:

– Demodoku, ciebie ze wszystkich śmiertelnych ja sławię najbardziej. Albo Muza cię uczyła, córka Zeusa, albo Apollon, bo nader pięknie układasz pieśni o doli Achajów, co działała, co wycierpieli, ile zaznali trudów, jakbyś sam był przy tym albo słyszał od kogoś, co był z nimi...”¹⁵

Tacy to właśnie aoidowie śpiewali panom ku rozrywce w megaronach Myken, Larisy, Tyrsu, Kadmei. Ci ubodzy śpiewacy, tak samo jak i prosty lud, przetrwali upadek państwa i ruinę zamków. Poezja – jak zresztą bywa prawie zawsze – okazała się mocniejsza i odporniejsza od cyklopiich murów i spiżowych panczerzy. A ważną przyczynę wiecznotrwałości poezji aoidów stanowiło to właśnie, że nie zamknięto jej w znakach pisma na glinianych czy też brązowych tabliczkach, lecz powierzono ludzkiej, żywej pamięci. Kiedy bowiem wraz ze światem mykeńskim odeszło – mówiliśmy już o tym – jego pismo linearne, to lotne słowo, podawane z ust do ust i z pokolenia w pokolenie, błyszczało nie naruszone w pięknych, skamieniałych formach epickiego stylu.

Antymach z Kolofonu, poeta kontrowersyjny

Taka więc była epicka twórczość pieśniarzy. Swymi korzeniami tkwiła ona w czasach mykeńskich, kwitnęła zaś jeszcze w VIII i VII wieku p.n.e. Dla nas jej pomnikami są tylko *Iliada* i *Odyseja*, starożytni jednak znali wiele dzieł podobnych, wśród nich, jak się już rzekło, także *Tebaidę* – poemat tak piękny, że stawiano go w rzędzie najlepszych.

Rzecz to znana powszechnie i od dawna; każdy gatunek twórczości literackiej ma swój własny żywot, który rządzi się szczególnymi prawami; pewne rodzaje pojawiają się i rozwijają w jednych epokach, obumierają w innych. Tak było we wszystkich okresach, tak jest i obecnie. Na naszych to przecież oczach zdaje się tracić swoją popularność tradycyjna powieść, która jeszcze w wieku XIX była głównym przedmiotem upodobań i zainteresowań czytelnicy. Doskonale można obserwować tę zmienność literackich gatunków w świecie antycznym. Od czasów mykeńskich aż po wiek VII niemal niepodzielnie panowała twórczość epicka; potem na czoło wysuwa się liryka i tak zwana poezja nauczająca, następnie zaś dra-

¹⁵Homer, *Odyseja*, VIII 479–490, przekład J. Parandowskiego.

mat i opowieść historyczna; wprawdzie jeszcze w wieku VI i V powstawały jakieś epepeje, ale były to już martwe naśladownictwa starych wzorów.

Szczyśliwym zbiegiem okoliczności znamy nazwisko i kilka fragmentów twórczości poety, o którym śmiało można powiedzieć, że był to ostatni pieśniarz-aojdos Hellady. Zwał się ów poeta Chojrilos, pochodził z wyspy Samos, żył z końcem wieku V. Przez dłuższy czas miał go przy swym boku wielki wódz spartański Lizander, pragnąc, aby pieśnią usświetniał jego czyny i przekazał je potomności. Lizander zginął w bitwie z Tebańczykami pod Haliartos w roku 395 p.n.e. O bitwie tej była mowa już w pierwszej księdze, bo klęskę, którą tam ponieśli, Spartanie uznali za dowód gniewu Alkmeny, matki Heraklesa pochowanej koło Haliartos. Kiedy więc Spartanie znowu opanowali te okolice w roku 382, kazali odkopać grób Alkmeny, szczątki przenieśli do swego kraju, a brązową tabliczkę posłali do odczytania aż do Egiptu. A więc wzmianka o Chojrilosie prowadzi do czasów, kiedy to spiskowcy tebańscy gromadzili się w domu Symiasza, wygnańcy zaś przygotowywali wyprawę dla wyzwolenia swego miasta spod tyranii i panowania obcych.

Za temat swej epepei Chojrilos obrał nie opowieści mityczne, lecz stosunkowo niedawną przeszłość: zmagania, jakie Hellenowie toczyli z perskim najeźdźcą. Sławił więc żołnierzy spod Maratonu i Termopil takim samym językiem i stylem, jakim niegdyś opiewano boje Hektora i Achillesa. Właśnie to zainteresowanie się Chojrilosa nie mitem, lecz historią, podsunęło Lizandrowi myśl, by poeta zajął się też jego osobą i czynami.

Sam Chojrilos zdawał sobie sprawę, że jest już ostatnim pieśniarzem-aojdosem. Toteż skarżył się w pierwszych niemal wierszach swej epepei:

„Szczyśliwy był ów umiejętny aojdos, Muzom służący, który żył w czasach, gdy błonia były jeszcze nietknięte. Obecnie wszystko już podzielone, każda sztuka ma wyznaczone sobie granice, my zaś pozostaliśmy jako ostatni w biegu. I choć rozglądam się wokół, nie ma sposobu, żeby osiąść nowego rydwanu!”¹⁶

A jednak - był sposób! Dokładnie w tym samym czasie co i Chojrilos, a więc pod koniec wieku V p.n.e., działał i tworzył poeta Antymach z Kolofonu. I on w pewnym momencie swego życia zetknął się z Lizandrem, na krótko jednak. Było to tak:

Na wyspie Samos urządzono igrzyska ku czci spartańskiego wodza oraz konkurs poetycki. Antymach przedstawił któryś ze swych poematów, doznał jednak przykrej porażki, sam bowiem Lizander przyznał zwycięstwo komuś innemu.

Łatwo zrozumieć, dlaczego twórczość Antymacha nie mogła znaleźć łaski w oczach Spartanina, który tak wysoko cenił ostatniego aojdosa. Oto poeta z Kolofonu reprezentował całkowicie nowy, a zarazem bardzo trudny kierunek epickiego stylu. Najkrócej można by go określić mianem poezji uczonej, erudycyjnej. Lubował się Antymach w aluzjach do odległej przeszłości, we wzmiankach o mało znanych mitach, w słownictwie, które odbiegało nie tylko od codziennego, lecz nawet od homeryckiego. Bo też Antymach był uczonym; zasłużył się jako wydawca i komentator *Iliady* oraz *Odysei*. Ale właśnie jako doskonały znawca starej epiki rozumiał, że należy ona do przeszłości i nie ma sposobu, żeby utrzymać ją przy życiu. Uważał więc, że nowa epika musi świadomie rezygnować z rzekomej prostoty aojdosów, którzy niby to śpiewali dla wszystkich; niechby przemawiała tylko do wybranych, do ludzi szerokiego odczytania i wysokiej kultury! Ci potrafią rozkoszować się urokami poezji, która prócz kunsztu słowa i melodii wiersza kryje też skarby przedziwnej erudycji.

Być może, że jeszcze przed opracowaniem wielkiego eposu wydał Antymach zbiór miłosnych elegii pod tytułem *Lide*; tak bowiem zwać się miała jego przedwcześnie zmarła dziewczyna. Uczony kochanek, aby znaleźć jakąś pociechę w swej żałobie, zebrał i przybrał w poetycką szatę wszystkie podania o nieszczęśliwych miłościach, jakie tylko były znane w całej helleńskiej mitologii.

¹⁶*Epicorum Graecorum Fragmenta*, ed. G. Kinkel, Choerilus 1.

Epopeja, dzieło życia Antymacha, opiewała pierwszą wyprawę siedmiu przeciw Tebom. Nosiła więc tytuł taki sam, jak owa dawna, o której mówiliśmy w rozdziale poprzednim – *Tebaida*; różniła się jednak od tamtej pod każdym niemal względem. Była przede wszystkim bardzo obszerna; liczyła ksiąg 24, a więc tyleż co *Iliada*. Toczyła się bardzo wolno i spokojnie, jak szeroka rzeka rozlewająca się po równinie; i wciąż od głównego nurtu oddzielały się, jak ramiona i odnogi, pełne uczoności wywody o tych czy innych, dawno zapomnianych mitach, kultach, miejscowościach. Jednych zachwycał ten rytm powolny, a wymagający ciąglego wysiłku intelektualnego; innych denerwował i męczył. Od samego początku swej artystycznej działalności stał się Antymach poetą kontrowersyjnym, wokół którego rozgorzały namiętne spory szczerych wielbicieli i złośliwych krytyków. Wzgardził Antymachem wódz Lizander; ale żarliwie bronił go i wysławiał ktoś znacznie wybitniejszy i sławniejszy, bo sam Platon! Według późniejszych opowieści to właśnie młody Platon słowami podziwu i szacunku sprawił, że Antymach – pogrążony w depresji po jakimś napastliwym ataku – nie rzucił w ogień swoich poematów. A po śmierci Antymacha wysłał Platon jednego ze swych uczniów, by zebrał i ocalił dla potomności jego spuściznę.

Przez całą niemal starożytność trwała walka o właściwą ocenę artystycznych walorów Antymachowego dzieła. Jedni mówili, że to twórczość „gruba, lecz nie obtoczona”, inni zaś umieszczali tego poetę tuż po Homerze. Nam trudno zabierać głos w tej sprawie, skoro posiadamy tylko nikłe fragmenty – zarówno *Lidy*, jak i *Tebaidy*. Skłonni bylibyśmy najwięcej racji przyznać Kwintylianiowi, rzymskiemu teoretykowi literatury z I wieku Cesarstwa:

„U Antymacha godna pochwały jest siła, powaga, rodzaj wysłowienia bardzo odbiegający od pospolitego. Ale choć zgodna opinia gramatyków przyznaje mu prawie drugie miejsce, to jednak zawodzi przy wyrażaniu uczuć, nie wprowadza miłego nastroju, nie daje właściwego układu – w ogóle brak mu sztuki...”¹⁷

Pewne jest, że zarówno wrogowie, jak i przyjaciele, cała późniejsza poezja helleńska i rzymska, zawdzięczali Antymachowi bardzo wiele.

Symiasz wypowiada swoje zdanie o duchu opiekuńczym Sokratesa

Nie uszło uwagi ludzi współczesnych, ludzi z końca wieku V i z początku IV, że są świadkami ciekawego zjawiska: oto w twórczości epickiej zamierał styl stary – jego ostatnim akordem było dzieło Chojrilosa – rodził się zaś nowy sposób poetyckiego opowiadania. Gdyby coś podobnego działo się w naszych czasach, ponad wszelką wątpliwość płynąć by zaczęła wielka rzeka prac, artykułów i esejów pod gromkimi tytułami: *O sytuacji w epice*; *Walka nowego ze starym w naszej epice*; *W obronie prawdziwych wartości epopei*; *O granicach eksperymentu w twórczości epickiej*; *Z problematyki badań nad teorią i praktyką epopei*. Odbywałyby się uczone sympozja, międzynarodowe seminaria, sesje i konferencje. Przy sposobności wiele osób zyskałoby doktorat, habilitację, profesurę. W większości zaś wypowiedzi o epice byłyby długozdaniowe, inteligentnie niezrozumiałe, roztropnie uczulone na najłżejsze powiewy z wysokich rejonów ideologicznego Olimpu.

Ale i wtedy, w okolicach roku 400 p.n.e., nie było tak zupełnie inaczej. Pisano o epopei, i to pisali właśnie ideolodzy-filozofowie. Była już mowa o tym, że zainteresował się twórczością Antymacha sam Platon. A przyjaciel Platona, tak dobrze znany nam Symiasz, również zajął się sprawami epiki. Poświęcił temu przedmiotowi specjalny dialog – niestety, dziś zaginiony. Nigdy więc nie będzie wiadomo, czy Symiasz, przyjaciel tebańskich spiskowców, był wielbicielem, czy też wrogiem Antymacha, który przedstawiał wyprawę siedmiu książąt przeciw Tebom tak nowatorsko.

¹⁷Kwintyliani, *Kształcenie mówcy*, X 53.

Wiadomo natomiast, dzięki Plutarehowi, jaki był pogląd Symiasza na sprawę opiekuńczego ducha Sokratesa. Jak się już rzekło, Kafizjasz i Teokryt rozmawiając na dziedzińcu z Hippostenejdem dowiedzieli się w ostatniej chwili, że wysłannik, który miał zatrzymać siedmiu na Kitajronie, w ogóle nie wyjechał; a więc biegu wydarzeń nic już nie mogło powstrzymać, zamach musiał dokonać się tej jeszcze nocy!

Gdy Kafizjasz i Teokryt wrócili do pokoju, było już po opatrunku nogi Symiasza. Rozmowa, którą przerwało wejście lekarza, znowu nawiązała do głównego tematu: czy w ogóle istniał duch opiekuńczy Sokratesa, a jeśli tak, to jakie właściwie były jego cechy i przejawy. Głos zabrał obecnie sam Symiasz:

– Jak wiecie wszyscy, byłem przez pewien czas uczniem Sokratesa. Ponieważ już wówczas opowiadano, że mój mistrz pozostaje pod opieką jakiegoś tajemniczego ducha, przy sposobności zapytałem go o to wprost. Ale on pominął moje pytanie zupełnym milczeniem. Zrozumiałem, że postąpiłem niewłaściwie, i nigdy już do tej sprawy nie wracałem. Mogę natomiast stwierdzić coś innego, czego sam nieraz byłem świadkiem. Oto często rozmaici ludzie opowiadali w obecności Sokratesa, że niemal naocznie i namacalnie zetknęli się z czymś boskim; on jednak uważał ich po prostu za zwodzicieli. Rzecz jednak dziwna: poważnie traktował tych tylko, którzy zapewniali, że słyszeli jakieś głosy tajemnicze. Wypytywał ich bardzo pilnie o wszystkie okoliczności takiego zdarzenia. My, uczniowie, rozmawialiśmy o tym pomiędzy sobą i doszliśmy do takiego wniosku: ów duch opiekuńczy Sokratesa to chyba nie jakieś widziadło, lecz raczej głos – albo postrzeżenie słów, dochodzących do jego duszy w sposób niewytłumaczony. Przecież i we śnie ludzie naprawdę nie słyszą, ale wydaje im się, że tak jest, bo mają wrażenie odbierania i rozumienia jakichś dźwięków, słów, pojęć. Zresztą są tacy, którzy śpiąc doznają rzeczywiście jakiegoś olśnienia, bo ciała ich znajdują się wówczas w ciszy i ukojeniu. A tymczasem na jawie nie można słyszeć głosu wyższych istot, bo człowieka dręczy i napastuje zgiełk namiętności, porywają go twarde konieczności życiowe, nie ma więc sposobu zwrócenia zmysłów ku temu, co objawiają bogowie. Jednakże umysł Sokratesa był całkowicie czysty, wyzbyty wszelkich pożądań, z ciałem zaledwie związany; toteż nic dziwnego, że był tak wrażliwy i czuły, odbierając od razu wszelkie wezwania. Ale jakież to były owe wezwania? Oczywiście nie dźwięki mowy, lecz pewne słowa ducha opiekuńczego, który bezgłośnie kontaktował się z umysłem, przelewając samą treść spraw objawianych. A musimy pamiętać, że umysł istoty wyższej wpływa na czułą duszę ludzką bez fizycznego kontaktu, tylko przy pomocy jakby dotknięcia jej swoją wolą. Można posłużyć się porównaniem: ogromny, ciężki okręt posłusznie poddaje się każdemu ruchowi małego steru, a garniarz bez wysiłku obraca duże koło lekko dotykając go palcami. A przecież ani okręt, ani też koło duszy nie mają; są jednak tak zbudowane, tak gładkie i zwrotne, że natychmiast idą, jak i gdzie im się każe. Nasza zaś dusza jest ponad wszelkie porównania ruchliwsza i zwrotniejsza od jakichkolwiek urządzeń sporządzonych ludzką ręką; więc jeśli dotknie się tej duszy w sposób umiejętny, natychmiast otrzymuje ona pchnięcie w kierunku wskazanym przez myśl. Nasze kości, ścięgna i mięśni są pozbawione czucia i wodniste. Ale jeśli tylko dusza czegoś zapragnie, cała ta masa, ciężka i nieruchawa, natychmiast zrywa się do działania. Trudno jest przejrzeć ten mechanizm, w jaki sposób się to dzieje, ale skutki są widoczne.

Po tych słowach Symiasz zamilkł na chwilę; obecni patrzyli na starca, który rzadko pozwalał sobie na długie wywody, w ciszy i skupieniu. Chory odpoczął i znowu zabrał głos:

– Wielu ludzi godzi się na to, że śpiąc otrzymujemy jakieś tajemne znaki i ostrzeżenia, stanowczo natomiast odrzuca pogląd, że duch może komunikować się z nami na jawie. A tymczasem rzecz w tym, że duch nie może kontaktować się z ludźmi czuwającymi, bo są oni zakłopotani i pochłonięci innymi sprawami. A od tego właśnie wyzwolił się Sokrates, i to własną pracą. Kiedy był dzieckiem, jego ojciec zwrócił się do wyroczni. Bóg odpowiedział: niech chłopiec czyni, co mu się podoba; nie wolno do niczego nakłaniać go i zmuszać, należy pozostawić go sobie samemu; wypada tylko modlić się zań do Zeusa, opiekuna agory, i do

Muz; bo Sokrates ma lepszego Opiekuna swego życia od wszystkich nauczycieli i pedagogów.

Taki jest mój pogląd na sprawę ducha opiekuńczego Sokratesa. A to, co niektórzy opowiadają o jakichś głosach wieszczych i kichnięciach, uważam za zwykłe baśnie. Można by jeszcze wspomnieć tu o tym, co słyszałem w tej materii od Tymarcha z Cheronei. Ale w moim rozumieniu bardziej to podobne do jakichś mitów i fantastycznych opowieści niż do historycznej prawdy.

Te ostatnie słowa ogromnie zaciekały Teokryta, który jako wieszczbiarz zawsze rad był słyszeć o wszystkim, co niezwykle i tajemnicze. Toteż zaraz zakrzyknął:

– Nie, nie, opowiedz nam o tym dokładnie! Bo przecież i mity, choć nie całkiem ściśle, to jednak w jakiś sposób dotyczą rzeczywistości. A przede wszystkim objaśnij nas, kto to taki ów Tymarch z Cheronei, bo jak dotąd nigdy o nim nie słyszałem.

– Nic dziwnego, Teokrycie – odparł Symiasz – bo przecież zmarł on bardzo młodo. Przed śmiercią prosił Sokratesa, aby pochował go przy Lamproklesie. Był to najstarszy syn Sokratesa, rówieśnik Tymarcha i przyjaciel; i tak się właśnie złożyło, że zmarł kilka dni przed nim. Otóż ów Tymarch pragnął za wszelką cenę poznać, jaką to właściwie moc ma duch opiekuńczy Sokratesa. A ponieważ był człowiekiem młodym i dopiero co wtajemniczonym w filozofię, działał z wielką energią. Mnie tylko i Kebesowi powiedział, co ma zamiar uczynić: oto dopełnił wszystkich nakazanych obrzędów i zstąpił do jaskini Trofoniosa. Przebywał tam, w podziemnych mrokach, przez całą noc, cały dzień, i jeszcze przez jedną noc. Wszyscy byli pewni, że przepadł, że zmarł. Jego bliscy już go oplakiwali. Dopiero o brzasku drugiego dnia wyszedł na światło dzienne, i to promieniejąc radością. Złożył najpierw hołd bogu Trofoniosowi, potem wymknął się jakoś ciżbie ciekawskich i zaczął nam opowiadać, jakie to zadziwiające rzeczy widział i słyszał w świecie wiecznej nocy.

Wyrocznia Trofoniosa

Idąc z Teb na zachód mija się najpierw miasto Halliartos nad brzegiem jeziora Kopais. Droga wiedzie jeszcze czas jakiś wzdłuż wybrzeży, a potem wychodzi na szeroką równinę, przez którą wiją się ku jezioru liczne potoki. Płyną one od południa, z lesistego pasma Helikonu, oraz od zachodu, z masywu skał Parnasu.

W łańcuch Helikonu wrzynają się głęboko dwie doliny. W pierwszej z nich leży miasteczko Koroneja, w drugiej zaś, zachodniej, Lebadeja. Ta ostatnia zbudowana jest u stóp stromo spadającej góry, u wejścia do przepaścistego wąwozu; wyłobiony on został wśród dzikich skał przez potok Herkina. Jest to jedna z najbardziej malowniczych miejscowości w całej Helladzie. Szczególne wrażenie czyni kontrast pomiędzy zieloną, pogodną równiną, która rozciąga się u stóp miasteczka ku północy, a wąskim ponurym wąwozem, z którego wydziera się spieniony potok górski. Wąwóz ten wydaje się jakby bramą do innego świata. Toteż łatwo zrozumieć, dlaczego tu właśnie mieściła się jedna z najślawniejszych wyroczni Hellady, prastary przybytek Trofoniosa.

Powaga Trofoniosa była wielka nawet wówczas, gdy zamilkły już i opustoszały inne wyrocznie. Jeszcze w pięćset lat po przygodzie Tymarcha zwiedzał Lebadeję podróżnik, który zastał to miasto kwitnące, a przybytek tłumnie odwiedzany. Podróżnikiem był Pauzaniusz, którego relacje już kilkakrotnie przewijały się na kartach tej książki. Oto zasadnicza treść jego opisu Lebadei:

Miasto pod względem świetności zdobiących je dzieł sztuki może się równać z pierwszymi w Helladzie. Od gaju Trofoniosa dzieli je rzeka Herkina. Powiadają, że pewnego razu Persefona, córka bogini Demeter, bawiła się tu z dziewczyną, a imię jej brzmiało właśnie Herkina. Goniły gęś, która uciekła Herkinie z rąk. Ptak schował się w głębokiej jaskini za kamieniem. Persefona weszła tam śmiało i odsunęła kamień, a w miejscu tym wytrysnęło źródło: dano mu

nazwę od przyjaciółki bogini. Jest też nad samą rzeką świątynka, a w niej posąg dziewczyny z gęsią na ręku.

Same źródła rzeki biją w jaskini, w której ustawiono posągi wsparte o berła; wokół owych berła owinięte są węże. Można by więc na tej podstawie przypuszczać, że są to posągi Asklepiosa i Hygiei; ale wyobrażają one raczej Trofoniosa i Herkinę, bo węże są również ich świętymi zwierzętami. W gaju zaś najbardziej godna uwagi jest świątynia oraz posąg Trofoniosa, także przypominający Asklepiosa; wyrzeźbił go Praksyteles. Jest tam też kaplica Demeter z przydomkiem Europa, a pod gołym niebem posąg Zeusa z przydomkiem Deszczowy.

Kiedy podchodzi się do wyroczni i stamtąd idzie ku górze, mija się świątynię Kory i Zeusa Króla; ale jej budowę przerwano w połowie, albo z powodu trudności, albo też skutkiem ciągłych wojen. W innej świątyni są posągi Kronosa, Hery, Zeusa. Jest też świątynia Apollona.

A co do samej wyroczni, to rzecz tak się przedstawia:

Kto postanowi zstąpić do Trofoniosa, najpierw musi spędzić kilka dni w specjalnym pomieszczeniu: jest to świątynia Dobrego Ducha i Dobrego Losu. Tam przebywając oczyszcza się rozmaitymi sposobami. Nie wolno mu brać gorących kąpiel; obmywa się tylko wodą rzeki Herkiny. Otrzymuje dużo mięsa ze zwierząt ofiarnych, które składa Trofoniosowi i jego dzieciom, a także Apollonowi, Kronosowi, Zeusowi z przydomkiem Króla, Herze Powożącej, Demeter z przydomkiem Europa, która była ponoć piastunką Trofoniosa. A przy każdej ofierze obecny jest wróżbita. Ten ogląda wnętrzności zwierząt i zapowiada, czy Trofonios jest życzliwy i czy łaskawie przyjmie osobę, która zamierza doń zstąpić. Ale najwyraźniej objawiają wolę Trofoniosa wnętrzności barana, którego zarzyna się tej samej nocy, kiedy pytający ma się udać do przybytku boga; a zarzyna się go tuż nad samym otworem zejściowym wzywając wciąż imienia Agamedy, który był bratem Trofoniosa. Jeśli ta ostatnia ofiara nie wypadnie dobrze, to na nic są wszystkie poprzednie, nawet pomysłne.

Gdy wszystko się powiedzie, zasięgający rady wyroczni zstępuje w dobrej myśli. Najpierw prowadzą go nad rzekę Herkinę, a tam namaszczają go oliwą i obmywają dwaj chłopcy, mieszkańcy miasta, liczący po lat trzynaście; tych chłopców nazywają Hermesami. Stąd jednak nie od razu wiodą go do wyroczni, lecz najpierw do źródła. Są to właściwie dwa źródła, blisko siebie tryskające. Wpierw pije z tego, które zowie się Lete i które daje zapomnienie wszystkiego, co dotąd powodowało troski; potem zaś czerpie wodę Mnemozyny, aby pamiętać wszystko, co zobaczy pod ziemią. Następnie ogląda posąg, który, jak twierdzą, jest dziełem samego Dedala; kapłani pokazują posąg ów tym tylko, którzy mają zstąpić pod ziemię. Modli się więc przed tym posągiem, a potem dopiero idzie do wyroczni, odziany w szaty lniane, przepasany wstęgami, obuty po miejscowemu.

Sama wyrocznia położona jest nad gajem, na zboczu góry. Krąg białych kamieni otacza postument wielkości zwykłego klepiska; na nim stoją dwa słupy spiżowe, pomiędzy którymi rozpięta jest jakby krata, pod nią zaś znajdują się drzwi. Wchodzi się przez te drzwi do bardzo starannie wyłobionej jamy; jest ona podobna do piekarniczego pieca, o szerokości czterech, wysokości zaś ośmiu łokci. Schodzi się do niej nie po schodach, lecz po drabinie za każdym razem specjalnie podstawianej, wąskiej i lekkiej. Na samym dole komory otwiera się bardzo wąska szczelina. Trzeba położyć się na ziemi, trzymając w ręku placki z miodem. Najpierw wkłada się do szczeliny stopy, a potem nogi aż do kolan; i natychmiast jakby jakiś gwałtowny potok porywa i wciąga całe ciało.

Przyszłość odsłania się nie zawsze w ten sam sposób. Jeden ma widzenia, inny zaś słyszy jakieś głosy. Wychodzi się na wierzch przez ten sam otwór, i znowu nogi są pierwsze. Twierdzą, że nikt z tych, co zstąpili, nie zginął w podziemiu, prócz jednego tylko człowieka, który nie dokonał przepisanych obrzędów, a poszedł do wyroczni nie dla dowiedzenia się czegośkolwiek, lecz w nadziei, że znajdzie tam skarby. Zwłoki tego człowieka zostały wyrzucone w zupełnie innym miejscu.

Każdego, kto powróci z podziemi, kapłani sadzają na tronie Mnemozyny, stojącym niedaleko wejścia. Wywiadują się następnie, czego doznał w przybytku. Dopiero potem oddają go bliskim, a ci wiodą go do świątyni Dobrego Ducha i Dobrego Losu. A kto stamtąd przychodzi, jest jeszcze ogromnie przerażony i niepomny ani siebie samego, ani też osób stojących obok. Powoli jednak odzyskuje pełną świadomość.

Przy końcu swego opisu Pausaniasz dodaje:

„Mówię nie tylko to, czego się dowiedziałem od innych, lecz i co sam doświadczyłem, bo i ja zstąpiłem do wyroczni Trofoniosa. A wszyscy, którzy tam byli, mają obowiązek opisać swoje widzenie na tablicy i zawiesić ją w świątyni¹⁸.

Pausaniasz więc daje rzeczową relację o świątyni i wyroczni, milczy jednak o swoich własnych doznaniach. Natomiast prawie współczesny mu Apollonios z Tiany, rzekomy cudotwórca i mędrzec, chełpił się:

– Zstąpiłem do wyroczni Trofoniosa wbrew woli jego kapłanów, bez ofiar, w zwykłym odzieniu. Chciałem dowiedzieć się, jaki kierunek filozofii jest najlepszy. Powróciłem z podziemia dopiero po siedmiu dniach, a wyszedłem na światło dnia nie w Lebadei, lecz w odległej Aulidzie, położonej nad samym morzem. W rękę trzymałem księgi o filozofii Pitagorasa, bo tę Trofonios uznał za najwłaściwszą. A swoich kapłanów bóg upomniął, żeby nie czynili mi żadnych wymówek¹⁹!

Ta jedna wypowiedź pięknie pokazuje, jakim to łgarzem i samochwalcą był ów Apollonios.

Tak wyglądała wyrocznia Trofoniosa, i takie to opowiadano o niej niezwykłości. Że sięgała ona czasów pradawnych, to rzecz oczywista; kult bowiem bóstw i sił podziemnych cechował właśnie wierzenia najstarszych mieszkańców Hellady. To zaś, co mity mówią o samym Trofoniosie, wiąże go ściśle z epoką mykeńską. Rzecz ciekawa, owe mity znają Trofoniosa nie jako kapłana lub wróżbitę, lecz przede wszystkim jako wielkiego budowniczego. Urodzić się miał w Orchomenos, mieście, które w czasach mykeńskich należało do najmniejszych w Beocji i długo walczyło z Tebami o pierwszeństwo nad tą krainą; pokonał Orchomeńczyków dopiero Herakles lub – jak twierdzili niektórzy – król Edyp. Wiele świetnych budowli w Beocji przypisywano właśnie Trofoniosowi; wznosić je miał wspólnie ze swym bratem Agamedem. Tak więc w samych Tebach ci dwaj architekci zbudowali dom, w którym później Alkmena powiła Heraklesa, a w nadmorskim mieście Beocji, w Hyrii, wzniesli dla króla skarbiec. Wiadomo jednak, że późniejsi Hellenowie nazywali skarbcami mykeńskie groby kopułowe, nie domyślając się ich dawnego przeznaczenia; mówiliśmy już poprzednio, że w samych Mykenach jeden z grobów, i to właśnie ów najwspanialszy, otrzymał nazwę „skarbcza Atreusa”. Wynika stąd, że również i w Hyrii istniał niegdyś grób kopułowy. Nie był on zresztą jedyny na terenie Beocji, bo aż do naszych czasów zachował się częściowo wielki grób kopułowy w samym Orchomenos; nosi on nazwę „skarbcza Miniasa”. Pokazywano go już Pausaniaszowi, a w roku 1880 prowadził tu wykopaliska sam Schliemann.

Ale Trofonios budował nie tylko w Beocji, lecz i na Peloponezie. W Elidzie wznosił ponoć „skarbiec” dla króla tej krainy Augiasza, w Arkadii zaś świątynię boga Posejdona. Architekt tak sławny otrzymał wreszcie, wraz ze swym bratem, zaszczytną misję od samego boga Apollona: zbudowania okazałej świątyni w umiłowanych przezeń Delfach; powiadano zresztą, że to Apollon był prawdziwym ojcem Trofoniosa. Budowniczości wywiązali się ze swego zadania znakomicie i prosili, aby bóg dał im w nagrodę to, co niebianie mogą dać śmiertelnym najlepszego. Apollon przyrzekł, że otrzymają zapłatę po siedmiu dniach; siódmy dzień każdego miesiąca był poświęcony Apollonowi. A kiedy Trofonios i Agamed ułożyli się w siódmym dniu do snu, zasnęli na wieki. Bóg spełnił swoje przyrzeczenie.

¹⁸Pausaniasz, *Opis Grecji*, IX 39.

¹⁹Filostrad, *Żywot Apollonisa z Tiany*, VIII 19.

Różnie uzasadniano, dlaczego właśnie Lebadeję obrał Trofonios jako miejsce swej wyroczni. Niektórzy utrzymywali, że tutaj żywcem pochłonęła go ziemia, inni zaś, że w Lebadei zbudował sobie podziemny dom. Ale wszystkie te opowieści nie mają większego znaczenia; ważne jest to tylko, że osadzone są w mykeńskiej epoce.

Co objawiła Tymarchowi wyrocznia

Plutarch włożył w usta Symiasza dokładny opis rzekomych doznań Tymarcha po zstąpieniu do podziemia. Trzeba jednak stwierdzić, że opis to bardzo niejasny, miejscami wręcz niezrozumiały, choć nie pozbawiony poetyckiego piękna. Oto streszczenie jego początku:

Najpierw otoczyła mnie zupełna ciemność. Potem pomodliłem się i długi czas leżałem niezbyt sobie zdając sprawę, czy czuwam, czy też śnię. Wydało mi się jednak w pewnej chwili, że uderzono mnie w głowę, aż coś trzasnęło. Wówczas spojenia czaszki jakby się rozstały i uwolniły duszę. A ona, kiedy wyszła z ciała i mieszała się z powietrzem czystym i przejrzystym, czyniła wrażenie, że oddycha po długim pobycie w ciasnym miejscu. I stawała się też coraz większa, jak żagiel, który się rozwija. Potem zaś zaczęła się wsłuchiwać w przyjemny głos idący od jakiegoś wiru w górze. Kiedy spojrzałem na ziemię, nie zobaczyłem jej w ogóle. Widziałem natomiast wyspy oświetlające się wzajem łagodnym ogniem i wciąż zmieniające barwę, blask bowiem nieustannie przybierał inny kolor. Liczba tych wysp wydawała się nieskończona, wielkość ich różna, kształt jednak ten sam, okrągły. Miałem wrażenie, że kiedy krążą one ruchem kolistym, powodują delikatny dźwięk; bo łagodność głosu ich wszystkich była zgodna z lekkością ich ruchu. Pośrodku rozciągało się morze czy też jezioro, które przeświecało wszystkimi barwami poprzez swoją niebieskawość. Niektóre z wysp wypływały z cieśniny i prąd znosił je na drugą stronę, inne natomiast, i tych było więcej, szły razem z prądem, bo morze także przesunęło się, równomiernie i spokojnie. Było to morze najgłębsze w części południowej, gdzie indziej natomiast widne były płycizny i mielizny, w niektórych zaś miejscach wody wylewały i cofały się. Barwa wód również była różnorodna: tu czysta i morską, tam znowu brudnawa jak w sadzawce. Wyspy zaś pływające nie wracały do miejsca, z którego wyruszyły, lecz z każdym nowym obrotem nieco zmieniały swój tor, opisując spirale. Mniej więcej pośrodku morze było nieco wygięte, o niecałą ósmą część, i tam właśnie wpływały dwie rzeki ognia; to sprawiało, że morze musiało ustępować daleko do tyłu, pieniło się i z niebieskiego stawało białe.

Kiedy jednak spojrzałem w dół, ujrzałem ogromną, okrągłą czeluść, w której mrok jakby się kłębił i niemal wylewał poza brzegi. Dobywały się stamtąd jęki i wycia mnóstwa różnych istot. Można by rozróżnić kwilenie niemowląt, narzekania mężczyzn i kobiet, jakieś głosy zgiełkliwe. Przeraziłem się bardzo. Wkrótce jednak usłyszałem głos niewidzialnej istoty:

– I czegoż to, Tymarchu, chciałbyś się dowiedzieć?

– Wszystkiego – odpowiedziałem – bo wszystko jest tutaj zdumiewające!

– To, co jest w górze, niewiele nas dotyczy, bo innych to bogów władztwo. Możesz jednak oglądać tę część królestwa Persefony, którą my rządzymy; jest zaś tych części cztery, a ich granice stanowi rzeka Styks.

Zapytałem:

– Czym jednak właściwie jest ów Styks? Niewidzialny głos odrzekł:

– Jest drogą do Hadesu!

W ten więc sposób głos rozpoczął objaśnianie tajemniczych zaświatów. Dla nas jednakże owe objaśnienia są chyba jeszcze bardziej mgliste i niezrozumiałe od samej Tymarchowej wizji, bo osłania je język mistyki i wieloznacznych określeń. Ma to czynić wrażenie wypowiedzi odkrywających najgłębsze tajnie bytu i ducha, a tymczasem jest tylko sztucznym

przemieszczaniem starych mitów z naukami pitagorejczyków, ze schematami astrologów i koncepcjami ducha i duszy, wytworzonymi w późniejszej szkole Platona. Brak wszystkim tym wywodom nawet lekkiego połysku poetyckiego piękna.

Tak sądzimy o tym my, porównując starsze i późniejsze opisy zejść – czy też wzlotów – w zaświaty. Jednakże ci, co słuchali Symiasza, byli innego zdania; zwłaszcza Epaminondas, uczeń pitagorejczyka Lizysa, był głęboko przekonany, że cała ta opowieść odsłania coś bardzo świętego i czcigodnego. Kiedy więc Symiasz skończył, zaczął się rozwodzić nad tym długo i szeroko; było to nawet wbrew jego zwyczajowi, uchodził bowiem za milczka, w każdym zaś razie za człowieka, który więcej wie, niż skłonny jest objawić; tak sądził nawet rodzony ojciec Epaminondasa. Wszystko jednak, co mówił, zmierzało do takiej konkluzji: istnieją duchy opiekuńcze (jak ów Sokratesa), ale nie wszystkim one ludziom pomagają, lecz tylko tym, którzy po wielu tysiącach narodzin w różnych ciałach, po wielkich walkach i trudach, dochodzą do najwyższego celu swych zmagañ, to jest do stanu niemal boskości.

Swoje wywody Epaminondas zakończył jednak dość raptownie i zaraz, prawie bez przejścia, zwrócił się do swego brata Kafizjasza:

– Myślę, mój drogi, że czas już na ciebie! Idź do gimnazjonu i nie zostawiaj tam przyjaciół samych. A ja, jeśli obecni tu pozwolą, również wyjdę, żeby nadal pomagać Teanorowi w załatwianiu jego spraw!

Wszystko to było powiedziane bardzo naturalnie, nie mogłoby więc wzbudzić niczyjego podejrzenia, nawet gdyby donosiciel znajdował się w domu Symiasza. A przecież Epaminondas nie należał do spisku! Toteż Kafizjasz od razu pochwycił sposobność. Powiedział:

– Oczywiście, najlepiej będzie, jeśli pójdę do gimnazjonu.

Ale wpraw chciałbym zamienić kilka słów z tobą na osobności. A także, jak mi się zdaje, mają do ciebie jakąś sprawę Teokryt i Galaksydor!

– Proszę bardzo – odparł Epaminondas. Wszyscy czterej wyszli z pokoju na dziedzińczyk. Teokryt, a za nim Kafizjasz zaczęli gorąco namawiać:

– Chodź z nami, przyłącz się do sprzysiężenia, to już ostatnie chwile!

Ale Epaminondas był niewzruszony. Odpowiedział im bez ogródek:

– Doskonale wiem o tym, że siedmiu dziś jeszcze będzie w Tebach. Ja i Gorgidas jesteśmy w pogotowiu. Uczynimy dla was wszystko, prócz jednego: nie zabijemy nikogo z naszych współobywateli bez wyroku sądowego. A pamiętajcie jeszcze o jednym: gdy będzie już po wszystkim, ktoś musi być bez winy, czysty od krwi i zmayı!

Księga szósta

LITERATURA I POLITYKA

Cóż jest dla państwa groźniejszego od tyranii? Nie ma wówczas, i to jest najważniejsze, praw, które by dla wszystkich były takie same. Władza jednostka, ona sama jest prawem, a właśnie to jest niesprawiedliwe. Natomiast tam, gdzie obowiązują prawa spisane, zarówno ubogi, jak i bogacz równi są przed sądem. Człowiek ubogi, sponiewierany przez bogacza, może go pozwać – i wygra sprawę, jeśli tylko słuszność po jego jest stronie. Wolność zaś na tym polega: kto chce, przedstawia swój pożyteczny pomysł całej społeczności i zyskuje sławę – kto zaś nie chce, ten milczy!

(Według Eurypidesa, *Błagalnice*, w. 429 – 441)

Ajschylos i Teby

W roku 467 p.n.e. Ajschylos wystawił w Atenach trylogię dramatyczną. Jej poszczególne części nosiły tytuły: *Lajos*; *Edyp*; *Siedmiu przeciw Tebom*. Do naszych czasów zachowała się tylko ta część ostatnia. Treść dramatu jest prosta, poważna, dostojna.

Eteokles przemawia do ludu zgromadzonego na zamkowym wzgórzu, na Kadmei:

– Dziś każdy musi stanąć w obronie miasta i bogów ojczystych, dzieci i ziemi! Oblężenie trwa już długo i wróg niczego dotąd nie osiągnął, przepowiedział jednak nieomylny wróżbita, Tejrezjasz, że tej właśnie nocy Argiwczyzy przypuszczą szturm na mury. Trzeba więc co rychlej obsadzić wieże, blanki i bramy!

Wchodzi zwiadowca i zdaje sprawę:

– Widziałem na własne oczy, jak siedmiu wodzów zebrało do wklęsłej tarczy krew byka. Wszyscy umoczyli w niej swe prawice i złożyli przysięgę, że zburzą Kadmeję lub zginą. Byli smutni, lecz mężni i gotowi na wszystko. Właśnie wymykałem się chyłkiem, kiedy tamci losy rzucali, przeciw której bramie który z nich stanie. Ale oto już pędzą zastępy argiwskie, już podnoszą się tumany kurzu na równinie, a na ziemię spada śnieżna piana z końskich pysków! Eteokles i jego drużyna pospiesznie wychodzą, na scenę zaś wbiega chór kobiet tebańskich. Przerażone niewiasty biadają nad grozą wojny i błagają bogów o ratunek dla miasta. Powraca król i ostro gani te płaczliwe narzekania, popłoch i bieganinę, co tylko wzbudzają próżną trwożę i przeszkadzają w obronie. Woła:

– Rzeczą mężczyzny jest walczyć i bogom składać ofiary, kobieta zaś powinna milczeć i domu pilnować!

Potem zaś sam Eteokles każe wysłuchać chórowi swej modlitwy:

– Mówię to ojczystym bogom, którzy strzegą naszego miasta, rolę się opiekują i nad rynkiem czuwają; mówię to też źródłom Dirki i wodzie Ismenu: jeśli los będzie nam sprzyjał i miasto ocaleje, ja przed świątyniami złożę zdarte z najeźdźców zbroje i szaty!

Wzywa następnie kobiety:

– W taki to sposób módlcie się do bogów, bez jęków, bez dzikich okrzyków. Bo i na cóż one się zdadzą? Przeznaczeniu i tak nikt nie ujdzie.

Znowu wbiega posłaniec. Przynosi dokładne wiadomości, którzy to książęta będą szturmować poszczególne bramy, opisuje też, jak są uzbrojeni i jak się zachowują przed wyruszeniem do walki. Eteokles kilkakrotnie przerywa tę opowieść, by wyrazić swoje uwagi o każdym z przeciwników; zarazem wyznacza obrońców siedmiu bram. Ta rozmowa jest chyba najpiękniejszą częścią dramatu, jednocześnie zaś – jak poprzednio spór z przerażonymi kobietami – daje poznać króla jako władcę mądrego i rozważnego, który doskonale ocenia wady i zalety ludzi.

Oto co mówi Eteokles o Amfiaraosie:

– Nieszczęsny to los skojarzył męża sprawiedliwego z bezbożnikami. We wszelkiej sprawie nie ma nic gorszego od złych towarzyszy; precz trzeba odrzucić owoc takiej wspólnoty, śmierć tylko jest plonem roli przeklętej. Bywa, że człowiek bogobojny wejdzie na okręt, którego załogą są zbrodniarze, gotowi na wszystko; ginie więc razem z nimi, nienawistnymi bogom. Bywa też, że ktoś sprawiedliwy musi współżyć w jednym państwie z ludźmi, którzy ani gościny obcemu nie użyczą, ani też o bogach nie pamiętają. I jego więc, kiedy czas przyjdzie, jedna sieć ogarnie, zginie razem z winnymi, ugodzi go ten sam cios z ręki bogów. Tak i ów wróżbita – mówię o Amfiaraosie, synu Ojkieosa – człowiek to mądry, sprawiedliwy, szlachetny, pobożny, wieszcz zaś znakomity. Gwałt zadając swemu sercu przyłączył się do ludzi bezbożnych i w mowie zuchwałych, którym się wydaje, że będą mogli z powrotem przemie-

rzyć tę długą drogę, która tu ich przywiodła. Lecz i on także, za wolą Zeusa, razem z nimi runie w przepaść!

Posłaniec opisuje następnie, jak zachowuje się Polinejkes. Pragnie on wdrzeć się na wieże murów, aby wreszcie zostać władcą tej ziemi; a ponura by to była pieśń zwycięstwa, którą on by odśpiewał. Nade wszystko jednak pożąda Polinejkes walki z bratem. Chce go zabić, nawet za cenę własnego życia. A jeśli nie śmiercią, to przynajmniej wygnaniem zapłaci mu za lata poniewierki na obcej ziemi! O wszystkim tym mówi Polinejkes wielkim głosem, bogów zaś, opiekunów swego rodu i rodzinnej ziemi, przywołuje ku pomocy.

Eteokles odpowiedział na te słowa smutnym stwierdzeniem:

– Tak więc spełnia się klątwa ojca, prawdziwie nieszczęsny jest ród Edypa!

I zapowiada król, że on sam stanie przeciw bratu, broniąc tej właśnie bramy, na którą uderzy Polinejkes. Wtedy dopiero okaże się, czy ziści się dumne hasło, które wygnaniec kazał wyrycić i wypisać na swej okrągłej, złocistej tarczy: jest tam mężczyzna w pełnej zbroi, którego prowadzi dostojna kobieta. Sprawiedliwość, mówiąc: „Wwiodę tego męża do miasta i znowu posiadzie dom ojczysty!” Jednakże Eteokles jest przekonany, że owa Sprawiedliwość nigdy naprawdę nie była towarzyszką jego brata. Dlatego nie lęka się zmierzyć z Polinejkiem. Któż zresztą inny mógłby to uczynić? Tak właśnie wypada: wódz stanie przeciw wodzowi, brat przeciw bratu, wróg przeciw wrogowi!

Chór błaga Eteoklesa, by tego nie czynił, bo zmazy bratobójstwa nie zmyje żadna ofiara. Król jednak pragnie śmierci, świadom nieszczęścia swego rodu:

– Czarna, nienawistna klątwa mego ukochanego ojca stoi tuż przy mnie. Suche jej oczy, bez łez. I mówię, że jest coś cenniejszego od śmierci, która i tak przyjdzie.

Odchodzi więc Eteokles, a towarzyszą mu skargi i biadanie chóru nad klęską domu Lajosa i Edypa.

Posłaniec zwiastuje:

– U wszystkich sześciu bram zwyciężyli obrońcy. U siódmej obaj bracia polegli z własnej ręki.

Dramat, a więc i całą trylogię, zamykają biadania chóru nad królewskimi dziećmi, które spadek po ojcu dzieliły między sobą żelazem.

Fenicjanki

Tragedię Eurypidesa *Fenicjanki* wystawiono w Atenach zapewne po roku 412 p.n.e. Przedstawia ona te same wypadki, które są treścią dramatu Ajschylosa, ale w sposób zupełnie odmienny i w innej, by tak rzec, tonacji.

Jak wszystkie dramaty Eurypidesa, tak i ten rozpoczyna się od prologu, który zaznajamia widza z sytuacją i z przesłankami akcji. Mówi Jokasta, kreśląc obraz nieszczęść domu Lajosa i Edypa. Tak, według Eurypidesa Jokasta żyje, nie popełniła samobójstwa, jak to przedstawia Sofokles w *Królu Edypie*.

– Oto – zapowiada Jokasta – podchodzi pod miasto na czele wojsk argiwskich Polinejkes, którego niegdyś wygnał Eteokles. Ja jednak sprawiłam, że bracia spotkają się tutaj, przed pałacem. Może więc uda się doprowadzić do zgody!

Po odejściu Jokasty na scenie pojawia się starzec, opiekun Antygony, potem zaś i ona sama. Oboje stoją na wysokim dachu, skąd dobrze widzą nadciągające drużyny siedmiu książąt. Z ich to rozmowy słuchacze dowiadują się, kim są i jak wyglądają owi nieprzyjacielscy wodzowie. Kiedy jednak zbliżają się jakieś obce kobiety, Antygona i starzec szybko odchodzą do pałacu, bo – jak twierdzi piastun – ród niewieści skłonny jest do plotek i obmowy, nawet z powodu drobnostki; dziwną to rozkosz sprawia kobietom, nawzajem źle mówić o sobie!

Scenę wypełnia chór dziewcząt. Przybyły one z daleka, aż z Fenicji, aby służyć Apollonowi w Delfach, lecz wojna zaskoczyła je w Tebach. Od tego to właśnie chóru Fenicjanek pochodzi tytuł dramatu. Wkrótce potem przybywa, zgodnie z zapowiedzią Jokasty, Polinejkes. Kiedy chór dowiaduje się, kim jest młody rycerz, wywołuje królową z pałacu. Matka wita syna ze wzruszeniem. Wyraża żal, że nie mogła uczestniczyć w obchodach ślubnych, kiedy Polinejkes brał żonę w obcej ziemi. On zaś wyznaje:

– Bałem się przyjść tutaj, bo przecież brat mógł zwabić mnie w zasadzkę. Zawierzyłem jednak twojej poręce i uroczystym układom. Zresztą – przywiodła mnie tęsknota do ojczyzny. Ze łzami w oczach patrzę na miejsca, gdzie się wychowywałem. Wyrzuciło mnie stąd bezprawie!

W rozmowie z matką Polinejkes wyrzeka na nędzny los wygnańca. Opowiada dzieje swej tułaczki, a także, w jaki to sposób trafił do domu Adrastosa i został jego zięciem. Obecnie jednak pragnie nade wszystko zgody i błaga matkę o pośrednictwo.

Kiedy więc stawia się na spotkanie Eteokles, Jokasta próbuje wszelkich środków namowy, aby doprowadzić do pojednania. Przedstawia swoje racje najpierw Polinejkes:

– Mieliśmy panować zmieniając się co roku. Ty jednak nie chciałeś zrzec się władzy. Mimo to gotów byłbym i teraz przystać na takie warunki. Wojska, które przysły tu ze mną, odprawię natychmiast!

Eteokles zaś wyznaje otwarcie:

– Poszedłbym i na skraj nieba, i w głąb ziemi bym zstąpił, gdybym mógł w ten sposób zdobyć wielką władzę bogów. Nie wyrzeknę się panowania, bo niegodne by to było mężczyzny. Zresztą i dla Teb byłaby to hańba, gdybym ustąpił ci berła z obawy przed mykeńską włóczęgą!

Na próżno matka wzywa do zgody, na próżno piętnuje Eteoklesową pychę i ostrzega, jakim nieszczęściem jest wojna. Spór pomiędzy braćmi staje się coraz ostrzejszy. Wreszcie Eteokles rozkazuje Polinejkowi opuścić miasto bezzwłocznie. Nie pozwala mu nawet zobaczyć się z ojcem i siostrami.

Z Kreonem, bratem swej matki, Eteokles omawia sprawy obrony miasta. Mówi wprost, że chciałby zetrzeć się w walce ze swym bratem. Gdyby on sam zginął, przekazuje Kreonowi sprawy państwa i opiekę nad całą rodziną. Przykazuje mu, aby swego syna Hajmona ożenił z Antygoną. Zwłok Polinejka pod żadnym warunkiem nie wolno chować w ziemi tebańskiej; kto by odważył się to uczynić, musi umrzeć.

Zaraz po wyjściu Eteoklesa wchodzi ociemniały wieszcz Tejrezjasz, prowadzony przez Kreonowego syna, Menojkeusa. Wyjawia Kreonowi wszystko, co wie – choć przed Eteoklesem by milczał, niegdyś bowiem obaj bracia wzgardzili jego przepowiedniami. Mówi:

– Zbliża się zguba synów Edypa, z własnej zginą ręki. Bitwa będzie krwawa. Tebom grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Kreon nalega:

– Wskaż, co może ocalić nasz kraj od klęski!

Tejrezjasz jednak nie chce odsłonić tajemnicy. Wreszcie, ustępując przed natarczywością Kreona, zdobywa się na odwagę:

– Teby może uratować tylko Kreon, jeśli zabije swego syna Menojkeusa!

Jakaż przyczyna tego żądania bogów? Tejrezjasz i to wyjaśnia:

– Menojkeus musi swoją krwią skropić jaskinię, gdzie tryska źródło Dirki. Niegdyś mieszkał tam smok, powalony przez Kadmosa. Należał on do Aresa, i tylko za cenę takiej ofiary uśmierzy swój gniew bóg wojny.

Kreon jednak nie chce poświęcić swego ukochanego syna, nawet dla zbawienia ojczyzny. Wzywa go, by uciekał z kraju, i Menojkeus na to przystaje. Zaledwie jednak Kreon odszedł, by przygotować wszystko do ucieczki syna, Menojkeus wyznaje chórowi, że oszukuje ojca:

– Oddam swoje życie, żeby miasto ocalić. Stanę na murach, mieczem się przebiję i runę w dół, wprost ku owej jaskini. Bo hańbą by to było, gdybym miał mój kraj jak tchórz opuszczać. A jest obowiązkiem każdego dać z siebie wszystko najlepsze dla dobra państwa.

Po jego odejściu chór przypomina dwa wielkie nieszczęścia Teb z niedawnej przeszłości: pierwszym był ów skrzydlaty potwór, który porywał ludzi, drugim zaś przybycie Edypa, jego kazirodcze małżeństwo i przekleństwo rzucone na synów.

Wbiega goniec, który wywołuje Jokastę z pałacu i oznajmia:

– Szturm na mury odparty. Obaj bracia żyją. Zginął jednak samobójczą śmiercią na oczach wszystkich Menojkeus. Spośród siedmiu książąt w boju padli już Hippomedont i Partenopej. Kapeneusa raził grom z jasnego nieba, kiedy po szczeblach drabiny już wspiał się na mury i przekraczał ich blanki. Adrastos wycofał swoich ludzi do obozu, ale wpadł tam już pościg tebański!

Wreszcie goniec wyznaje:

– Eteokles wyzwiał Polinejka na pojedynek. Może matka zdoła ich powstrzymać?

Jokasta wybiega wraz z Antygoną, by rozdzielić braci, na scenę zaś wchodzi Kreon niosąc w ramionach zwłoki syna. Wkrótce zaś dociera nowa wieść żałobna: Polinejkes i Eteokles zginęli w pojedynku, a przy ich zwłokach zabiła się też Jokasta.

Tymczasem przed murami rozpętała się nowa bitwa. Tebańczycy bowiem uważali, że zwyciężył Eteokles, Argiwowie natomiast przyznawali zwycięstwo Polinejkowi. W tym drugim starciu obrońcy miasta, którzy wpadli na nie przyodzianych w zbroje Argiwów, odnieśli triumf zupełny.

Zgodnie z ostatnią wolą Eteoklesa rządy obejmuje Kreon. Brutalnie przerywa biadania Antygony i ociemniałego Edypa nad straszliwymi nieszczęściami ich rodziny. Rozkazuje, by Edyp natychmiast opuścił pałac i miasto. Czyni to dla dobra państwa: według bowiem przepowiedni Tejrezjasza dotąd nie będzie pokoju na tebańskiej ziemi, dokąd przeklęty król pozostaje w jej granicach. Poleca też Kreon obwieścić ludowi, by nikt nie ważył się grzebać zwłok Polinejka. Antygoną jednak mówi otwarcie:

– Pochowam mego brata, choćbym miała życiem za to zapłacić!

Nie opuści też Antygoną swego ojca. Gotowa jest iść z nim razem na tułaczkę, aż do attyckiej ziemi, do świętego gaju w Kolonos.

Porównując *Siedmiu przeciw Tebom* Ajschylosa z *Fenicjankami* Eurypidesa można pominąć wszelkie szczegóły, które tym się tłumaczą, że obaj poeci swobodnie dobierali różne wątki mitologiczne. Tak więc Ajschylos w ogóle nie wspomina o przepowiedni Tejrezjasza i o ofierze Menojkeusa z własnego życia. Nie wprowadza też jako postaci dramatu ani Jokasty, ani Kreona. Ogólnie rzecz by można, że dzieło Ajschylosa *Siedmiu* jest surowe i jakby monolityczne, natomiast utwór Eurypidesa jest niemal przeładowany różnymi motywami. Co jednak najbardziej uderza, to z gruntu odmienne potraktowanie roli i postawy obu braci. U Ajschylosa Eteokles jest królem prawym i całkowicie oddanym swemu krajowi, którego broni przed najazdem obcych, Polinejkes natomiast pożąda władzy nawet za cenę zniszczenia rodzinnego miasta. Eteokles staje do walki z nim i dobrowolnie idzie na śmierć, aby przez swoją ofiarę spełnić klątwę ojca i ocalić ojczyznę. Czyli, w ujęciu Ajschylosa, właśnie Eteokles jest najtragiczniejszą postacią, bo bez własnej winy, a całkowicie świadomie, musi dla dobra społeczności ulec przeznaczeniu.

Jakżeż inny jest Eteokles w *Fenicjankach*. Jego rozmowa z bratem pokazuje, że przenigdy nie wyrzeknie się bezprawnie zagarniętej władzy, choć Polinejkes wyciąga rękę do zgody i gotów jest zapomnieć wszystkich krzywd. Nawet ostatnie słowa Polinejkowe, przytoczone przez posłańca, który opowiada o pojedynku, budzą sympatię i współczucie. Umierający Polinejkes mówi do matki:

– Zginęliśmy, matko. Żal mi ciebie, i siostry, i brata, co umarł. Kochałem go, lecz stał się wrogiem; a i tak go miłowałem. Matko moja i ty, siostró, pochowajcie mnie w ziemi ojczy-

stej, przebłagajcie jakoś gniew miasta, żebym tyle przynajmniej posiadał ziemi rodzinnej, choć dom straciłem!

Wszystkie tragedie ateńskie, choć poruszają problemy ogólnoludzkie, a ich wartość artystyczna jest ponadczasowa, były jednak ściśle powiązane z sytuacją polityczną, w której powstawały. W pełni więc można je rozumieć tylko na tle współczesnych wypadków. Niestety, nasza wiedza o tej epoce, która wydała dzieła Ajschylosa, Sofoklesa, Eurypidesa, jest bardzo ułamkowa. Dlatego to wiele istotnych treści owych utworów, przede wszystkim zaś to, co obecnie przywykło się nazywać „wydźwiękiem politycznym”, po prostu uchodzi naszej uwagi.

W pewnych jednak wypadkach można wyjść poza domysły. I tak jest bezsporne, że w swoich *Siedmiu* Ajschylos pragnął nade wszystko słać bohaterstwo obrońców ojczyzny; tych, którzy nie ulękli się groźnych zastępów i śmiało stanęli do śmiertelnej walki. Bo przecież sam Ajschylos był żołnierzem spod Maratonu i Salaminy. Brał udział w bitwach, w których zwycięsko odparto potężną nawałę perską. Pisał zaś swoje tragedie w tych latach, kiedy pamięć owych wydarzeń była jeszcze bardzo żywa w całym społeczeństwie. Posunął się poeta tak daleko, że w pewnym miejscu dramatu określa szturmujących Teby jako ludzi obcojezycznych, choć przecież według mitu, który znali wszyscy, była to wojna jednego szczepu helleńskiego przeciw drugiemu – Argiwów przeciw Beotom. Lecz ta śmiała dowolność jest zrozumiała. Poeta mówił o Hellenach, ale przed oczyma miał barbarzyńców, z którymi walczył i on sam, i wielu widzów, zebranych w teatrze u stóp Akropolu.

Eurypides jest człowiekiem zupełnie innej epoki. Potężne Ateny prowadzą wojnę, pragnąc poddać sobie wszystkie państwa Hellady. Jednocześnie zaś wewnątrz Aten politycy wzajem się zżerają w bezwzględnych walkach o władzę. A więc nie bohaterska obrona rodzinnej ziemi, lecz żądza władzy jest w ujęciu Eurypidesa osią i tłem tragedii.

Wyrocznia Amfiaraosa

Przez wszystkie wieki starożytności mieszkańcy aż kilku, i to daleko od siebie położonych miejscowości objaśniali z nabożnym lękiem przybyszów z obcych stron:

– To właśnie u nas rozwarła się ziemia pod uciekającym Amfiaraosem i pochłonęła go żywcem!

Gdyby wypadało oceniać legendy według jakiegoś prawdopodobieństwa, najbardziej trzeba by ufać tym, którzy pokazywali niewielki skrawek pola przy drodze wiodącej z Teb na południe, w kierunku małej, podmiejskiej wioski Potniaj. Ten płacheć ziemi otoczony był wokół kamieniami, wewnątrz zaś okręgu sterczało kilka kolumn. Wieśniacy przysięgali, że na kolumnach tych nigdy nie usiądzie żaden ptak, trawy zaś z obwodu nie tknie żadne zwierzę, ani domowe, ani też dzikie. Było to oczywiście miejsce, gdzie niegdyś wznosiła się świątynia; poszła w ruinę w niepamiętnych czasach, ale sam jej teren pozostał nietykalny. A może niegdyś czczono w prastarej świątyni jakieś bóstwo podziemne – tak właśnie jak Trofoniosa w Lebadei?

W Potniaj, a może też w innej podtebańskiej miejscowości, zwanej Knopia, znajdowała się sławna przez długi czas wyrocznia Amfiaraosa; pragnący poznać przyszłość układali się w świętym przybytku do snu i w nocy mieli widzenia; mogli owych porad we śnie zasięgać wszyscy prócz samych Tebańczyków. Twierdzono bowiem, że Amfiaraos ostrzegł (poprzez inne wyrocznie) mieszkańców tego miasta:

– Wybierajcie: czy chcecie, bym służył wam jako wróż, czy też jako przychylnie bóstwo? Przezorni Tebańczyki uznali oczywiście, że większy pożytek będzie z boskiego sprzymierzenia, przyszłość bowiem odsłania i tak wiele innych wyroczni; wobec tego musieli na zawsze zrzec się wstępu do przybytku Amfiaraosa. Później, pod koniec wieku V p.n.e., ta wy-

rocznia podupadła zupełnie, co było zrozumiałe, skoro nie mogli z niej korzystać najbliżsi mieszkańcy; wówczas Tebańczycy przenieśli wszystkie dary wotywnne, które tam się znajdowały, do świątyni Apollona w samym mieście.

Te dwie miejscowości, Potniaj i Knopia, leżały blisko Teb. Inna natomiast, także wslawiona ucieczką Amfiaraosa, znajdowała się przy drodze, która wiodła z Teb na wschód, ku morzu. Zwała się Harma, czyli Wóz. Właśnie ta nazwa, jak się zdaje, dała podstawę legendzie. Jedni bowiem utrzymywali:

– Amfiaraos spadł z rydwanu i został pochłonięty przez ziemię niedaleko samych Teb, ale jego rydwan spłoszone konie dociągnęły aż tutaj!

Inni zaś dowodzili:

– Nie, Amfiaraos dojechał na swym rydwanie właśnie do Hanny, tu jednak wóz roztrzaskał się, a on sam albo zginął, albo uciekł dalej na koniu!

Jednakże wszystkie te przybytki Amfiaraosa zaćmiła pod koniec wieku V p.n.e. ta jego świątynia i wyrocznia, która znajdowała się najdalej od Teb, na pograniczu Beocji i Attyki, półtorej godziny drogi od miasteczka Oropos. Kraina ta była przez wieki przedmiotem sporu między Tebańczykami i Ateńczykami, aż w końcu przypadła tym ostatnim.

Wąską, dość głęboką doliną porosłą piniowym lasem płynie bystry potok; na horyzoncie ciągnie się ciemna smuga morskiej cieśniny, za którą wyrastają sine pagórki wyspy Eubei. Dziś ta urocza dolina jest rzadko odwiedzana, leży bowiem na uboczu od wielkich i głośnych ośrodków turystyki. W starożytności jednak przybywało tu bardzo wielu pielgrzymów, i to ze stron odległych. Zasięgali porad wyroczni, a zarazem leczyli się wodą świętego źródła, która, jak głoszą, miała cudowne właściwości. Legenda mówiła, że źródło trysnęło dokładnie w tym miejscu, gdzie wyszedł z otchłani Amfiaraos, pochłonięty daleko stąd, w czasie ucieczki spod tebańskich murów. Wody źródła nie wolno było używać do kąpieli; chorzy pili ją z muszelek, których wiele znajduje się do dziś wśród ruin; ozdrowieńcy wrzucali do źródła złote lub srebrne pieniądze, bogaci zaś nawet kosztowne dary wotywnne.

Niedaleko źródła znajdowała się kamienna świątynia Amfiaraosa; wewnątrz stał jego posąg z białego marmuru, pod gołym zaś niebem ogromny ołtarz, gdzie składano ofiary rozmaitym bóstwom. Za świątynią wznosiła się długa hala wsparta na kolumnach; to właśnie była wyrocznia Amfiaraosa. Bóg bowiem objawiał się pielgrzymom w nocy, zsyłając im w czasie snu widzenia, które później tłumaczyli kapłani. Pielgrzym jednak, nim ułożył się w portyku, musiał dopełnić pewnych obrzędów: przy wielkim ołtarzu składał ofiarę bóstwom i herosom, przez trzy dni wstrzymywał się od wina, cały dzień pościł; samemu Amfiaraosowi zarzynał w ofierze barana, i właśnie skóra tego zwierzęcia służyła mu w czasie wróżebnej nocy jako posłanie w portyku. I jeszcze jedno: ktokolwiek zwracał się do boga o pomoc, czy to radząc się wyroczni, czy też kurując się świętą wodą, musiał uiścić pewną opłatę, niezbyt zresztą wysoką: półtorej drachmy. Zapytywano boga o różne sprawy, nie tylko prywatne, lecz i państwowe. Z pewnej mowy sądowej dowiadujemy się na przykład, że był spór o jakiś grunt – czy stanowi on własność świątyni, czy też nie; aby rzecz rozstrzygnąć ostatecznie i miarodajnie, lud ateński uchwalił, by trzech obywateli przespało się w przybytku Amfiaraosa i w ten sposób poznało, co bóg myśli o tej kwestii.

W dolinie znajdował się też stadion oraz teatr; ten, pięknie wtopiony w zbocze wzgórza, mógł pomieścić 3000 widzów i odznaczał się świetną akustyką. Co pięć lat odbywały się przy świątyni igrzyska – zawody sportowe na stadionie oraz popisy muzyków i poetów w teatrze; zwały się owe igrzyska Amfiaraja. Najciekawszy popis w czasie wyścigów rydwanów wyglądał tak: każdy zawodnik musiał w pewnym momencie zeskoczyć z pędzącego wozu i – uzbrojony w hełm, tarczę i miecz – biec jakiś czas równo z rydwanem, potem zaś znowu nań wskoczyć.

W gimnazjonie

Że odbywały się w starożytnej Helladzie igrzyska olimpijskie, wie dziś niemal każdy. Kto bardziej wykształcony, pamięta też o istmijskich i pytyjskich, czytelnik zaś tej książki poznał początki nemejskich. A przecież igrzysk różnego rodzaju i w rozmaitych miejscowościach było znacznie więcej – jak choćby te ku czci Amfiaraosa, wspomniane w poprzednim rozdziale. Prawda, owe skromniejsze i mniej znane miały zwykle znaczenie tylko lokalne. Wszystkie jednak promieniowały na swój sposób, zachęcając do czynnego udziału w zawodach i sportowych, i muzycznych – każdego według jego uzdolnień. Choć więc w starożytności epidemia wyczynowości oraz elitarność „zawodowych amatorów” już zaczynały gdzieś dawać się we znaki, to jednak sytuacja ani w przybliżeniu nie była tak groźna jak obecnie, kiedy to owe schorzenia prawie całkowicie zatrwały atmosferę beztrudnej zabawy, bez której nie ma prawdziwego sportu.

Igrzyska helleńskie miały swoje zaplecze. Były nim gimnazjony, miejsca ćwiczeń młodzieży, obok teatru i świątyn najważniejszy budynek każdego, nawet i bardzo ubogiego miasta. Kto uczęszczał do gimnazjonu, nie opuszczał ani jednego dnia ćwiczeń – choćby to był dzień tak niezwykły i tak trzymający w napięciu jak ów grudniowy roku 379, kiedy to siedmiu wygnańców zmierzało z Kitajronu do Teb i zapewne już podchodziło ku murom. Toteż gdy w domu Symiasza Epaminondas przypomniał swemu bratu i jego towarzyszom, że w gimnazjonie czekają przyjaciele, ci wnet tam się znaleźli. Zastali w salach i na dziedzińcu sporo towarzyszy, ale było też kilku ludzi z rządu. Należało więc zachowywać tu czujność większą niż u Symiasza.

Kafizjasz, Teokryt i Galaksydor rozebrali się, namaścili oliwą i weszli na piasek dziedzińca. Przeciwników dobrali sobie uważnie – tylko spiskowców. Tak więc wśród sapania, połączeni mocnym uściskiem, tarzając się po ziemi, szeptali do ucha towarzyszom, jak mają się sprawy i czego należy się spodziewać w dniu dzisiejszym.

Archiasz i Filip oraz ich zausznicy zabawiali się w gimnazjonie osobno, a spiskowcy bacznie śledzili każdy ich ruch.

W pewnej chwili tamci przerwali ćwiczenia i kazali chłopcom, by pięknie ich namaścili. Ktoś z obecnych szeptał Kafizjaszowi:

- Idą na ucztę do Fillidasa!
- Więc jednak przyjęli zaproszenie?

– Tak, bo Fillidas przyrzekł, że będzie ta kobieta, która tak się podoba Archiaszowi. A ten rozpustnik myśli tylko o takich rzeczach. Wziął swoich kompanów i zabawa zaraz się tam zaczęła.

Tymczasem zrobiło się późno. Zbliżał się zmierzch, szły mocne poddmuchy chłodu; był przecież grudzień. W czasie ćwiczeń na osłoniętym dziedzińcu nie czuło się ziąbu, ale teraz ludzie zaczęli szybko się rozchodzić. Spiskowcy również przyodziali się spiesznie i wyszli na ulicę. Teokryt, Kafizjasz i Galaksydor przeszli zaledwie kilka kroków, kiedy dołączyło do nich trzech mężczyzn; mieli oni zasłonięte twarze, niby to aby uchronić się przed zimnym wiatrem, ale kiedy nieco uchylili swych chust, spiskowcy na moment zdrętwieli: to byli trzej spośród siedmiu! A jednym z nich był sam Pelopidas, przywódca wygnańców!

Natychmiast rozdzielono się na dwójki; każdy spiskowiec wiódł jednego z przybyszów. Owe dwójki szły różnymi ulicami, wszystkie jednak w tym samym kierunku – ku domowi Charona. Ulice były puste, ale oni przemykali się szybko i prawie bez słów, tyle tylko, że upewnili się o najważniejszym: cała siódemka weszła już do miasta, ale różnymi bramami; niepogoda bardzo ułatwiła przejście przez okolice podmiejskie i dostanie się za mury.

Tak znaleźli się przed domem Charona. Cicho zastukali, odzwierny lekko uchylił bramę, weszli.

Błagalnice

Siedmiu wygnańców przybyło do Teb przez skały i lasy Kitajronu aż z Aten. One to w owych latach używały schronienia wszystkim Tebańczykom, którzy nie chcieli pogodzić się z terrorem tyranów i z obcym panowaniem w swym mieście. Taka postawa Aten miała swoje uzasadnienie. Były państwem demokratycznym, a więc z natury rzeczy sprzyjały takimże stronnictwom i ruchom w innych miastach. Były też tradycyjnie wrogie Sparcie, a więc bardzo niechętnie patrzyły na usadowienie się jej wojsk w murach Kadmei. Zresztą, pomagając uchodźcom tebańskim w latach 382 – 379, Ateńczycy tylko spłacili dług wdzięczności sprzed lat dwudziestu. Wówczas bowiem, w roku 403, właśnie w Tebach znaleźli punkt oparcia ateńscy demokraci, kiedy wygnali ich z ojczyzny Spartanie i ustanowiony przez nich rząd tyrański. Z Teb również wyruszyła wyprawa, która zdołała przywrócić Atenom wolność i demokrację.

Poprzednio jednak, w ciągu niemal całego wieku V, stosunki tebańsko-ateńskie wcale nie układały się przyjaźnie. Oba państwa prowadziły wówczas ze sobą długotrwałe wojny i zadawały sobie krwawe ciosy. A kiedy w latach 431 – 404 Ateny zmagaly się ze Spartą, Teby stanęły właśnie po stronie tego drugiego mocarstwa. Wówczas to, w okresie najzacieklejszych walk, prawdopodobnie w roku 422, Eurypides wystawił w Atenach tragedię *Błagalnice*. Jej treścią był ostatni akt – a raczej epilog – mitycznej wyprawy siedmiu przeciw Tebom. Przede wszystkim jednak utwór ten był hymnem pochwalnym na cześć samych Aten, ich gościnnej ludzkości, potęgę, ustroju. Sama akcja tragedii jest prosta:

Matki książąt, którzy polegli pod Tebami, przybywają do świątyni Demeter w Eleuzis, a więc już w granice Attyki i państwa ateńskiego. Zwracają się z błagalnymi prośbami do ówczesnego króla Aten, do Tezeusza, by wstawił się za nimi w Tebach i wyjednał wydanie zwłok, które wciąż jeszcze leżą nie pochowane. Właśnie od chóru tych matek pochodzi tytuł tragedii – *Błagalnice*.

O to samo prosi też Adrastos, wódz wyprawy, jedyny z siedmiu, który zdołał ujsć z życiem. W rozmowie z Tezeuszem przyznaje, że podjął tę wojnę wbrew woli i radom bogów, powodowany pychą i żądzą władzy. Wreszcie wstawia się za błagalnicami także matka Tezeusza, Ajtra. Syn, powolny jej słowom, przyrzeka pomoc.

Przybywa butny herold tebański. W imieniu swego pana Kreona żąda wygnania z granic ateńskich pokonanego Adrastosa i ostrzega przed próbą odebrania zwłok poległych książąt. W toku coraz ostrzejszej rozmowy z heroldem, który wychwala rządy jednostki, Tezeusz sławi ustrój i swobody swego państwa, gdzie władza jednakowe dla wszystkich prawo i panuje pełna wolność słowa; oczywiście, ustami Tezeusza przemawia Ateńczyk wieku V.

Po zbrojnej wyprawie na tebańską ziemię Tezeusz powraca ze zwłokami czterech książąt. Czterech, bo Adrastos żyje, Amfiaraosa pochłonęła ziemia, Polinejkes zaś powinien spocząć w ojczyźnie. Wśród lamentów chóru odbywają się ceremonie pogrzebowe i płoną stosy, które mają spopielić zwłoki. Wtedy to właśnie zjawia się Euadne, żona Kapaneusa. Wbrew nawoływaniom chóru i prośbom ojca rzuca się w płomienie stosu, aby na zawsze połączyć się ze swym ukochanym mężem.

By usprawiedliwić tę miłość Euadny do Kapaneusa, poeta musiał zmienić jego charakterystykę. Według mitu był to olbrzym ponury i pyszny, który nie lękał się nawet bogów. Dlatego to on właśnie zginął od pioruna, kiedy stał już na tebańskich murach i przysięgał, że zburzy miasto choćby i wbrew woli niebian. Owszem, o tej śmierci z ręki bogów wspomina się w *Błagalnicach*, Adrastos jednak, kiedy wskazuje Tezeuszowi zwłoki Kapaneusa, mówi:

– Był bogaty, lecz nie pysznił się swym majątkiem. Dumy nie było w nim więcej niż w którymkolwiek z ludzi ubogich. Stronił od tych, co nazbyt się nadymają i nie doceniają umia-

ru. Dla przyjaciół był prawdziwym przyjacielem, i to zarówno w ich obecności, jak też poza oczyma. A niewielu jest takich ludzi! Był szczery, uprzejmy w rozmowie, słowa dotrzymywał zawsze – i swoim, i obcym.

Chwali zresztą Adrastos wszystkich swoich towarzyszy nieszczęsnej wyprawy.

Prochy ojców zabierają do Argos ich synowie, chłopcy jeszcze nieletni. Ale w ich skargach już pobrzmiwają zapowiedzi pomsty, nowej wyprawy na Teby. Patrząc na ów żalobny pochód Tezeusz mówi:

– Adrastosie i wy kobiety rodem z Argos: widzicie, że ci oto chłopcy niosą w rękach ciała swych ojców-bohaterów, które ja podniosłem z ziemi. Jako dar im to oddajemy, ja i moje miasto. Wy zaś powinniście przechowywać wdzięczną pamięć tego, bo widzicie sami, jak wiele ode mnie otrzymaliście. Również i chłopcom powinniście wciąż powtarzać tę opowieść, aby czcili nasze miasto. Niech dzieciom swych dzieci przekażą pamięć dobrodziejstwa!

Adrastos wprawdzie zapewnia, że tak się stanie, jednakże w ostatniej chwili nad świątynią pojawia się bogini, która woła:

– Słysz, Tezeuszu, te słowa Ateny! Powiem, co masz uczynić, a będzie to pożyteczne. Nie pozwól, by ci chłopcy tak łatwo odnieśli kości swych ojców do argiwskiej ziemi. W zamian za trudy twoje i twojego miasta musisz odebrać przysięgę, którą złoży Adrastos, jako władca całej krainy Danaów. Przysięga zaś jest taka: nigdy nie wkroczą tutaj Argiwowie jako nieprzyjaciele; jeśli chciałby uczynić to ktoś inny, włócznie przeciw niemu wymierzą; gdyby zaś wbrew przysiędze postąpili, ma zginąć marnie cały kraj argiwski!

Natomiast chłopcom niosącym urny z prochami ojców bogini zapowiada:

– Gdy dorośniecie, zburzycie Teby i pomścicie śmierć waszych ojców. Skoro tylko pierwszy zarost pokryje wam lica, ruszycie na czele siedmiu spiżem zbrojnych zastępów przeciw murom Kadmei. Groźni staniecie przed nimi, jak młode lwiąta, i miasto zdobędziecie!

A więc, jak prawie wszystkie dramaty ateńskie, również i ten miał swoje tło polityczne. Z jednej strony dawał wyraz niechęci do Teb, z którymi Ateny wówczas walczyły, z drugiej zaś przypominał miastu Argos o świętym obowiązku wdzięczności. Sojusz zaś z Argiwczykami był dla Aten szczególnie ważny, bo właśnie oni mogli wiązać i odciągać wojska Sparty, z którą prowadzili krwawe wojny już od wieków.

W taki oto sposób pradawne mity miały służyć aktualnym potrzebom polityki. A był w tym wszystkim jakiś sens głębszy, niemal symboliczny. Jak bowiem owa legendarna wyprawa siedmiu przeciw Tebom była wojną bratobójczą, tak i te zmagania, w czasie których powstawał dramat Eurypidesa, należałoby tym mianem określić.

Czy Charon jest zdrajcą?

Również i w domu Charona miało się pokazać, że piękno poezji może pomóc chwili bieżącej, bo ułatwia podjęcie ważkiej decyzji, dodaje męstwa i otuchy.

Wieczorem zebrało się tam stopniowo aż czterdziestu ośmiu ludzi. Większość z nich przechadzała się po dziedzińcyku, niektórzy jednak siedzieli w domu. Tylko Teokryt odłączył się od wszystkich; zamknął się w jednym z pokojów i tam jeszcze teraz, jeszcze w ostatniej chwili, dokonywał jakichś ofiar i obrzędów. Mrok gęstniał z każdą chwilą, po ulicach gwizdał wiatr przejmujący zimnem, ciężkie chmury schodziły w dół. Ta ponurość wieczoru bardzo przygnębiała zebranych, tak samo jak i namacalna już bliskość niebezpieczeństwa. Większość jednak zachowywała całkowity spokój, przynajmniej na pozór. Pelopidas i jego najbliżsi przyjaciele zajęci byli próbowaniem ostrzy mieczów i przymierzaniem pancierzów. I właśnie wówczas, zupełnie niespodziewanie, rozległo się gwałtowne stukanie do bramy. Nie oczeki-

wano już nikogo. Cała siódemka z Kitajronu była już wewnątrz, zresztą spiskowcy pukali cicho i w umówiony sposób, starając się wejść niepostrzeżenie. Dobijał się więc do domu ktoś obcy! Wszyscy zastygli w trwożnym oczekiwaniu. Tymczasem hałas przy bramie wciąż się wzmagał. Słysząc już było jakieś krzyki i pogróżki. Czyżby to żołnierze tyranów?

Charon znajdował się wraz z kilku przyjaciółmi w jednym z dalszych pokojów. Tam znalazł go odzwierny. Mówił trwożnym głosem, jakby się bał, że usłyszeć go mogą także i ci z ulicy:

– To dwaj ludzie Archiasza, do ciebie. Są wściekli, że tak długo nikt im nie otwiera!

Pan domu wyraźnie się przestraszył, ale zdecydował od razu:

– Wpuść ich do środka!

Chwycił wieniec, który przygotował sobie ktoś wybierający się składać bogom ofiary za pomyślność sprawy, włożył go na głowę i wyszedł tamtym naprzeciw. Czyniło to wrażenie, że dopiero co wstał od stołu i zamierza się modlić.

– Czegóż to chcecie o tej porze? – zapytał nieco opryskliwie, aby ukryć zaniepokojenie.

– Archiasz i Filip proszą, żebyś natychmiast stawił się przed nimi!

– A cóż im tak śpieszno? Przecież już późno? Co się właściwie stało?

– My wiemy tyle tylko, coś usłyszał. Więc co mamy odpowiedzieć?

– Że zaraz zdejmuję wieniec, ubieram się i wychodzę. Ale pójde trochę za wami. Nie chcę się pokazywać razem, bo jeszcze rozejdzie się po mieście plotka, że już mnie do więzienia prowadzą.

– Dobrze. A my tymczasem biegniemy do straży pod murami miasta.

Kiedy tylko wyszli pacholki tyranów, spiskowcy skupili się wokół Charona. Byli przerażeni. To oczywiste, rząd wie już o wszystkim! Ktoś zaczął wywodzić:

– To wina Hippostenejda, tylko jego! Widocznie doniósł. Przecież to on próbował powstrzymać siedmiu i wysłał do nich Chlidona. A kiedy to się nie udało i Chlidon w ogóle nie wyjechał, Hippostenejd ze strachu, żeby tylko siebie ratować, zdradził tyranom wszystko. Zresztą, co się zastanawiać? Hippostenejda tutaj nie ma, a przecież wiedział, że zbiórka jest w domu Charona!

Inni jednak byli zdania, że skoro nie ma pewności, Charon powinien usłuchać rozkazu i pójść do Archiasza. Może to jakaś drobna, przypadkowa sprawa?

Sam Charon milczał, słuchał uważnie, zastanawiał się. Spiskowcy mówili, jeden przez drugiego, tylko o Hippostenejdzie i tylko o tym, czy wykonać rozkaz. Ale dostrzec też można było nieufne spojrzenia rzucone na samego Charona. Widocznie w niektórych co podejrzliwszych umysłach już formowało się okrutne pytanie: a może to sam Charon jest zdrajcą i donosicielem? Może to on zwabił spiskowców do swego domu, a teraz spokojnie – niby to wezwany, a właściwie wywołany zgodnie z ustalonym planem – pójdzie do tyranów i zgłosi: wszystko gotowe, zwierzy na pułapce? Dom otoczą żołnierze i Spartanie, wymordują wszystkich w nim zamkniętych, a Charon otrzyma jeszcze coś nieczego z majątku swych ofiar? Takie wzajemne podejrzania były nieuniknione w środowisku spiskowców, żyjących w ciągłym napięciu, otoczonych zdrajcami; ostatecznie, już niejednego Tebańczyka zapłacił głową za zbyt śmiałe myśli i udział w sprzysiężeniach!

W pewnej chwili Charon coś szepnął zaufanemu niewolnikowi. Ten wyszedł i wkrótce wrócił prowadząc za sobą piętnastoletniego chłopca, rosłego jak na swój wiek i bardzo przystojnego. Był to Archidam, jedyny syn Charona. Ojciec wziął go za rękę, wyszedł na środek pokoju i powiedział głosem spokojnym i opanowanym:

– Wiecie wszyscy, że to jest mój syn, jedyny i ukochany. Otóż teraz, wychodząc z tego domu, oddaję go w wasze ręce. A jednocześnie proszę was i zaklinam: jeśli się okaże, że was zdradziłem, zabijcie go bez litości i nie szczydźcie nikogo w tym domu! I wzywam was raz jeszcze, żebyście mężnie stawili czoło wszystkiemu, co może się zdarzyć. W każdym razie

nie pozwólcie, żeby tchórze i łotry wymordowali was podstępem. Brońcie się, walczcie, ofiarujcie naszej ojczyźnie męstwo waszego ducha!

Zapadło milczenie. Na wszystkich twarzach można było wyczytać podziw, szacunek, wzruszenie. Zaraz też odezwały się głosy pełne oburzenia:

– Charonie, tutaj nikt cię nie podejrzewa! Cóż ty myślisz o nas? Nie, nikt nie żąda od ciebie takiej ofiary! Pelopidas, przywódca siedmiu, powiedział wprost:

– Moim zdaniem, Charonie, nie postępujesz roztropnie. Powinieneś swego syna w ogóle odesłać z tego domu. Tutaj mogliby go uwięzić razem z nami. Tak, wyślij go natychmiast, może jeszcze nie jest za późno. Gdyby bowiem spotkało nas jakieś nieszczęście, niechże on przynajmniej dojdzie swych lat żyjąc gdzieś w ukryciu, żeby stał się kiedyś naszym mścicielem!

Ale Charon odrzekł głosem nie znoszącym sprzeciwu:

– Nie. On zostanie właśnie tutaj. Wszystko, co spotka nas, będzie też jego udziałem. Przecież to hańbą byłoby dla niego, gdyby – w razie naszej śmierci – miał służyć zabójcom swego ojca!

A zwracając się do syna powiedział łagodnie, z trudem panując nad sobą:

– Musisz być odważny, mój synu. Możesz i za młody na to, ale taka jest nieubłagana konieczność; czeka cię walka. Gdyby mnie spotkało coś złego, stój przy boku tych dzielnych ludzi i staraj się sprostać każdemu niebezpieczeństwu. Walczycie przecież o wolność, skarb największy. Zresztą, może jeszcze nie wszystko przepadło, może jest jeszcze jakaś nadzieja. Wierzę głęboko, że któryś z bogów sprzyja nam, bo nasza sprawa jest słuszna.

Wszyscy obecni przy tym pożegnaniu byli wzruszeni, wielu zaś miało łzy w oczach. W owych bowiem czasach nikt nie wstydził się płakać, nawet mężczyzna dorosły i poważny. To uzewnętrznianie uczuć nikomu nie przynosiło szkody i ujmy. Przeciwnie: maska kamiennej obojętności uchodziła za coś może i wzniosłego, ale mało ludzkiego.

Charon jednak nie płakał. Lekko pchnął swego syna ku Pelopidasowi, w ten sposób jemu oddając go w opiekę; nie wyrzekł ni słowa. Następnie zaczął kolejno żegnać się z przyjaciółmi, każdemu serdecznie ściskając rękę.

Zachowanie się chłopca nie przynosiło ojcu wstydu. Archidam stał spokojnie, jakby był świadkiem zwykłej rozmowy. Potem wyciągnął z pochwy miecz, który Pelopidas miał już przypasany do boku, i zaczął uważnie przyglądać się jego ostrzu. Ktoś z obecnych zacytował wówczas słowa Odyseusza o synu Achillesa, Neoptolemie:

Niejeden tam z Archiwów na los płakał srodze
I dygotał ze strachu; lecz u twego syna
Nie widziałem łzy jednej, nic go nie ugina.
Bo ni razu z bojaźni nie zbladł mu rumieniec.
Przeciwnie, nieraz prosił mię ten zapaleniec,
Bym go puścił z kryjówki; za oszczep miedziany,
Za miecz chwycił i rwał się wysiekać Trojany²⁰.

Tak miał się zachowywać Neoptolem, który wraz z najmężniejszymi z Achajów siedział ukryty w drewnianym koniu, w samym środku nieprzyjacielskiego miasta. Rzecz dziwna, te słowa dawnej poezji Homerowej uspokoiły wszystkich. Poczuli się właśnie tak, jakby to oni byli owymi bohaterami. A dom Charona stał się koniem drewnianym, pełnym zbrojnych, którzy za chwilę wymkną się z kryjówki, aby mieczem pustoszyć miasto.

²⁰Homer, *Odyseja*, XI 562–532, przekład L. Siemieńskiego.

Groby bohaterów

Gdyby więc zamach się nie powiódł, Archidam miałby pomścić ojca, jak niegdyś przykazano to uczynić synom siedmiu książąt poległych pod Tebami. Widzieliśmy w rozdziale poprzednim, omawiając dramat Eurypidesa, żałobny pochód chłopców, niosących urny z prochami; mieli je pochować w ziemi argiwskiej, skąd wyruszyła wyprawa.

Późniejsi Hellenowie nie mogli się jednak pogodzić co do tego, gdzie właściwie spoczęły szczątki bohaterów pierwszej wyprawy. Sami Tebańczycy nazywali pewną miejscowość w pobliżu swego miasta „Hepta Pyraj”, czyli Siedem Stosów, i twierdzili, że właśnie tam spłonęły zwłoki książąt. Inni jednak zwracali uwagę, że stosów mogło być co najwyżej pięć, i dlatego łączyli tę nazwę z zupełnie odmiennymi opowieściami mitycznymi. Niedaleko murów tebańskich pokazywano też grób Tydeusa; stały nad nim trzy surowe, nawet nie ociosane kamienie. Tuż obok znajdował się grób obrońcy miasta, Melanniposa, z którego ręki zginął Tydeus. O śmierci ich obu tak opowiadano:

W walce pierwszy otrzymał śmiertelną ranę Tydeus. Wnet jednak zjawił się Amfiaraos, który położył Melanniposa trupem, odciał mu głowę i podał ją konającemu Tydeusowi. Ten ostatkiem sił rozrąbał czaszkę i wypił mózg swego zabójcy. W tej właśnie chwili zstępowała z Olimpu bogini Atena, pragnąc ofiarować swemu ulubieńcowi, Tydeusowi, dar niezwykle, najcenniejszy: nieśmiertelność. Kiedy jednak ujrzała go jako ludożercę, odwróciła się ze wstrętem i powróciła do bogów nieśmiertelnych. W taki to sposób, mówiono, zemścił się na Tydeusie Amfiaraos; zemścił się za to, że wbrew swej woli musiał wziąć udział w wyprawie. Jako wróż znakomity Amfiaraos wiedział, co zamierza uczynić Atena, a znając dzikość i barbarzyństwo Tydeusa przewidywał, co uczyni, gdy dostanie w swe ręce głowę wroga.

Wkrótce potem sam Amfiaraos musiał uciekać, ścigany przez Peryklimenta, jednego z najdzielniejszych wojowników tebańskich. W czasie tej to właśnie ucieczki rozwarła się przed Amfiaraosem ziemia w chwili, gdy już miała go dosięgnąć włócznia. Peryklimen wsławił się jednym jeszcze czynem: to on zdruzgotał kamieniem głowę Partenopeja, który już wdzierał się na mury.

Powróćmy jednak do pytania, gdzie właściwie znajdowały się groby. Pokazywano je nie tylko koło Teb, lecz również w Attyce, i to aż w dwóch miejscach: opodal Eleuzis i u stóp Kitajronu, w Eleuteraj. Powiadano, że w pierwszej z tych miejscowości leżą sami książęta, w drugiej zaś ich drużyny. To nie Eurypides wymyślił, że pogrzeb poległych pod Tebami odbył się właśnie w Eleuzis. Mówił o tym, już pół wieku wcześniej, Ajschylos w dramacie *Eleuzyńscy*; a on znowu szedł za bardzo starą tradycją, którą sam znał dobrze, bo pochodził właśnie z Eleuzis. Rzecz jednak ciekawa: według Ajschylosa Tezeusz odzyskał ciała książąt drogą nie wojny, lecz układów. Widać wyraźnie na tym przykładzie, jak bardzo sytuacja polityczna wpływała na kształtowanie przez poetów treści dawnych mitów: Eurypides, który tworzył w okresie zaciekłych walk z Tebańczykami, nie mógł sobie odmówić satysfakcji pokazania, że już w legendarnej przeszłości miłujący sprawiedliwość Ateńczycy zwyciężali butnych, bezbożnych mieszkańców grodu Kadmosa!

Ale nawet ów jeden jedyny książę, który się uratował, Adrastos, musiałby mieć co najmniej trzy groby, gdyby wierzyć różnym lokalnym tradycjom. Szczyciło się posiadaniem jego szczątków miasto Megara, przez które wracał do ojczyzny wódz nieszczęśliwej wyprawy; miasto Argos, którego był władcą; miasto Sykion, gdzie przebywał przez dłuższy czas, wypędzony z Argos przez Amfiaraosa.

Właśnie z grobem Adrastosa w Sykionie wiąże się ciekawe, a w pełni historyczne wydarzenie. Z początkiem wieku VI p.n.e. rządził tym miastem tyran Klistenes. Prowadził on z Argos uporczywe wojny. Uznał więc za rzecz niegodną, by w samym Sykionie, i to na rynku, znajdował się przybytek argiwskiego bohatera, grób i kaplica Adrastosa. Postanowił usunąć ze swego kraju szczątki tego herosa. Był jednak przezorny; rozumiał, że bezceremonialne

wyrzucenie relikwii może wywołać wzburzenie mieszkańców. Aby więc nie drażnić ich uczuć religijnych, próbował uzyskać zezwolenie najwyższego autorytetu religijnego Hellady, to jest wyroczni boga Apollona w Delfach. Otrzymał jednak odpowiedź:

– Adrastos był niegdyś królem Sykionu, a ty jesteś tylko katem!

Delfy były w zasadzie przyjazne Klitenesowi, pomógł bowiem świątyni, kiedy chciały ją złupić sąsiednie, rozbójnicze plemiona; jednakże tamtejsi kapłani uznali usuwanie starych kultów religijnych za niewłaściwe i szkodliwe – ze swego punktu widzenia niewątpliwie bardzo słusznie. Ale i Klitenesowi pomysłów nie brakowało; znalazł sposób, żeby pozbyć się tak niewygodnego Adrastosa! Oto uprosił Tebańczyków, aby przekazali mu szczątki Melanniposa. Poświęcił temu herosowi świątynię w samym Sykionie, tuż obok budynku rady, i wznosił także jego posąg. Następnie zaś wszystkie ofiary i uroczystości dotychczas odprawiane ku czci Adrastosa, przeniósł na rzecz Melanniposa, jego wroga i zabójcy. Szczególną formą kultu Adrastosa były chóry; śpiewały one o cierpieniach króla Argos. Chórom tym Klitenes kazał występować ku czci boga Dionizosa.

Zagadkę tak licznych grobów tych samych bohaterów można częściowo wytłumaczyć tym, że wiele miejscowości pragnęło przydać blasku swej historii; miejscowości te, korzystając z jakichkolwiek przypadkowych zbieżności lub tworząc nowe wersje starych podań, nadawały czcigodne nazwy dawnym grobowcom na swym terenie. Znacznie ciekawsza jest wiadomość o chórach przy Adrastowym grobowcu. Historyk Herodot, któremu tę informację zawdzięczamy, zaznacza wyraźnie, że były to „chóry tragiczne”, a więc występujące z zachowaniem swoistego rytuału, który był też właściwy obchodom świąt Dionizosa w Atenach²¹ Jesteśmy tutaj u samego źródła powstawania świetnej formy literackiej, która żyje do dziś dnia. Jest nią dramat. W starożytności górował ten jego rodzaj, który zowie się tragedią. Treścią antycznej tragedii, jak była o tym już mowa, są niemal zawsze losy i cierpienia bohaterów z epoki mitycznej, formą zaś dialog przeplatany pieśniami chóru – właśnie takiego, jaki opiewał niegdyś nieszczęścia Adrastosa przy jego grobie w Sykionie, póki nie przerwał tej tradycji tyran Klitenes, kierując się względami wyłącznie politycznymi.

Melodramat o Antygonie

Spośród wszystkich utworów dramatycznych, jakie pozostawiła nam starożytność, dziś z całą pewnością najbardziej znana jest Sofoklesowa tragedia *Antygona*. Po raz pierwszy wystawiono ją w Atenach chyba w roku 442 p.n.e., obecnie zaś jest obowiązkową lekturą szkolną w większości krajów naszego kręgu kulturowego. Tu więc wystarczy tylko przypomnieć jej treść:

Kreon, który po śmierci Eteoklesa objął rządy nad Tebami, wydaje surowy zakaz grzebania zwłok Polinejka, zdrajcy i wroga swej ojczyzny; ostrzega, że kto by się ośmielił zakaz ten złamać, ukarany zostanie śmiercią. Mimo to Antygona, wbrew prośbom swej siostry Ismeny, spełnia święty, rodzinny obowiązek wobec zwłok brata. Schwyta ją przez straż stając przed Kreonem. Potem z jego rozkazu zostaje zamknięta w starym grobowcu, gdzie ma umrzeć. O litość dla dziewczyny błaga jej narzeczony, syn samego Kreona, Hajmon. Młodzieniec biegnie do więzienia-grobowca, ojcu zaś grozi, że nigdy już doń nie wróci. Tymczasem zjawia się wróż Tejrezjasz i oznajmia władcy:

– Ptactwo i psy rozwlekły ciało Polinejka, wszystkie ołtarze są zhańbione, bogowie nie przyjmują ofiar, gniew niebios ciąży nad Tebami!

Po długiej rozprawie z Tejrezjaszem Kreon wreszcie ustępuje. Zgadza się pogrzebać zwłoki Polinejka i spieszy sam, by uwolnić Antygonę z jej grobowej kaźni. Tam jednak rozgrywa się ponura tragedia. Hajmon zastał Antygonę już martwą, wiszącą na lnianym powrozie, który

²¹Herodot, *Dzieje*, V 67.

sama nałożyła sobie na szyję. Kiedy więc nadchodzi Kreon, młody człowiek łączy ojca i na jego oczach zadaje sobie śmierć mieczem. Na wieść o tym popełnia samobójstwo również i żona Kreona.

Od czasów Hegla przywykło się uważać, że jądrem tej tragedii jest konflikt racji. Obie bowiem strony mają słuszość, nie mogą więc ani zrozumieć przeciwnika, ani też ustąpić przed jego argumentami. Kreon reprezentuje interesy państwa i nie może pozwolić na pogrzeb człowieka, który zbrojnie zagroził miastu. Antygona natomiast musi dochować wierności najświętszym przykazaniom bogów i ludzi. Niewątpliwie, takie tłumaczenie sensu tej tragedii jest głęboko uzasadnione. Jednakowoż każdy nieuprzedzony czytelnik tragedii odczuwa, że Sofokles zdecydowanie potępia Kreona – za jego upór, małostkowość, pychę, nade wszystko zaś za łamanie odwiecznych praw religijnych, które zapewniały poszanowanie zwłokom nawet wroga.

Patrzmy dziś na postać i dzieje Antygony oczyma Sofoklesa. Klasyczna i właściwie jedynie znana szerszemu ogółowi jest ta opowieść, którą on ukształtował. Zapomina się więc powszechnie, że w starożytności przynajmniej taką samą popularnością cieszył się inny dramat o Antygonie.

Jego twórcą był Eurypides, akcja zaś i nastrój zupełnie odbiegły od wzniosłego, ale i ponurego obrazu, jaki skreślił Sofokles. Treść tego zaginionego utworu można w ogólnych zarysach tak odtworzyć:

Kiedy schwytano Antygonę przy zwłokach Polinejka, Kreon oddał ją w ręce swego syna Hajmona. Rozkazał, by ten wyprowadził ją za miasto i tam zabił. Jednakże Hajmon zakochał się w dziewczynie; umieścił ją na wsi, u oddanych sobie pasterzy, i żył z nią potajemnie. Antygona urodziła syna. Ten, kiedy dorósł, udał się do Teb i wziął udział w igrzyskach. Nagrodę wręczał mu Kreon – i w tym momencie zauważył, że młodzieniec ma na swym ciele znamię, które było dziedziczne w rodzie Tebańczyków powstałych z zębów smoczycy, niegdyś posiadanych przez Kadmosa; a przecież na całym świecie pozostali z tego rodu tylko sam Kreon i jego syn, Hajmon! Władca, zaciekawiony, zaczyna więc przeprowadzać dochodzenia i wnet dochodzi całej prawdy. Antygona zostaje schwytana na wsi i sprowadzona do Teb, aby tutaj – choć tyle już lat minęło! – ponieść śmierć za to, że niegdyś ośmieliła się pogrzebać zwłoki swego brata. W ostatniej chwili zjawia się Herakles. Sprawia, że Kreon nie tylko darowuje Antygonie życie, lecz godzi się na jej ślub z Hajmonem.

Na scenie rozgrywała się tylko część tej opowieści, i to końcowa: igrzyska, rozpoznanie syna Antygony, jej skazanie i cudowne ocalenie przez Heraklesa. O tym, co było poprzednio, widz – jako to jest regułą w dramatach Eurypidesa – dowiadywał się z prologu, wygłoszonego przez którąś z postaci.

„Tragedia” Eurypidesa o Antygonie kończyła się dobrze, a nawet pogodnie. Był to więc utwór o charakterze raczej melodramatycznym. Można zrozumieć, że starożytny czytelnik chętnie sięgał po tę sztukę, która obfitowała w niezwykle perypetie. Jesteśmy jednak wdzięczni wyrokowi wieków, który zachował dla nas nie płytki melodramat, lecz czysty i przejmujący utwór o dziewczynie, mającej prawo i odwagę powiedzieć o sobie:

Urodziłam się, by współkochać, nie by współnienawidzić!

Tragikomedial w domu Fillidasa

Zaraz po wyjściu Charona zjawił się wśród zebranych w głównym pokoju spiskowców Ke-fizodor; w ręku trzymał miecz, a pod chitonem miał pancerz. Dotychczas siedział w którejś izdebce w głębi domu, toteż nie wiedział o niczym. Kiedy usłyszał, że Charon poszedł do Archiasza, rozsierdził się i zaczął nawoływać:

– I po co tu jeszcze siedzicie? Na co czekacie? Nie ma chwili do stracenia! Musimy uprzedzić tamtych, żeby nas nie wybrali jak ryby z sieci! Ja radzę, żebyśmy natychmiast uderzyli

na domy wrogów. A jeśli tego nie chcecie, to przynajmniej wyjdźmy stąd i rozejdźmy się po mieście. Tutaj zginiemy wszyscy, a tak będzie przynajmniej jakaś nadzieja ocalenia dla niektórych!

Teokryt również przyłączył się do tych wezwań:

– Wróżby są pomyślne. Wszystko wskazuje, że wyjdziemy z niebezpieczeństwa cało. Trzeba więc odważnie brać się do dzieła!

Zdania były podzielone, ale większość już zaczynała przywdziewać pancerze i przypasowywać miecze. Tymczasem zupełnie niespodziewanie i bez żadnego uprzedzenia (bo nawet nie było słyhać, żeby ktoś pukał do bramy) wszedł do pokoju Charon. Był pogodny i niemal uśmiechnięty.

– Wszystko dobrze – powiedział. – Rzeczy idą po naszej myśli. Wyobraźcie sobie, wchodzi do domu Fillidasa, a tam Archiasz i Filip już się ślaniają na nogach! Z trudem się zwlekli, żeby podejść ku mnie do drzwi. Pierwszy zaczął bełkotać Archiasz:

– Słuchaj no, coś tu gadają, że jacyś wygnańcy wrócili do miasta i ukrywają się po domach!

Struchlałem, ale niczego nie dałem poznać po sobie i pytam:

– Ale gdzie? W czyich domach? Na to Archiasz:

– Właśnie tego nie wiemy! I dlatego kazałem cię wezwać, żebyś nam to powiedział!

Mnie natychmiast rozjaśniło się w głowie: jeśli tak pyta, to znaczy, że naprawdę niczego nie wiedzą! Może coś tam zasłyszeli, ale żadnych konkretnych dowodów w rękę nie mają! Gdyby rzeczywiście ktoś doniósł, mój dom byłby otoczony już od dawna. Odpowiedziałem więc z całym spokojem:

– Pamiętasz tego wygnańca, Androklejda? Siedział dłuższy czas w Atenach. Otóż ile to razy krążyły po naszym mieście pogłoski, że już wraca, że już jest wewnątrz murów, że lada chwila porwie lud do powstania! I cóż wynikło z tego wszystkiego? Tyle tylko, że samego Androklejda znaleziono martwego, ale nie u nas, lecz właśnie w Atenach! Widocznie sprzątnęli go tam właśnie jego towarzysze, żeby skończyć z jego samochwalstwem i podżeganiem do rozlewu krwi. Nie trzeba więc traktować poważnie tych plotek o wygnańcach. Ja w każdym razie mogę cię zapewnić, że absolutnie niczego nie słyszałem. Ale skoro mnie już powiadomiłeś, postaram się wy badać, jak się rzecz przedstawia. Może dowiem się czegoś nowego, a w takim razie od razu ci to przekażę!

Do naszej rozmowy wtrącił się Fillidas. Powiedział:

– Właśnie, właśnie, Charonie, o to nam chodzi! Zrób, co tylko się da, bardzo nam na tym zależy! Bo moim zdaniem nie wolno lekceważyć żadnej pogłoski, żadnej poszlaki. Tu rzecz idzie o zachowanie pokoju w całym państwie. W naszym położeniu trzeba na każdym kroku zachowywać czujność, przede wszystkim czujność, żeby wywrotowcy nie zakłócili pracy i odpoczynku uczciwych mieszkańców tego miasta!

Skinął mi potem głową, objął chwiejącego się Archiasza i poprowadził go do pokoi w głębi domu. Ja nie czekałem już ani chwili i wybiegłem z tego pijackiego domu. Tak oszukiwaliśmy się tam wszyscy, i można by śmiać się z tego, gdyby nie myśl, że za niedługo albo oni, albo też my należąc będziemy do świata martwych. Sądzę, że pora już działać. Prośmy bogów, żeby byli nam życzliwi, a potem wychodźmy stąd czym prędzej!

Sprawdza się sen Hipatodora

Kiedy wyszli na ulicę, było już ciemno, a silny wiatr gnał tumany mokrego śniegu i drobnego deszczu. Nie było na mieście nikogo; była to zresztą pora wieczery. Spiskowcy podzielili się od razu na dwie grupy. Pierwsza z nich miała rozprawić się z samym Archiaszem, i jego przyjaciółmi w domu Fillidasa; tej grupie przewodził Charon, a także Kafizjasz, Teo-

kryt i Melon, który dopiero co przybył z siedmioma z Kitajronu; wszyscy z nimi idący mieli pod ubraniem pancerze, a przystroili się w wieńce jodłowe i sosnowe; niektórzy zarzucili nawet na siebie długie szaty niewieście; tak więc czynili wrażenie bandy pijaków, która włóczy się nocą po mieście prowadząc swoje ładacznice. Natomiast grupa druga – tej przewodził Pelopidas – skierowała się do domów Leontyda i Hipatesa, najgorliwszych popleczników tyranii.

Powiadano później, że zaraz po wyjściu Charona z domu Fillidasa wszedł tam posłaniec z Aten, od tamtejszego kapłana świątyni w Eleuzis. Ów kapłan był zaprzyjaźniony z Archiaszem; przypadkowym zresztą zbiegiem okoliczności nosił takie samo imię – Archiasz. Kiedy jednak tebański tyran wziął list do ręki, był już całkiem pijany; i chociaż posłaniec zwracał mu uwagę:

– Ten list dotyczy spraw bardzo ważnych i pilnych! Archiasz lekceważąco machnął ręką i schował pismo pod poduszkę sofy, na której leżał. Powiedział:

– Na jutro sprawy poważne!

Zresztą, może nie tyle pijaństwo odwiodło go od czytania, ile niecierpliwe oczekiwanie na kobiety, dla których raczył zjawić się na przyjęciu u Fillidasa.

Wciąż wysyłał sekretarza ku drzwiom, mamrocząc wśród pijackiej czkawki:

– Zobacz, zobacz, może już przyszły!

A list miał być rzeczywiście ważny! Zawierał ponoć dokładne dane o wygnańcach, którzy wyszli z Aten niby to polować na Kitajronie, naprawdę zaś w celu dopomożenia spiskowcom w samym mieście; zawierał też nazwiska głównych członków sprzysiężenia, wśród nich i Charona.

Ponieważ w domu Fillidasa wszyscy już byli podchmieleni, nie wyłączając służby i odźwiernych, grupie Charona łatwo udało się wśliznąć do środka, aż do głównej sali. Tu, przy obficie zastawionych stołach, znajdowała się większość uczujących. Na nowo przybyłych początkowo nikt nie zwracał uwagi, bo przybrani w wieńce wydawali się również zaproszonymi gośćmi. Ale kiedy zatrzymali się na chwilę przy szerokich drzwiach wejściowych, wśród biesiadników podniósł się radosny wrzask:

– Kobiety, kobiety przyszły!

Melon pierwszy wszedł w półkole stołów, zdecydowanie zmierzając ku środkowemu, gdzie leżał Archiasz. Ten jednak znajdował się po przeciwnej stronie stołu, po wewnętrznej zaś, naprzeciw niego, leżał Kabiry, który miał za kilka dni objąć urząd archonta. Choć pijany, Kabiry rozpoznawał jeszcze ludzi. Właśnie gdy Melon stanął przy nim i wyciągał miecz z pochwy, podniósł się na łokciu i chwycił spiskowca za rękę. Krzyknął:

– Fillidasi, to chyba Melon?

Ale ten trącił go silnie i runął z mieczem w rękę na Archiasza, który już wstawał ze swej sofy. Zadał mu kilka ran i tyran osunął się rzygając i brocząc krwią. Jednocześnie Charon rzucił się na Filipa i powalił go jednym ciosem zadany w kark. Leżący obok Lizyteos nie miał bronii, porwał więc ze stołu kilka kielichów, aby nimi cisnąć w napastników; ale Charon dopadł go, zrzucił na ziemię i tam dobił. Tymczasem inni spiskowcy zaczęli uspokajać Kabiry, który był człowiekiem nieszkodliwym. Ale ten wypił zbyt wiele i w żaden sposób nie mógł pojąć, czego ci ludzie chcą od niego. Podniósł się z łoża i drżącą ręką zaczął grozić im włócznią, którą z racji swego przyszłego urzędu miał zawsze przy sobie. Wówczas Kafizjasz chwycił jej drzewce i podniósł do góry. Wołał:

– Puszczaj, bo cię zabiję na miejscu!

Ale Kabiry trzymał koniec włóczni z pijackim uporem. Stojący obok spiskowiec wbił mu miecz w szyję, krzycząc:

– Więc giń z tymi, którym służyłeś!

Kabiry padł twarzą na ziemię. Teokryt zaś, zawsze dbający o sprawy bogów, szybko pochwycił świętą włócznię, aby nie splamiła jej krew zamordowanego człowieka.

Strażnicy tyranów albo polegli w nierównej walce, albo też poddali się; tych zamknięto w sąsiednim pokoju.

Pelopidas i jego drużyna mieli trudniejsze zadanie, bo domy, do których mieli wtargnąć, były dobrze strzeżone. Musieli użyć podstępów. Zastukano najpierw do drzwi Leontyda; Pelopidas powiedział słudze, że przynosi list z Aten. Gdy tylko brama się uchyliła, spiskowcy wpadli hurmą i przez dziedziniec wtargnęli do tylnych pokoi. Słyszając hałas Leontyd chwycił za sztylet – a był to człowiek silny i odważny. Pierwszemu, który drzwi otworzył, Kefizodorowi, zadał ranę w bok, a potem rzucił się na Pelopidasa, krzycząc jednocześnie wielkim głosem:

– Służba do mnie!

Ale kilkunastu spiskowców już się nią zajęło. W ciasnych drzwiach do pokoju Leontyd i Pelopidas walczyli w pojedynkę na miecze; Kefizodor konał u ich stóp. Pelopidas otrzymał ranę w głowę, ale sam miał więcej szczęścia i kilkakrotnie ranił Leontyda, który wreszcie osunął się, obficie brocząc krwią, na ciało Kefizodora. Ten ostatkiem sił wyciągnął rękę ku Pelopidasowi, jakby chciał mu dziękować za pomstę. Tak właśnie przed wiekami Amfiaraos pomścił śmierć Tydeusa, kładąc jego zabójcę, Melanniposa. U Hipatesa poszło znowu inaczej. Kiedy spiskowcy wdarli się do jego domu, ten tchórzliwy człowiek wspiął się na dach i próbował schronić się u sąsiadów. Ale schwytano go jeszcze na gorze, dobito kilku ciosami i skrwawione zwłoki strącono na ziemię.

Obie grupy spotkały się w rynku koło wielkiej hali kolumnowej. W mieście była jeszcze cisza, jeszcze nikt nie wiedział o zamachu. Biegiem ruszono ku więzieniu. Wszyscy zatrzymali się w zaułku w pobliżu gmachu, a tylko Fillidas, jako piastujący urząd, zawołał głośno przy bramie do głównego strażnika:

– Rozkaz od Archiasza i Filipa! Natychmiast stawić przed nimi Amfiteosa!

Strażnik wyszedł przed furkę, ale był to człowiek podejrzliwy. Spojrzał na Fillidasa, który był wyraźnie podniecony, i zapytał nieufnie:

– O tej porze? W nocy? I to ciebie posłali? A hasło znasz?

Fillidas już się nie bawił w podstęp, lecz z całej siły dźgnął strażnika małym oszczepem myśliwskim. Ten jęknął i runął na ziemię. Leżał tak na ulicy, nie pogrzebany, jeszcze przez cały dzień następny, deptany i opluwany przez kobiety. Spiskowcy wywalili główną bramę i zaraz zaczęli głośno wywoływać swych uwięzionych towarzyszy, którzy pokotem leżeli w lochach. Tamci zerwali się natychmiast, dzwoniąc łańcuchami, wrzeszcząc, pchając się jeden przez drugiego ku wolności. Podniósł się krzyk tak wielki, że usłyszano go we wszystkich okolicznych domach, i wnet radosna wieść poszła po całym mieście. Tłumy wyległy na miasto. Nawet najdostojniejsze panie, nie bacząc na surowy obyczaj i niewieścią skromność, przepychały się ku ponuremu gmachowi więzienia, by jak najprędzej zobaczyć swoich bliźnich.

Spartańska załoga na Kadmei już musiała spostrzec, co się dzieje w mieście. Słyszała krzyki, widziała blask lamp i pochodni, mogła też podejrzewać, że lud zbiera się na rynku koło świątyni Ateny. Tam właśnie czekał na spiskowców Epaminondas i jego przyjaciel Gorgidas. Teraz, gdy już miało dojść do walki nie z rodakami, lecz z obcymi, obaj oni przyłączyli się do powstania z całą gotowością, i jeszcze zebrali znaczny oddział swoich towarzyszy. Zdejmowano dawną broń, która wisiała na ścianach świątyń dla upamiętnienia zwycięstw, włamywano się nawet do sklepów i warsztatów płatnerskich. W pewnej chwili rozległ się przeciągły głos trąby: to Hippostenejd przywiódł jakichś trębaczy, bo ci właśnie zebrali się w Tebach, by obchodzić święto Heraklesa.

Tak spełnił się ów sen Hipatodora, który godzi się tutaj przypomnieć:

Kiedy dom Charona cierpiał boleści, on sam i jego przyjaciele stali wokół, bardzo zaniepokojeni. Z domu dobywały się jakieś głosy i dźwięki, a potem strzeliły zeń płomienie, które strawiły prawie całe miasto. Kadmeję natomiast dym tylko otoczył.

Teokryt tak wówczas sen ten tłumaczył:

– Jeśli ogień powstał w domu Charona, to jest to wielkie światło, które obejmuje całe miasto. Kadmeję tylko dym dosięgnie, a ten zawsze powoduje łzy i zamieszanie. Dom Charona wydawał niezrozumiałe dźwięki, a więc gdyby nawet ktoś chciał oskarżyć spiskowców, to będą to tylko ślepe podejrzenia!

A jednak, gdyby Spartanie owej nocy odważyli się uderzyć na miasto, zamach i tak skończyłby się klęską! Było przecież na Kadmei tysiąc pięciuset świetnie wyćwiczonych i uzbrojonych żołnierzy, było też sporo zagorzałych popleczników i sługusów tyranii; ci wszyscy mieliby do czynienia na dole tylko ze zbieraniną ludzi może i odważnych, ale pozbawionych dowództwa i częściowo nawet bezbronnych. Spartanie jednak stali jakby rzeczywiście zaczadzeni dymem. Zachowywali całkowitą bezczynność. Zdobyli się na to tylko, że przyjmowali pod swoją opiekę tych, którzy uciekli z miasta, bojąc się kary za swoje sprawki w okresie tyranii.

Czemu Spartanie nie zdobyli się na żaden krok dla stłumienia powstania? Ich oficerowie usprawiedliwiali się później:

– Czekaliśmy na głównodowodzącego, na Lizandryda. Wyjechał on dnia poprzedniego do Haliartos, aby na nowo usypać grób Alkmenie.

Tak kończy się opowieść o siedmiu, którzy idąc z Aten przez Kitajron oswobodzili Teby spod tyranii i obcego panowania. Ale zarazem mógłby to być też początek nowej opowieści: o tym, jak Tebańczycy pokonali Spartan i stali się pierwszą potęgą Hellady. Tak samo zresztą, jak koniec opowieści o pierwszej wyprawie siedmiu na Teby jest też wstępem do innej: o tym, jak synowie siedmiu książąt, zwani epigonami, pomścili śmierć ojców i zdobyli Kadmeję.

Ale to wszystko — to już jest inna historia.

Epilog

DLACZEGO „TEBAIDA”?

Cesarz Domicjan, który objął rządy w roku 81 n.e. dbał równie usilnie o rozwój i upowszechnienie kultury, jak też o rozbudowę systemu donosicielstwa. Nie szczędził żadnych kosztów, aby przywrócić do dawnej świetności rzymskie biblioteki, bo te poniosły wielkie straty skutkiem pożarów i przewrotów politycznych w latach poprzednich. Egzemplarze rzadkich książek kazał ściągać z całego świata. Wysłał ekipy skrybów nawet do Aleksandrii, aby w tamtejszej olbrzymiej bibliotece odpisywali dzieła, których nigdzie już nie można było znaleźć, oraz porównywali i poprawiali teksty dawnych autorów. Wśród wielu budowli, które cesarz restaurował lub wznosił jako zupełnie nowe, były nie tylko świątynie i urzędnictwa sportowe, ale również wielka hala koncertowa, Odeon. W roku 86 zorganizował Domicjan świetne igrzyska ku czci Jowisza na Kapitolu. Składały się one z trzech części: były konkurencje muzyczne, zawody konne, zapasy. Pod nazwą „konkurencje muzyczne” rozumiano nie tylko popisy wirtuozów i śpiewaków, ale także recytację i deklamację w wykonaniu samych autorów ubiegających się o nagrodę; przedstawiali oni utwory prozą i wierszem, i to zarówno w języku łacińskim, jak i greckim. Prezydował igrzyskom kapitolijnskim sam cesarz, a odbywały się one odtąd co pięć lat. Inne igrzyska ustanowił Domicjan ku czci bogini Minerwy, opiekunki wszelkich sztuk i umiejętności; te były skromniejsze, ich miejscem był nie Rzym, lecz cesarska willa koło Jeziora Albańskiego; za to odbywały się one corocznie, a program ich również przewidywał popisy poetów oraz mówców.

Sam jednak władca zupełnie nie interesował się literaturą. Nie czytał niczego, ani poezji, ani nawet prac historycznych – z wyjątkiem historii najnowszej, i to w bardzo wąskim zakresie: zaglądał często do pamiętników cesarza Tyberiusza i do zbioru dokumentów z czasu jego panowania. Miało to swoje głębsze przyczyny: Domicjan szukał wzorów i rad, jak rozprawić się z opozycją. A pod tym względem Tyberiusz mógł świecić pięknym przykładem! Przecież to on właśnie skazał poetę, bo w jego utworze znalazły się słowa urągające królowi Agamemnonowi, temu, który przewodził Grekom pod Troją! Przeszłość to była bardzo odległa, i do tego mityczna, ale zasada, którą kierował się Tyberiusz, prosta: władców obrażać nie wolno!

Jednakowoż Domicjan – umysł bystrzejszy, niż to na ogół się przyjmuje! – rychło zmierzył, że represje i kary to za mało; aby pisarze dobrze wypełniali postawione im zadania, potrzebne są, prócz batów, także i łaski. Właśnie dlatego cesarz opiekował się bibliotekami i zabytkami, dlatego też ustanawiał poetyckie igrzyska i łaskawie nagradzał twórców. Rozumował więc Domicjan tak: ludzie pióra są w równej mierze strachliwi, jak i chciwi pochlebstw; umiejętnie wyzyskując te dwa czynniki władca może liczyć na całkowitą uległość środowiska twórców oraz na wieczną sławę jako opiekun kultury. Podobna myśl jeszcze przed Domicjanem światała Neronowi. Zgubiły jednak tego utalentowanego młodzieńca własne ambicje twórcze; chciał pisać, śpiewać, występować na scenach, zbierać oklaski. Owa działalność artystyczna podrywała autorytet władcy i wzbudzała zawiść – więcej, nienawiść – wśród pisarzy, którzy przecież nie mogli konkurować z cesarzem na równych warunkach.

Domicjan postępował roztropnie. Choć odebrał staranne wykształcenie i w młodości popisał jakieś utwory poetyckie, później nie pisał nawet mów i listów; wszystko załatwiali sekretarze. Jako cesarz chciał być tylko sędzią: łaskawym dla tych, co doceniają wielkość nowych czasów, surowym zaś dla wszystkich, którzy upierają się przy małostkowym rozumieniu swobód obywatelskich. Kto z autorów ośmielił się wyrazić pochlebnie o przywódcach opozycji (nawet o dawno już zmarłych), płacił za to życiem oraz zniszczeniem swych książek, które kat publicznie palił na rynku. Na wszelki wypadek rozkazał też Domicjan wypędzić ze stolicy nauczycieli filozofii. Pisarz, którego młodość przypadła na czasy Domicjanowe, pisał później:

„Dawne wieki oglądały sam szczyt wolności, my zaś dno niewoli; bo nadzór policyjny odebrał nam nawet możliwość porozumiewania się wzajem. A nawet i pamięć byśmy stracili, gdyby tak samo w naszej to było mocy zapominać, jak i milczeć.”²²

Czy jednak te surowe słowa są w pełni usprawiedliwione? Wystarczyło przecież wykazać zrozumienie dla dobrodziejstw rządów Domicjana, by móc tworzyć swobodnie, a nawet otrzymywać nagrody. Wiele subtelnych umysłów w lot to pojęło. Oto Kwintylian, sławny profesor wymowy, doskonały znawca literatury, teoretyk kultury i wychowania (zarazem zaś nauczyciel wnuków siostry Domicjana), omawiając w swym dziele *Kształcenie mówcy* twórczość najznakomitszych poetów rzymskich, pozwala sobie na taki hymn uwielbienia:

„Wymieniłem tych tylko, bo Germanika Augusta (tj. Domicjana) od już rozpoczętych prac pisarskich odwołała troska o dobro świata. Bogowie nie chcieli, by stał się on jednym z największych poetów. A jednak czy można by znaleźć coś wznioślejszego, ucześniejszego, pod każdym względem doskonalszego od tych jego dzieł, które tworzył jako młodzieniec, kiedy to rządy nad cesarstwem innym ustąpił? Bo i któż mógłby opisywać wojny lepiej niż ten, który tak znakomicie je prowadzi? Kogóż łaskawiej wysłuchałyby boginie opiekujące się pisarstwem? I przed kim bardziej miałyby otworzyć swoje umiejętności bogini Minerwa, jemu tak przyjazna? Więcej powiedzą o tym wieki przyszłe, obecnie bowiem chwałę jego uzdolnień literackich przyćmiewają swym blaskiem inne cnoty. Wybaczysz jednak, Cezarze, jeśli ja, kapłan świętości literatury, nie pomijam twych zasług na tym polu milczeniem!”²³

Ale i w innych miejscach swego dzieła przywoływał Kwintylian imię cesarza jak boga.

Wszystko to jednak nic w porównaniu z pochlebstwami, na które pozwalali sobie niektórzy poeci! Pierwsze miejsce w ich rządzie zajmował Marcjalis. Za czasów Domicjana prawie co rok wysyłał on w świat nowy zbiorek dowcipnych epigramów; głównym celem owych fraszek było zjednywanie poecie życzliwości i darów ze strony możnych panów i samego cesarza. Dlatego też owe wierszyki pełne są najbezcenzuralniejszych uniożoności. Sam zresztą Marcjalis głosił bez obsłonek, po co zajmuje się poetycką twórczością. Otwórzmy choćby dedykację księgi ósmej, wydanej w roku 93. Oto pierwsze jej słowa:

„Cesarzowi Domicjanowi Augustowi, pogromcy Germanów i Daków, Waleriusz Marcjalis zdrowia:

Wprawdzie wszystkie moje książeczki, które tobie, Panie, winny swoją sławę, a więc życie, korny hołd ci składają i temu to, jak sądzę, zawdzięczają swoje powodzenie: przecież ta ósma księga szczególnie często korzysta ze sposobności, ażeby zadość uczynić potrzebie serca. Dlatego to twórczość tak małą odgrywa tu rolę, zastąpiona przez sam przedmiot, który starałem się tylko urozmaicić pewną domieszką żartów, i to w tym celu, iżby nie każdy wierszyk zawierał pochwały Twojej boskiej skromności – pochwały, które mogłyby prędzej ciebie znużyć aniżeli mnie zadowolić.”²⁴

Od tego fraszkopisarza-poety znacznie ciekawszą osobowością – i jako artysta, i jako człowiek – był Papinusz Stacjusz. Urodził się w Neapolu, gdzie jego ojciec prowadził cenioną szkołę wymowy. Potem rodzina przeniosła się do Rzymu. Ojcu zawdzięczał Stacjusz nie tylko staranne wykształcenie, ale i zamiłowanie do poezji. Na publicznych konkursach zaczął występować młodo, pierwszą nagrodę uzyskał jeszcze jako chłopiec. Ale prawdziwą sławę przyniosło Stacjuszowi dopiero zwycięstwo w czasie igrzysk ku czci Minerwy w albańskiej willi cesarza Domicjana w roku 90; deklamował wówczas utwór przedstawiający (rzekome) zwycięstwa władcy nad Renem i Dunajem. W trzy lata później stanął Stacjusz do wielkiego konkursu na Kapitolu, nagrody jednak nie otrzymał. Odczuł bardzo boleśnie tę porażkę; może właśnie z tej przyczyny porzucił Rzym i przeniósł się z powrotem do rodzinnego Neapolu.

²²Tacyt, *Żywot Agrykoli*, 2.

²³Kwintylian, *Kształcenie mówcy*, X 1, 91.

²⁴Przekład J. Czubka z drobnymi zmianami.

Przez całe swoje życie poeta wielbił cesarza i możnych. Czynił to głównie z powodów pieniężnych, był bowiem człowiekiem ubogim. Posiadał tylko skrawek ziemi koło Jeziora Albańskiego i jako szczególną łaskę cesarza wspomina, że pozwolono mu tam doprowadzić wodę z akweduktu. Raz też dostąpił zaszczytu biesiadowania przy cesarskim stole. Ale owe wyrazy życzliwości Domicjana były raczej mizerne w porównaniu z rzeką pochlebstw, która szerokim nurtem płynie poprzez wszystkie Stacjuszowe dzieła, najokazalej jednak prezentuje się w zbiorze zatytułowanym *Silvae*; są to utwory okolicznościowe, wiele z nich poświęconych jest wprost samemu władcy, inne zaś osobom wpływowym. Oto tematy niektórych poematów:

Odsłonięcie konnego posągu cesarza; opis uczty, którą cesarz wydał dla ludu w dniu 1 grudnia; wyrazy współczucia z powodu zagryzienia ulubionego lwa Domicjana przez dzikie zwierzęta; poświęcenie przez cesarskiego eunucha swych włosów świątyni Eskulapa w Pergamonie; panegiryk z powodu objęcia przez cesarza urzędu konsula po raz siedemnasty; podziękowanie za zaproszenie do stołu pałacowego; opis nowej drogi zbudowanej z rozkazu cesarza do Neapolu.

Kto nie posiadał własnego majątku, z samej poezji utrzymać się nie mógł, nawet jeśli cieszył się tak znaczną sławą, jaka była niewątpliwie udziałem Stacjusza. Byli wówczas poeci, którzy zarabiali na życie prowadząc łaźnie lub piekarnie; inni pracowali jako woźni sądowi, a jeszcze inni wegetowali jako zwykli przekupnie. Swój najlepszy interes finansowy zrobił Stacjusz-poeta pisząc libretto do tanecznych występów sławnego wówczas pantomima. Można więc zrozumieć i wybaczyć gorliwość zarówno Marcjalisa, jak i samego Stacjusza w ubieganiu się o względy cesarza i jego otoczenia. Wolno jednak przypuszczać, że Stacjuszem powodowało również pragnienie, by za cenę pochlebstw zyskać opinię człowieka całkowicie lojalnego i oddanego władcy, co z kolei pozwalało mu poświęcić się w spokoju ducha tej twórczości, którą uważał za właściwy cel swojego życia. W przeciwieństwie bowiem do Marcjalisa Stacjusz nie ograniczał się do błahych wierszy okolicznościowych. Miał większe ambicje.

Przez dwanaście lat pracował nad epopcją. Tytuł jej brzmiał *Tebaida*, opiewała bowiem wyprawę siedmiu przeciw Tebom; pierwszą wyprawę. Dwanaście ksiąg epopei publikował Stacjusz stopniowo, niekiedy zaś deklamował pewne jej pieśni. Gromadziły się wówczas tłumy publiczności. Dzieło spotkało się od razu nie tylko z życzliwym, lecz z wręcz entuzjastycznym przyjęciem. Wielu młodych poetów uczyło się całych pieśni *Tebaidy* na pamięć. Niektórzy porównywali epopeję Stacjusza nawet z *Eneidą*, choć sam twórca uważał się tylko za nieudolnego naśladowcę wielkiego Wergiliusza. Podziw dla *Tebaidy* trwał przez całą starożytność, a nawet przez wszystkie wieki średniowiecza. Epopeja ta należała do najpilniej czytanych. Była – obok *Eneidy* – jednym z podstawowych dzieł, na których kształcił się smak poetycki; z niej to czerpano wiedzę mitologiczną, porównania, zasady kompozycji.

Późna legenda średniowieczna uczyniła Stacjusza chrześcijaninem. Dante, kiedy zwiedzał Czyściec prowadzony przez Wergiliusza, spotkał autora *Tebaidy* w czwartym kręgu. Zwracając się do Wergiliusza Stacjusz tak się spowiadał ze swego grzechu:

Już był świat cały brzemienny prawdziwą
Wiarą, którą to posłanniki boże
Pozasiewały na obfite żniwo.

A wywrózone w twoich pieśniach zorze
Tak z ich nauką schodziły się w treści,
Żem ciekaw począł przebywać w ich zborze.

Wydali mi się święci, godni cześci,
Więc w prześladowań czas Domicjanów
Nie bywał płacz ich bez mej współbolesci.

Pókim przebywał żywy wśród ziemianów,
Pomoc im niosłem; ich cne obyczaje
Obrzydziły mi pogańskich bałwanów.

Nim pod tebańskie przywiodłem ruczaje
Greków mej pieśni, święty chrzest przyjąłem.
Ze strachu długo nową wiarę taję.

I z poganami jak wprzód żyję społecem;
Za to w okręgu czwartym cztery wieki
Skazał mię boży Sąd obiegać kołem²⁵.

Oczywiście nie ma nawet najlżejszych dowodów na to, że Stacjusz był chrześcijaninem. Legenda jednak jest znamienna, świadczy bowiem wymownie, jak wielkim uwielbieniem darzono jego poezję w wiekach średnich.

Później zmieniły się upodobania. Powszechnie uznano dzieło Stacjusza za retoryczne, zimne, sztuczne i martwe. Dziś prócz niektórych filologów nikt nie zagląda do tej wielkiej epopei, która przez prawie piętnaście wieków uchodziła za jedno ze szczytowych osiągnięć literatury.

Pisząc *Tebaidę* opierał się Stacjusz na znanych wątkach mitologicznych oraz na epopei Antymacha z Kolofonu. Nie korzystał natomiast, to wydaje się prawie pewne, z owej starej *Tebaidy*, pisanej jeszcze stylem pieśniarza i dlatego przez niektórych przyznawanej samemu Homerowi. W pewnych wypadkach Stacjusz rozbudowywał i zmieniał dawne opowieści. Tak więc znajdziemy w jego *Tebaidzie* opis, jak to bóg Merkury wyprawia się do podziemi, aby stamtąd wywołać zjawę króla Lajosa. Szeroko potraktowany jest też wątek śmierci Archemorroza; było to owo dziecko, które Hypsipyle położyła na trawie, kiedy prowadziła księżąt do źródła. Dzieje zaś samej Hypsipyle opowiedział Stacjusz według tragedii Eurypidesa.

Jakież to powody skłoniły Stacjusza do wyboru tego właśnie tematu epopei? Najłatwiej byłoby powiedzieć, że szedł on po prostu za zwyczajem, który kazał umieszczać opowieść epicką w czasach mitycznych. A wyprawa siedmiu, pełna dramatycznych wydarzeń, ponura i krwawa, musiała wydawać się tworzywem ciekawym. Obok wojny trojańskiej właśnie cykl mitów tebańskich od wieków dostarczał poetom i rzeźbiarzom najwięcej motywów.

Wszystko to prawda. Ale jednocześnie należy pamiętać, że wielu rzymskich epików, i to bliskich Stacjuszowi epoką, sięgało nie po grecką, i nie po mityczną tematykę, lecz opiewało wydarzenia z przeszłości Rzymu. Największą sławę zdobył Lukan. Żył on za panowania cesarza Nerona, a przedmiotem swej epopei uczynił dzieje wojny domowej, którą toczyli Cezar i Pompejusz. Prawie zaś równocześnie z *Tebaidą* powstawała epopeja o zmaganiach Rzymu z Hannibalem; jej autorem był Syljusz Italik, człowiek już stary, znakomity swego czasu mąż stanu.

Lukan bez obsłonek dawał wyraz swej sympatii dla Pompejusza, a także i dla Katona, wielkich obrońców swobód republikańskich. Te aluzje polityczne przyczyniły się później do skazania poety, który zresztą nie poprzestawał na zwalczaniu tyranii słowem i brał czynny udział w spisku przeciw Neronowi. Stacjusz więc wolał postępować przezorniej. Odszedł w przeszłość jak najodleglejszą, aby w jego dziele nikt nie dosłuchiwał się jakichkolwiek wydzźwięków politycznych.

Jednakże właśnie powodzenie *Tebaidy* naraziło Stacjusza na pewne kłopoty. Oto sam cesarz, jak się zdaje, dał do zrozumienia, że tak utalentowany poeta winien uświetniać swym

²⁵Dante, *Boska Komedia, Czyściec*, XXII 76 i nn.

wierszem nie czyny dawno zmarłych herosów, lecz wiekopomne fakty historii najnowszej – wspaniałe zwycięstwa Domicjana! Ojcowska rada władcy z pewnością odniosłaby pożądany skutek, nim jednak Stacjusz mógł poważnie pomyśleć o zaszczytnym zadaniu opiewania rękomych triumfów prawdziwego tyrana, Domicjan został zamordowany.

Nastały szczęsne czasy pełnej swobody myśli i słowa. Stacjusz natychmiast powrócił do twórczości epickiej; tym razem wybrał pieśń o Achillesie.

SPIS TREŚCI

Księga pierwsza TABLICZKA Z GROBU ALKMENY

Idąc ku domowi Symiasza
Zstępując w przeszłość
Baśń o Antiopie i Dirce
Spór Zetosa z Amfionem
Rzeźba i elegia
Grób Alkmeny
Arcykapłan Chonufis odczytuje tabliczkę
Atlantyda
Mykeny i Kadmeja

Księga druga WRÓŻBY I PRZEZNACZENIE

Wróżby ze snów i kichnięcia
Mit śmierci Sokratesa
Tabliczki z biur pałacowych
Prawo Parkinsona
Wróżby i goście w domu Adrastosa
Podwójne oblicze sfinksa
Król Edyp

Księga trzecia POSŁOWANIE DO MYKEN

Jadąc ku zamkowi w górach
Wróżby i polityka
Skarby grobów mykeńskich
Mykeny i Egipt
Danaowie
Skarbiec Atreusa
Przejeżdżając koło Midei
Skarby przyjaźni i grób filozofa

Księga czwarta NASZYJNIK HARMONII

Uczta siedmiu książąt
Pożegnanie Amfiaraosa z rodziną
Owoc miłości Aresa i Afrodyty
Potomstwo Kadmosa i Harmonii
Teby i kraje Wschodu
Kłótnia małżeńska ratuje wyprawę

Księga piąta O IGRZYSKACH W NEMEI I O PODZIEMNEJ WYROCZNI W LEBADEI

Śmierć Ofeltesa
Ku czci Ofeltesa i Hypsipyli
Obóz nad rzeczką Asopos
Zaginiona epopeja
Antymach z Kolofonu, poeta kontrowersyjny
Symiasz wypowiada swoje zdanie o duchu opiekuńczym
Sokratesa
Wyrocznia Trofoniosa
Co objawiła Tymarchowi wyrocznia ...

Księga szósta LITERATURA I POLITYKA

Ajschylos i Teby
Fenicjanki
Wyrocznia Amfiaraosa
W gimnazjone
Błagalnice
Czy Charon jest zdrajcą?
Groby bohaterów
Melodramat o Antygenie
Tragikomedie w domu Fillidasa
Sprawdza się sen Hipatodora

Epilog DLACZEGO „TEBAIDA”?.....

